

STANISŁAWA CHODYKOWA pseudonim konspirac. ("Basia")
 relacja nagrana przez Małgorzatę Giżejewską (Toruń, 1989–1991)

Tasma I

Przed rozpoczęciem wojny pracowałam w szpitalu psychiatrycznym w Wilnie. Przedtem skończyłam kursy pielęgniarskie. Ojciec był po raz drugi żonaty, to dla mnie była już inna rodzina, z którą nie utrzymywałam kontaktów.

15 września 1939 r. zostałam ranna w głowę w czasie bombardowania niemieckiego. To było w dzielnicy Zwierzyniec, na ulicy Fabrycznej. Było nas 6 osób w schronie i tylko ja jedna zostałam przy życiu, dzięki temu, że siedziałam na schodach, bo bomba rozerwała się wewnątrz schronu. Zabrało mnie pogotowie... Podobno byłam w takim stanie, że ksiądz z pobliskiego kościoła (NMPanny) dał mi ostatnie namaszczenie, a znajomy sanitariusz w karetce przyczepił mi nazwisko do ubrania, bo nie przypuszczał, że wyżyję. Odzyskałam przytomność po 2 dniach. Byłam ranna w głowę i w plecy. Po obudzeniu nie wiedziałam kim jestem i skąd jestem. Było to 17-go września i dowiedziałam się, że tego dnia wkroczyli sowieci. Widziałam samoloty, na które już byłam wyczulona. Okna zasłonięte i ten straszny charkot samolotów... Bo te niemieckie latały wysoko i jak pszczołki brzęczały. A sowieckie motory były niesamowite – straszne, ciężkie i latały nad samymi dachami. Włosy stawały mi dęba ze strachu. Ze szpitala wybawił mnie mąż kuzynki. Jako lekarz miał znajomych wśród lekarzy Żydów, odnalazł mnie, wypisał ze szpitala i zawiózł do mieszkania wynajętego dla mnie. (Mienk) ałam tam u pani, która miała dwoje dzieci i męża na wojnie. Moi znajomi koledzy zajmowali tej pani mie-

2

jsce w kolejce pochleb, wpuszczali ją przed siebie, ona dostawała bochenek, oni też brali i jej oddawali i dalej się wpychali do kolejki. Takich miałam kolegów!

Po ~~wy~~ wyjściu ze szpitala byłam bardzo długo chora; głowy nie mogłam podnieść – tak mnie bolała. Często mdlałam.

Mój przyszły mąż był wtedy w Warszawie. Gdy wrócił i on zaczął się mną opiekować. W maju 1940 r. wzięliśmy ślub. Zamieszkaliśmy w Wilnie, najpierw przy ul. Ofiarnej, później przy ul. św. Jakuba. W 1941 r. urodził się nasz syn....

W czasie okupacji niemieckiej mąż pracował, ja wychowywałam syna. Przedtem – za sowietów i Litwinów trzeba było ukrywać się, bo łapali i wywozili. Już na początku okupacji niemieckiej zaczęłam pracować w konspiracji – w ZWZ. Zajmowałam się noszeniem automatów, granatów, leków i opatrunków. Później – już w AK – woziłam broń do oddziałów w okolicy Dubienek (Giedroycie) – ok. 40–50 km od Wilna. Tak dotrwaliśmy do 1944 r. Braliśmy udział w akcji "Burza" – w Wilnie – od wschodniej strony miasta, gdzie przyszedł oddział "Szczerbca". Szliśmy cały czas z nimi, a za nimi 12 lipca przyszły wojska sowieckie. Ja ze znajomymi paniami organizowałam wyżywienie dla plutonu^u męża i innych, którzy zostali bez przydziału. Był to punkt pancerny im. B. Chrobrego. (tu: opowieść męża – Stefana Chodyko).

Z sowiecką partyzantką nie zetknęłam się wcześniej. Na terenie miasta jej nie było. A oddział do którego woziłam broń nie był w zasięgu tej partyzantki. Przedwojenne pogranicze polsko-litewskie {Dubienki Giedroyciowe}. Przez całą okupację mąż pracował oficjalnie, musiał, bo trzeba było z tych warsztatów "wypożyczać" do użytku partyzantów automaty, amu-

nicję i co tylko się dało, bo inaczej nie można było tego zdobyć.

Aresztowali nas w październiku 1944 r. – w nocy 24-go. NKGB wybili drzwi w domu aresztowali mnie i męża. Syn wtedy miał trzy lata. Miał przybraną babcię, u której przedtem mieszkaliśmy. W chwili naszego aresztowania był u tej babci. I całe szczęście, bo na śledztwie wciąż pytano mnie o syna i obiecywano, że wychowają go na komsomolca – co się im nie udało!

Zaprowadzili nas najpierw na ulicę św. Magdaleny, gdzie zaczęło się śledztwo. Tam był kiedyś Urząd Wojewódzki, ale oni wszystkie urzędy, szkoły zamieniali na więzienia tymczasowe, bo więzienia nie mieściły ludzi – tyle osób aresztowano – zwłaszcza tak jak nas – za udział w Armii Krajowej.

Później zawieziono nas na Łukiszki. Wsadzili mnie do ciemnej celi, bez światła i bez okna. Ciemna nocka, pojedynka, więc nie wiedziałam czy tam dalej jest przepaść, czy można iść, czy tylko stać. Niesamowicie zimno, bo wybite okna. Koszmarny galop myśli – jak się stąd wydostać?... To chyba każdy tak odczuwał... Następnego dnia przenieśli mnie też do pojedynki ale w której siedziało 6 osób: nauczycielka, dwie złodziejki Litwinki, ja i jeszcze dwie młode dziewczyny z AK. Wsadzali nam od czasu do czasu kapusia – taką babę za materacem, bo my spałyśmy na podłodze. Poznawałyśmy, że to kapuś dzięki tym złodziejkom – Litwinkom. Jedna była młodsza, a druga starsza – Tatarka. Ona siedziała nie pierwszy raz i dawała nam różne rady: że trzeba zamykać oczy w nocy – przed światłem – żeby wzrok się nie psuł. Uczyła nas pisanie kartek – grypsów, wróżenia, pukania, co chować w czasie rewizji. Był to bardzo dobry, życzliwy człowiek, bardzo dużo mi pomogła.

Na śledztwo zabierali nas na ulicę sw. Magdaleny, na parę dni, nie dawali tam jeść. Śledztwo odbywało się nocami od 10-ej do 5-6-ej rano. Pierwsze przesłuchanie miałam u Żyda-gruźlika... niesamowicie wyglądał. On nie bił, tylko strasznie maltretował: stawiał reflektor świecący w oczy, trzeba było stać godzinami, a on zasypywał pytaniami, raz poraz o to samo, w kołko Macieju, jedno i to samo. Miałam ochotę mu przyłożyć, kiedy dokładał drewna do pieca, ale fizycznie bym nie dała rady. Im chodziło o to, żeby jak najwięcej sypać, kto kogo znał, gdzie był, co robił, jakie kontakty, adresy. Ten śledczy dłuższy czas przesłuchiwał. Później wymienili go na dwóch Żydów – chyba polskich. Znali język polski, a jeden to musiał być partyzantem z naszych terenów. W przeciwieństwie do tego gruźlika – ci byli spasieni, grubi i oni mnie bili. Kazali ręce kłaść na stole i bili linijką po rękach, po głowie i pytali: kogo znała, gdzie chodziła. Mieli wszystkie nasze dokumenty, fotografie, które zabrali z domu: związane były w serwetę ze stołu. Trzeba było bajki opowiadać. Jeżeli kogoś znałam, to tak go opisywałam, żeby oni go nigdy nie znaleźli. Jeżeli było wiadomo, że jakiś dom jest zrujnowany do fundamentów, to się dawało ten adres. A za parę dni wszystko zaczynało się od początku: "kłamiesz job twoja mać" – że to nie ten dom. Ale ja z tymi Żydami tylko parę razy miałam spotkanie.

Śledztwo trwało od października 44 do marca 1945 r. Zakończył je Rosjanin, który niczego nie wymuszał. Zapisywał tylko to co mówiłam i zapytał mnie, kto nas sypnął. Ja mówię, że nie wiem. Powiedział, że to był jeden z Polaków. Pyta mnie, czy znam pseudo Bączek. Mówię, że nie, nie przypominam sobie.

A to był Jurek – żołnierz z mojego oddziału, Ślązak, który był w niemieckim wojsku i jako dezterter został przyjęty do naszego oddziału, do którego ja woziłam broń. I on nas sypnął nie przed Niemcami, ale przed bolszewikami. Komendanta "Nałęcza" posadził i wielu innych ludzi, których ja nie znałam.

W celi siedziała ze mną pani profesor Oszywianka(?), która w wolnym czasie wykładała nam historię starożytną i z którą przyjaźniłam się i później jeszcze raz spotkałam.

Kiedy dowiedziałam się kto nas sypie, chciałam w jakiś sposób powiadomić kolegów. Kiedy wiedziałyśmy, że nie ma wśród nas kapusia, to rozmawiałyśmy na ten temat ze złodziejką(tą Tatarką). Miałam bawełnianą spódnice, więc z paska wyciągało się nitkę i spuszczało się przez okno na dół do innych cel napisane kartki. Haczyk na tę nitkę robiłyśmy z takiego drewnianego patyczka od chleba. Oni wszystko zabierali w czasie rewizji, ale taki drewniany kawałeczek nie zwracał uwagi. U nas co jakiś czas strażnikiem był jeden Tatar – stary żołnierz. Moja złodziejka – Tatarka dogadała się z nim. I ona sama poprosiła go (nie ja) czy nie zaniósłby kartki do mnie do domu. Potem przyszła do mnie i mówi: " Jak on wieczorem będzie miał dyżur i powie, że dwie mają wyjść (ona chodziła sprzątać korytarz więzienny; politycznych do takich prac nie brali tylko złodziejki), to ty masz wyjść ze mną, bo to będzie znaczyło, że nikogo nie ma. On ci da papier i będziesz mogła napisać do domu". I przyszedł taki dzień, ja z nią wyszłam, ona zmywała podłogę, a on mnie pyta do kogo chcę pisać. Mówię, że do matki. Nic specjalnego nie pisałam, tylko pytałam o syna i rodzinę. Kiedy wyszłam następny raz, to on do mnie, że go oszukałam. Pytam dlaczego, a on, że to

nie moja matka, bo w ten sposób matki nie przyjmują wiadomości od dzieci. Ja mówię, że to nie moja matka, ale męża, tylko ja ją uważam za matkę. Trochę mi było przykro....Pomimo wszystko on przyniósł mi od teściowej parę kanapek, które wspólnie zjadłyśmy, kawałek mydła i grzebień. W ten sposób zorientowałyśmy się, że ten Tatar nas nie sypnął i nie zaniósł tej kartki do śledczego. W trzeciej kartce napisałam do matki, że jak przyjdzie ktoś z naszych, żeby mu tę kartkę oddała. I podałam nazwisko tego człowieka, który nas sypnął. Będąc już w Prowieliszkach dostałam list od kolegów, że się z nim rozprawili. Prawdopodobnie wykonali wyrok.

Sądziła nas w końcu marca Sądziła "Trójka".Zadnych świadków, żadnej obrony, oskarżyciela. Dostaliśmy 10 lat obozów z \$ 58 p. 1a i 11 i powiedzieli, że jesteśmy "izmienszczykami rodiny".. My rosyjskiego nie znamy. Zaprowadzili nas z powrotem do więzienia na Lukiszki.. Wpakowano mnie do dużej celi – duszno, ciemno, dużo ludzi. Ktoś pyta po polsku: kto to? – więc odpowiadam po rosyjsku: "izmieńszczyk rodiny". Dziewczyny się śmieją i pytają jaki paragraf. Powiedziałam, a one na to, że to zdrada ojczyzny. – A jaka to zdrada, kiedy Sowiety nigdy nie były moją ojczyzną?! jedna z kobiet nazwała mnie od razu "szlachcianką z zaścianka". Nazajutrz, kiedy już było widno i okazało się, że rzeczywiście mam serdaczek zapinany i długi blond warkocz, ona mówi: " no widzisz jak trafiłam, że szlachcianka z zaścianka.

W celi po jednej stronie leżały Litwinki, po drugiej Polki, a w kącie Rosjanki za wszelkiego kalibru odsiadki i nasze (polski) złodziejki. Trudno było wiedzieć za co siedzą, bo za każde głupstwo dostawały wyroki. Litwinki były przeważnie polityczne – też z \$ 58 – za współpracę z Niemcami, a to, że dawały komuś jeść, a to, że mąż, albo brat... wszystkich zgarniali. Im potrzebne było jakiekolwiek przestęp[stwo, bo potrzebny był robotnik do odbudowy kraju.

W tej celi było już trochę rażniej: siedziały baby – młode dziewczęta, zgrana wesola grupa.

Płatałyśmy figle, na przykład: Litwinki spały naprzeciwko nas, to my nogę jednej i nogę drugiej wiążemy rzędem jak leżą i pukamy do dyżurnego, żeby on otworzył drzwi i krzyknął, żeby wstawały wszystkie. No i teraz! Jak te bąby się zerwały! Każda w rozkroku, ubaw: kto płacze, kto się śmieje! A Rosjanki tańczyły, było też kilka Polek. Była taka Walentyna Samukowicz. Ojciec jej był Polakiem z pod Krakowa i prawdopodobnie brał udział w rewolucji po stronie ~~tamtych~~ ^{litwini} i Stalin go posadził jako Polaka. Matka była Żydówką. Więc to był ni pies ni wydra, ale znała język polski, znała b. dużo pieśni powstańczych, legionowych, bo ojciec ją tego uczył. Była też Kościuszkowa Maria. I rzeczywiście miała nochal z portretu Kościuszki. Tylko ona nie znała j. polskiego tylko rosyjski. Była z za Mińska, ona i inne, i kiedy w czasie rewolucji były małe, to rodziców wykończono a one zostały wychowane przez Rosjan, na sowiecki sposób, tak że myśmy z nimi nie miały nic wspólnego. Tańczyły, śpiewały, bo ich jakoś nie bardzo martwiło, że siedzą. Chyba lepiej im było. Były rade, że nie są pod kulami, żarcia napewno nie mniej niż w domu. Bo to z frontu, wojna jeszcze trwała.] Bardzo dużo było młodych dziewcząt, którym rodzice przysyłali codziennie obiady. Takie duże porcje, kasza, kotlety z sosami. Rodzina dbała, bo "może wywiozą"? , więc narazie trzeba było odżywiać. Naczelnik na to pozwalał, mam wrażenie, że ci co przynosili to w łapę samogon dawali, bo przecież nie dla idei. Do naszej celi bardzo dużo przynosili. W paczkach: suchary, słonina, cebula, czosnek. Więc to co dostawałyśmy my wszystkie - jemy razem - pięćdziesiąt Polek. Rozścielamy ręcznik i robimy kanapki - wszystko wspólnie. Część z tych paczek oddawało się naszym Polkom złodziejkom, które były razem z Rosjankami - a kto był Rosjanką to też trudno było powiedzieć. Może też były złodziejki. Uczciwych ludzi nie było. Kto nie kradł ten nie przeżył. Natomiast Litwinki nie dawały nigdy nic. Wręcz odwrotnie, nawet między sobą się nie dzieliły. Jedna jak dostała paczkę, to potrafiła wieczorem nakryć się kocem i sobie jeść. Nie było ani wspólnego posiłku ani dzielenia się. Wynikało to chyba z wychowania, z tego co się z domu wynosi. To były katoliczki. Ale mnie się zdaje, że najważniejsze co z domu się wyniosło. Była taka starsza złodziejka, miała pseudo "Kot" , b. sprytna, niebrzydka, nie wysoka kluseczka. To my wołamy: "Kici, kici!" - "Kot" przychodzi, dajemy worek i one się dzielą. A te Litwinki /ta cela była przeznaczona dla 6-8 osób i były kiedyś łóżka normalnie przymocowane do ściany, takie ~~pręga~~ /kładły sobie za tymi pryczami, toboły, żywność, swetry, płaszcze. To te złodziejki potrafiły nocą podejść do nich i wykraść im. Umówione z dozorcą oddają mu te rzeczy, to on później papierysy im przynosi, coś do zjedzenia, do sprzątania - w każdym razie mieli swój sposób. Raz ukradły Litwinkom, drugi raz, więc rewizja, wszyscy na nogi i szukają. Ale nie ma takiego płaszcza ani swetra, sukni - co do

żywności trudno było sprawdzić, ale nigdy nic nie znaleźli. I nasze dziewczęta zaczynają te swoje tobołki trzymać bliżej siebie, pod ścianą, bo my spałyśmy na waleta. Podchodzi "Kot" i mówi: "Wy głupie, nic nie chowajcie, bo od was nikt nic nie weźmie, my wiemy od kogo mamy brać". I nigdy nas nie ruszały, nic nie ukradły.

3. Ostatnie dni kwietnia /29-30.IV/ wysłali nas. Wcześniej był duży etap wysyłki na północ i właśnie b. dużo naszych dziewcząt ^{te mizeroty} zabrali, a takie słabsze, mizerniejsze zostały. I zaczęli zbierać nas na etap, dokładnie nie było wiadomo gdzie, pieszo, o świcie, na dworzec do wagonów więziennych specjalnych ("stołypieśki"), - i wywieźli nas pod Kowno. Cały 1 maj /święto/ przetrzymali nas w wagonach. I z tych wagonów zabierali nas - przywozili do miejscowości Pro^{Wieliszki}jejszki. To była taka kolonia w lesie i tam wydobywano torf. Wśród zabranych majątków było kilka litewskich: jeden ministra litewskiego, bardzo ładnie zagospodarowany /byłam tam parę razy/ i drugi, który był bliżej, gdzie nas ganiano codzień do pracy. Wszystko było zniszczone: szklarnia - kupa szkła i żelastwa - dom, drzewa powycinane, stodoła, obory stały otworem, nic nie było. A pole uprawiali, tylko pożytku z niego nie było. I początkowo, jak nas tam przywieźli, posłali na tak zwany zakryty grunt, na prace do cieplarni. Nas było wówczas b. mało kobiet bo byli również mężczyźni. Była taka pani Zosia. Ona bardzo przeklinała swego męża - prawdopodobnie był wojskowy - za to, że za niego siedzi. Była Białorusinką, prawdopodobnie ^{Polka} z pochodzenia. Nazwisko miała Barin Maria, bardzo sprytna bestyjka. Bo są ludzie, którym trzeba mówić, wałkować i tacy, że jak spojrzymy jeden nadrugiego to bez słów się rozumiemy. I taka była właśnie ta bestyjka. To były Polki. Była potem Rosjanka z Litwy: Sławińska - to nazwisko trzeba pamiętać, bo ten człowiek odegra pewną rolę. Później była Wiera Iwanowna Szyskowska z pochodzenia Rosjanka, mąż był Polakiem, kompozytorem, a dzieci jej zabrali i wywieźli w inną stronę, a ona ani o tych dzieciach ani o tym mężu nie mogła nic się dowiedzieć. Była tam z kolei jeszcze Litwinka Wiera Sawiczenko z Kowna, też bardzo sprytna baba, który była szowinistką. Ale kiedy my dłuższy czas w obozach z nią byłyśmy, przekonałam się, że Polak czy Litwin, to nie miało znaczenia. Mógł być b. uczciwy, jak się później okazało. Była też Fiodora Sienkiewicz, Polka z pochodzenia, którą będąc dzieckiem została wychowana w kołchozie, nie znała j. polskiego, wychowana po rusku. Uczyła mnie jak przeżyć. Była też Krzywicka Kława - Rosjanka i Anuszką.

Cały obóz, gdzie były warsztaty, koszary, wszystko mieściło się w jednym ogrodzeniu. A w tym ogrodzeniu oddzielonych było kilka baraków, gdzie byli więźniowie, z tym, że na rogach były jeszcze umocnienia jak bunkry do obrony. To budowali jeszcze przed wojną Litwini jako miejsce odosobnienia,

Później byli bolszewicy, potem Niemcy a po Niemcach znowu bolszewicy. Pracowali więźniowie, była obsługa i nadzór, wolnych nie było. Wąskotorówką przyjeżdżała tylko obsługa. Ładowaliśmy torf, drzewo. Były warsztaty stolarskie, gdzie wyrabiali różne rzeczy, które były zamawiane i wywożone tą wąskotorówką. Ja tam blisko nie byłam, nie widziałam tego. Pierwsza praca była w cieplarniach; szykowałyśmy różne flance, pikowałyśmy. I tam był agronom Iwan Wasiljewicz, nazwiska nie znam. Był też Białorusin Filipowicz, bez imienia i był stary Ruski - Piotr Iwanowicz. To byli więźniowie - pomocnicy. A ten agronom opowiadał: "To był ideowy komunista, który dbał, żeby nic się nie marnowało, żeby ludzie uczciwie pracowali, żeby nikt nie kradł, zawsze patrzył na ręce". Pytam za co on siedzi. "Doszedł pod Berlin a że był mechanik to się rozglądał i mówi, że te motory niemieckie to są dobre, lepsze od naszych. I ktoś poszedł do politruka i powiedział. Zabrali mu wszelkie odznaczenia - za to dostał 10 lat. Ale komunista nie przestał być."

I kiedy popędzili nas do tej roboty, to ważne było to, że człowiek się ruszał, że było powietrze, dookoła las, słońce świeciło. Trochę duszno, bo to szklarnia była ale nie najgorzej. I głodu nie było. Ja miałam ze sobą troszkę sucharów, czosnku, cebuli. Suchary smażone na tłuszczu, nic takiego dobrego nie miałam, ale to były rzeczy, których oni wogóle nie mieli a szczególnie Rosjanie. Więc jak przyszłam do tej roboty, dałam jednemu, drugiemu kawałek suchara, główkę cebuli albo czosnku, żeby się podzielili. Zawsze o tym pamiętał Iwan Wasiljewicz. Popracowałyśmy tam troszkę, ^{skowczyta} zaczęła się wojna. Czas jednak się ciągnie. Pod Kownem wiosenka trochę później przychodzi; i tak jak latem noce nie są takie ciemne, tak tam już wszystko później przychodzi. I kiedy ziemia troszkę się ogrzała to trzeba było zasiewać. Nie mieli ani traktora, ani osła, ani konia, ani pług, ani żadnej rzeczy która jego jest. Natomiast mieli więźniów.

^{Wolnie)} Był jeden bardzo duży barak, w którym mieściła się kuchnia i stołówka zamykana na noc na kłódkę. Tam byli mężczyźni. Drugi był ^{skowczyta} mniejszy w nim jeden pokój nieduży, gdzie były kobiety/było nas niedużo/i jeszcze duża sala /nigdy tam nie zaglądałam/, gdzie leżeli mężczyźni, tacy którzy mieli biegunkę, całkiem na wykończeniu. A każdy barak miał ubikację - po za tym nie można było wyjść, zamknięty był i koniec. I ci mężczyźni - ich tam było dość dużo - więc nie któryś z nich siedział w ubikacji. Jak my chciałyśmy pójść - na cienkie to miałyśmy wiaderko, ale jak trzeba było to się zbierało na kupę - jedna brała miotłę a brała ta Sienkiewicz /tp był gieroj-baba, w kołchozie wychowana "nie ukradniesz to nie przeżyjesz, w łeb nie walniesz to nie przejdiesz / stała i "XXXXXX baby wszystkie tu zaczekajcie" a tych wszystkich goniła i wołała "zaczekajcie, zaczekajcie, nasza koleżka!". I tak może dwa razy na dzień się chodziło inaczej nie można było. W baraku były prycze, ale nie dawali ani sienników, ani kocy, ani pościeli, ani ubrania, ani obuwia. Każdy miał płaszczyki co z domu mieli swoje rzeczy.

Wyganiają nas do majątku, tego bardziej zdewastowanego, na prace polowe. Majątek nazywał się Pomierza. Przechodziło się tory kolejowe i za koleją ze 4 kilometry. Przychodzimy tam: rozbite koryto. Przy tym stawek: takie oczko w polu, krzakami obrosnięte - dość daleko a lasu blisko niema. Domki rozrzucone dookoła i jeden duży stary dom bardzo zniszczony drugi nowy - obydwaj mają okna pozabijane deskami. Dali nam suchy prowiant na obiad: trochę jaglanej kaszy, po parszywej rybce - nie śledzie ale jakieś płoteczki solone - i zamiast tłuszczu trochę cukru. I to jest obiad. Teraz... kto będzie gotować? Postanowili, że ten obiad musi być ugotowany. Mężczyzn było bardzo dużo, byli wygłodzeni, opuchnięci. Bo jak przywieźli nas na kolonię, to ja patrzę a w obozie każdy ma buzię w takim dziwnym kolorze fioletowo-zielonkawym. Później patrzę, że i u mnie rączki też zaczynają takie się robić i twarz. Dawali nam jakąś taką kaszę-ciapkę robioną z łubinu, gorzką, nie do jedzenia. To póki miałam trochę sucharów, zjadało się chleb, aż to odsuwałam. I zawsze jakiś mężczyzna stał daleko i patrzył jak ja to odsuwałam, brał tę miseczkę i zjadał. Więc stoimy przy tym domu, jest nas ze 200 osób. Każdy dostaje szpadel i idziemy kopać pole. Ziemia ciężka jak glina a tu więzień i szpadel. Ale trzeba żeby ktoś gotował obiad. I wśród tych więźniów znalazł się Żydek. Uś ! On jest kucharz! Odrazu! A ten naczelnik konwoju popatrzył się i mówi: "O nie! Ty to nie!" Bo Rosjanie strasznie Żydów nie lubili. Ilekroć spotkałam się w obozach z inteligencją, to takiego antysemityzmu jak w Rosji to nigdzie nie widziałam. - I ten naczelnik popatrzył się, popatrzył i wskazując na mnie mówi: "Ty będziesz gotować!". Zostaje ja gotować; oni idą. Zaraz za tym domem mają kopać. Żołnierzy tak dużo nie było, żeby któryś z nich ze mną został. A wojskowy, który doglądał tego majątku, też go nie było. Ale była żona Rosjanka, stara rozlazła baba. I on do niej się zwraca: "Jekaterina Pietrowna, wy będziecie doglądać tej kobiety. Ona będzie tu, na kuchni." Ona mówi: "Dobrze". Oni wyszli, ja zostaję. Mam w woreczku trochę tej kaszy, te ryby i troszkę cukru. Ona pyta., co ja za prowiant mam. Pokazuję, a ona: "To wszystko?". Wiesz co, chodź, ja ci pokażę coś, co możesz sobie wziąć do ugotowania". Zaprowadziła mnie do starego spichrza, gdzie było dużo gęstych i rzadkich sit, i niesamowicie dużo, pełne zasieki nasypanej ospy dla koni, świń, bydła. Ona mówi: "Weź sobie sito i możesz sobie ^{nasiać} całe wiadro tej maki." ^{od góry} Potem zaprowadziła mnie pod duży dom z oknami ^{zabitymi} na gwoździe. Na dole rozsuwały się deski." A tutaj wejdziesz i weźmiesz wiadro ziemniaków, nie więcej - widocznie to były ziemniaki przyszykowane do sadzenia. Baba nie wyłaziła, nie podglądała mnie. To ja wyszłam, przyniosłam jedno wiadro ziemniaków, wsypałam do worka, drugie, trzecie. Dwa wiadra ziemniaków wymyłam. Kocioł do gotowania wody jest ogromny. Włożyłam ziemniaki do worka i razem z workiem do gotowania, żeby mi było łatwiej wybierać po gotowaniu

Na oczyszczone, ugotowane ziemniaki robię zacierkę z tej mąki i mam duży kocioł zupy fest. To co mam ugotowane legalnie - za jej przyzwoleniem - też muszę chować. Tylko, że ona nie sprawdzała, nie zaglądała. Na wszelki wypadek gotowałam w worku, bo w razie czego: "grzeję wodę do zmywania". A jedliśmy w miskach aluminiowych, które braliśmy z obozu i z powrotem zanosiliśmy. Przychodzą moi ludzie, siadają dookoła stołu, rozdzielam najpierw rybę na przystawkę i po parę ziemniaków gotowanych i mówię: "Jedzcie tak, żeby nie było znaku po ziemniakach". Nikt nie obierał, każdy jadł jak leciało z tymi rybami. Później nalewam im po misce tej zupy. Zupa to jest woda, ziemniaki i mąka - nic więcej - a proso ugotowałam w oddzielnym garnku, zasypałam cukrem i to jest trzecie danie. Wszyscy dostali równo.

A pozostałe ziemniaki, które zostały dałam później swoim Polakom.

Brygadzystą był wówczas Szczogalow /leitnant/ - strasznie brzydki, ospowaty, straszny z wyglądu, ale spokojny i uczciwy. Jemu też wsunęłam dodatkowo parę ziemniaków, bo jednak człowiek zależny był od niego.

Pracowałam tam chyba z tydzień, a ja codziennie gotowałam. Kopanie tej ziemi było ciężkie i nie bardzo mi się tam podobało, więc poprosiłam agronoma żeby wziął mnie do siebie. On powiedział władzom obozu, że potrzebuje robotników i wymienił moje nazwisko. Pracowałam u niego przy flancach. Później trzeba było obsiać pole, ale to przeważnie robili mężczyźni. Czym oni to robili - nie wiem. W każdym razie buraczki, które później pieliknęłam rosły w równych rzędach. Buraczki miały do 10 cm wysokości, a trawka - 50cm, tak że trzeba było się porządnie przysłuchiwać co jest co, żeby to wypielić.

Na wiosnę przyszedł nowy etap z dużą ilością Litwinek. Kobietom zrobili wtedy barak w zonie roboczej. Mężczyźni zostali w obozie, a nasz barak pilnował tylko jeden ~~nieznany~~ żołnierz.

Wygonili nas na to opielanie. Dali gracki i stajemy do pracy. Pani Sienkiewicz mówi do mnie tak: "wiesz co, będziemy razem w parze, ja ci pokażę jak to robić". Litwinki - gospodarne - zaczynają kopać ziemię i wyrywać chwasty z korzeniami. A moja "fuhrerowa" mówi: "birz gracę, mocno ją pociągnij i trawę zetniesz przy ziemi - przy korzeniach". Przy buraczkach blisko nie kopujemy tylko co 50cm robimy jamkę i rozgrzebujemy ziemię. Ja mówię: "Słuchaj, to przecież zaczniesz szybko rosnąć jak zostaniesz kopana".

A ona na to: "Głupia jesteś. Chcesz odsiedzieć wyrok i przeżyć? - to rób tak, jak ja ci każe". Tak pracując wyszliśmy w polu dużo naprzód - przed innymi, bo to "hakanie" z korzeniami dużo czasu zabierało. Chciałyśmy się poza tym oderwać od innych, żeby nas nie podglądali. Postaliśmy sobie, zapaliłyśmy /nauczyłam się palić jeszcze w więzieniu - od pani Szalewiczowej, która dostawała papierosy w paczkach. Była aresztowana tylko za to, że postawiła nogę na kartce, która wypadła innej osobie. Ale niedługo ją zwolnili/.

Idziemy naprzód, naprzód, a pan naczelnik na koniku jeździ po polach i patrzy przez lornetkę jak kto pracuje. A my na przodzie jak dwie przodownice. Wreszcie naczelnik podjeżdża do nas. Ja jeszcze nie byłam przyzwyczajona do ich systemu pracy, więc złękłam się, miałam drżączkę w nogach, ale obie patrzymy na niego beczelnie. On z zadowoleniem mówi, że jesteśmy takie przodownice, pyta o nazwiska, częstuje papierose. Odjechał. Ja nadal miałam skrupuły, że to wszystko po dwóch dniach odrośnie, ale Sienkiewicz na mnie pękryczała, że tutaj nikt nie sprawdza i przekonała mnie.

Przychodzimy do obozu. Przy wejściu stały dwie deski: jedna czerwona, druga czarna. Na pierwszej były wypisywane przodownice, na drugiej - nieudolne. I nasze nazwiska były już na tej czerwonej. Naczelnik podszedł i poczęstował nas jabłkami /chyba to były papierówki/. Nie mogłam ich przełknąć, rozdałam babom, bo jeszcze mnie sumienie gryzło, że nawet się nie spociłam przy tej pracy jak inne. I później już się ta opinia o nas utrwaliła - jako o dobrych pracownikach. Ale często prosiłam agronoma, żeby mnie uwolnił od tego pielienia. A on pamiętał, że mi dawał suchary, jak był taki głód i obiecał, że mi zawsze pomoże. Zatrudnił mnie do oczyszczania jabłek z robactwa: siedziałam na drzewie, rozglądałam się, myślałam: niech robaki sobie żyją, bo i tak tych jabłek my nie będziemy jedli.

Później wygarniają nas na żniwa - z noclegiem w majątku. Mężczyźni umieścili w nowym domu z oknami zabitymi deskami, a kobiety poszły na stawy. Po pracy gonili nas wszystkich do mycia - do stawku - mężczyźni

i kobiety. Żołnierze stoją i przyglądają się. Kobiety jakoś próbują się zasłaniać, ale to było takie uciążliwe i straszne, nie do zniesienia. Byliśmy tam chyba z tydzień.

Później było zbieranie i przygotowywanie do suszenia tytoniu. To była praca na wagę złota, bo większość mężczyzn z domu nie dostawała. Mężczyźni-Rosjanie nie pisali do domu, bo nie chcieli się przyznawać do wyroku, no i nic nie dostawali. A paczki przychodziły - przynosił je ze stacji dozorca.

Agronom uważał, że ja jestem bardzo uczciwa - prawie komunistka, bo jeśli się podzieliłam tymi sucharami to już coś znaczy. I wziął mnie dotego tytoniu. Ale bacznie obserwował wszystkich i jeśli ktoś podszedł do płotu i coś komuś przekazał - to fora ze dwora i więcej do tej pracy nie przyszedł. Więc ja tym, którzy za płotem łazili czekając na trochę tytoniu, mówię: "Słuchajcie, nigdy nie podchodźcie do mnie blisko, wezmę tytoń, podsunę pod płot, wy tam połażcie, udawajcie że zbieracie szczaw czy pokrzywę, tylko nie podchodźcie do mnie nigdy". W polu chodziłyśmy w spodniach-bryczesach i w butach z cholewami. W spodniach miałam wszyte głębokie kieszenie, w które kładłam ten tytoń ale tak, żeby nic nie było widać. Agronom bardzo mi wierzył i do suszenia tytoniu na jesieni ja tylko byłam dopuszczana. I sama mogłam zapalić.

Przychodzą wykopki. Wypędzili nas na cały tydzień. Błoto, deszcz, glina... Chodzimy w swoim obuwiu, chyba że ktoś już nic nie miał. W obozie były magazyny z ubraniami, które tam szyto i wysyłano do Rosji. Szyto je z niemieckich szyneli wojskowych /miałam z tego żakiet/. Z tych magazynów kradło się ile się dało. Miałam też czapkę z futra - stamtąd.

Po tygodniu kopania wracamy do obozu. Umyłyśmy się wreszcie w kądowni. W poniedziałek mają nas znowu wyganiać. Jedna ze starszych Litwinek - świetny psycholog - mówi: "Dziewczyny, ubierajcie się jak do pracy, ale przedtem was umaluję". Miała szminkę, nakręciła nam włosy, każda miała mieć papierosa w gębie i uśmiechać się. i wyglądać tak, jakby się cieszyła z tego, że wychodzi.

dzimy. Wychodzimy na drogę, a mężczyźni dopiero wyganiają z obozu na plac. My stoimy wyzywająco, śmiejąc się, z papierosami. A naczelnikiem obozu był Żyd - okropny. Popatrzył się na nas i mówi: "A etich borodiej odstavit /te kurwy zostawić/". Mnie do głowy by nie przyszło, żeby na taki pomysł wpaść. Potem młodsze Litwinki to po rękach tę babę całowały, że je uchowywała od tej ciężkiej pracy. A w pojęciu naczelnika to była dla nas ~~większa~~ kara. Na nasze miejsca wysłał więcej mężczyzn, którzy nas za to klęli. I ja już więcej na te wykopki nie chodziłam.

W obozie było kilka brygad męskich z brygadziistami - oficerami rosyjskimi. Kiedyś pod koniec żniw wróciliśmy na niedzielę do obozu i jeden z tych brygadziistów - Ałaczatow - zaczął się chwalić, że tam, w polu to do bab kolejka stała. I nasi panowie ^{/Polacy/} ~~Polacy~~ zaczęli pisać do nas kartki - jak my się tam prowadzimy? - chociaż brygadziista nie wymienił nazwisk - do kogo ta kolejka stała. Kartki nam podawali jak przynosiłyśmy jedzenie i wodę z męskiej zony. I w ten wolny dzień wygonili ~~wsz~~ wszystkich, żeby robić porządki w obozie. Mnie się nie chciało, więc poszłam do cieplarni - może tam coś dla mnie znajdą. Każali mi jakieś koszyczki ustawiać. W pewnej chwili wchodzi ten Ałaczatow. I mnie poniosło. Podchodzę do niego i pytam: "Do kogo i gdzie stałeś w kolejce? On zbaraniał. A ja paznokciami przejechałam mu całą gębę - aż się zalał krwią. To było dla niego takie nieoczekiwane, że w pierwszej chwili zgłupiał i stał. Potem, kiedy wreszcie rzucił się na mnie, to ogrodnicy zaczęli mnie bronić. A ja jeszcze rzuciłam w niego koszyczek z ostrymi kolcami i dodatkowo przeorałam mu łeb. - a łby mieli golone. Ogródniccy wyrzucili go z cieplarni, dali wodę do przemycia twarzy. Przychodzi dyżurny oficer - patrzy na niego /a miał na sobie oficerski mundur - pyta co się stało, a brygadier powiedział, że się pobił z "dziewką". Dyżurny go zwymyślał i pogonił.

Za parę dni dziewczyny doniosły mi, że ci oficerowie /a bardzo dużo ich siedziało/ mówili, że mnie zabiją: jak to, "faszystka" śmiała ruskiego oficera uderzyć. I zaczyna się nagonka na mnie. Przychodzi moja kolej pójścia do męskiego obozu po jedzenie, więc przekupuję dziewczyny, że-

by któraś poszła za mnie - ceruję dla nich, piorę... Bałam się, bo już było ciemno - że nóż pod żebro - i koniec. Ciągnęło się to chyba z miesiąc. Strasznie mi to na nerwy działało.

Kiedyś wygonili nas koło obozu na małe pole do zbierania buraków. Żołnierze nas obstawili. Pracowaliśmy 50 minut, a potem była przerwa na papierosa. Ponieważ miałam sporo tytoniu w kieszeniach, więc zakręcam sobie papierosa, siedzę i palę. Podchodzi do mnie paru ruskich oficerów i proszą, czy mogą zapalić. Częstuję ich i mówię: "Słyszałam, że macie do mnie pretensję o to, że podrapałam gębę temu oficerowi". I opowiadam za co mu to zrobiłam. Jeśli do kogoś stał w kolejce, to trzeba było powiedzieć nazwisko, a nie na wszystkich gadać. Oficerowie zawołali tamtego, ale on siedział dalej i nie przyszedł. Zmienił się front. Za dwa dni dziewczyny przychodzą i mówią, że mogą już chodzić po żywność do męskiego obozu, bo na ściennej gazetce jest tam narysowane: pień ogromny, a na pniu leży z ozorem wywalonym łańcuchem, a ja lecę z ogromnym nożem, bez jednego drewniaka. I napis: "Za sprawy obszczyje i licznyje jejo, udarila karzinkę/?, podrapała lico". I zaczęłam już normalnie chodzić do męskiego obozu.....

Fewnego razu lekarz obozowy /Żyd/ wymyślił sobie badanie kobiet. Spędzili nas do obozu męskiego, kazali się rozebrać. Dziewczyny 17-to, 18-letnie wybiegały od lekarza czerwone jak piwonie - po tych badaniach. Stała za mną w kolejce Rosjanka Demisowa z Moskwy /artykuł za zabójstwo - podobno swego kochanka/ i powiedziała, że "Nie pójdę, żeby mi Zyd łapy wkładał..." Ja też nie poszłam. Stoimy, czekamy, lekarz wychodzi i pyta, dlaczego my nie wchodzimy. Obie odpowiedziałyśmy, że jesteśmy teraz chore i nie możemy być badane. Naczelnik obozu zgodził się, żebyśmy w takim stanie nie były badane i jakoś nam się upiekło.

Późną jesienią agronom kazał nam na strychu suszyć tytoń. Strych był bardzo przewiewny, zawiąło mnie, dostałam dreszczy i bardzo paskudnie się czułam. Wieczorem poszłam do przychodni, mówię, że bardzo źle się czuję, a ten Żyd na mnie: "Tak, jak na badania - to chore jesteście, a teraz to po zwolnieniu przychodźcie". Poprosiłam o termometr, ale on mi zwolnienia nie dał.

ale on mi zwolnienia nie dał, tylko jakąś pastylkę. W nocy miałam chyba ze 40° i zaczęłam mówić od rzeczy. Brygadzistka Rosjanka - wyszła przed barak, narobiła krzyku, że potrzebuje lekarza do chorej w baraku. Był tam felczer wojskowy - Kowalow, który już bez konwoja chodził i przyszedł do baraku. Dowiedział się jaka jest temperatura, spytał, czy byłam w przychodni. A oni tylko czychali na tego Żyda, bo ten felczer chciał zająć jego miejsce. Mój przypadek posłużył do tego, że następnego dnia usunięto Żyda ze szpitala i poszedł do fizycznych robót.

Pracownice kobiety pracowały przy "remontach" ubrań i bielizny pościelowej. Nie było wyznaczonej normy, więc dali młodego przystojnego mężczyznę, który miał liczyć czas stoperem. Ja siedziałam razem z tą Sienkiewicz. Brygadzistką naszą była wtedy Janka ~~ONinka~~/ Wojnicka - przystojna, ładna, wygadana baba. Usiadła obok tego chłopca, a my bierzemy po 2 prześcieradła - jedno pod spódnicę, drugie na wierzch i szujemy łatki. Ona go zagaduje, żeby na nas nie patrzył, on się jej przygląda, bo bardzo ładna pracownica. Z tego drugiego - schowanego to szło się potem nocne koszule, majtki, co się dało.

Ubrania, które reperowałyśmy były stare, zniszczone, chyba z trupów zdejmowane.....

U nas w obozie niektórzy puchli z głodu. Okazało się, że ten nasz pan naczelnik wykradał część prowiantu przeznaczonego dla więźniów. Zaczęli masowo umierać młodzi ludzie - mężczyźni, którzy mieli najcięższą robotę i brak dostępu do warzyw. Wtedy ktoś się tym zainteresował. Przyjechała jakaś komisja i tego naczelnika zabrali. Prawdopodobnie był skazany, bo doszli, że kradł.

Przyjechał nowy naczelnik, wszystko pozmieniał i od razu poprawiło się jedzenie - i ziemniaki dawali do zupy i buraki i kapustę. Kobiety mówiły, że ten nowy musiał być naczelnikiem obozu gdzieś na północy.

Kiedyś reperowałyśmy rękawice i czapki, wszedł ten nowy naczelnik i spytał, kto umie robić sztuczne kwiaty. Ja podniosłam rękę i jeszcze jedna młoda Litwinka. Dał nam pokoik do pracy. Poszła do magazynu po różne kolorowe materiały i po jakąś farbę. Zrobiłyśmy dużo tych kwiatów z jedwabiu - wyglądały jak prawdziwe. Oni to wysłali do Moskwy. Robiłyśmy głównie róże.

Kiedyś w męskim obozie spotkałam brygadzystę, z którym pracowaliśmy przy kopaniu ziemi. Powiedział mi, że właśnie pracuję w jego brygadzie bo on jest od kult-brygady /kulturalno-wospitatielnyj/ i on mi nigdy nie da mniej niż 110% normy.

Fewnego razu jak się kręciłam po obozie podchodzi do mnie Litwin i daje mi jakieś zawiniątko - pytam, komu mam przekazać, a on mówi, że to dla mnie. Zdziwiona mówię, że ja go przecież nie znam. A on: "A w pamiętacie tę gorzką kaszę, której wyście nie jadły, odstawiałyście? Ja zawsze dyżurowałam i czekałam, aż pani to zostawi. Może dlatego przeżyłam. A teraz dostaję dobre paczki z domu i daję pani trochę". Był tam boczek i suchary.

W obozach byli ludzie - różnej narodowości, którzy pamiętali najdrobniejszą przysługę.

Przychodzi Boże Narodzenia. Jest już nowy naczelnik, można dostawać paczki od rodzin. Ja prawie nie dostawałam paczek /jeśli - to nie od rodziny/, ale inne dziewczyny - dużo. Zrobiłyśmy choinkę, ubrałyśmy ją kolorowo. Był opłatek na stole i każdy był zaproszony na Wigilię. Władze obozu o tym wiedziały i nie protestowały. Nasze panie przy ~~opł~~ opłatku położyły z jednej strony biało-czerwoną wstążeczkę, z drugiej - żółto-zielono-czerwoną. A że choinka była też w kolorowych wstążkach więc kto nie wiedział, to mógł się nie zorientować.

Po świętach spałam obok Ani - Rosjanki. Jednej nocy mówi mi: "nie znam waszych ludzi, ale ciebie trochę znam, uważam, że jesteście porządnym i uczciwym człowiekiem. Byłam wzywana przez sędziego śledczego i on

pytał mnie, czy były jakieś sztandary polskie i litewskie na tej Wigili. Odpowiedziałam, że ja nie widziałam. A on mnie przestrzegł, że skoro ktoś przyszedł i powiedział o tym, to ja też - jako rosyjski lejtnant - też powinnam wiedzieć. Czyli wśród waszych ludzi jest kapuś, który donosi, a ja was przestrzegam, bo tem jestem więźniem".

Ostrzegłam swoje dziewczyny i doszłyśmy do wniosku, że musiał donieść ktoś, kto wiedział, co oznaczały te 3 kolory na stole. Musimy więc inną obserwować. Wieczorem wzywa mnie przed barak dozorca - Ukraińiec, który rozwoził listy i mówi: "Ja coś dla was mam". A oni tego nie robili za darmo - za gorzałkę, papirosy/. Przywiózł mi nożyczki, list, ołówek, igł^ę, nici, mydło itp. Prosił, żebym o tej przesyłce nikomu nie mówiła.

Powiedziałam do swoich, że jak dostaniemy paczki to musimy obserwować zachowanie ludzi. Była jedna Rosjanka - Sławińska, chuda, drobna, z latającymi oczami. Zwsze, jak któraś dostała paczkę, zaglądała do niej, zwłaszcza do tych, którzy czytali kartki. Podchodzi do jednej Litwinki - Ani i pyta po litewsku "co mama pisze?". A my ją obserwujemy. Często ważyłyśmy ją, bo ona paczek nie dostawała. W Prawieliskach byłam od kwietnia 45^{r.} do lutego 46^{r.}

Nr. 7
Kampuf
↓
Po Nowym Roku zabierają nas na etap /46r./ - część wywożą, m.in. Niukę, Anię Dziewulską. Ciężarówkami wiozą nas do Wilna - do klasztoru sióstr Wizytek. Tam w podziemiach były cele. Spotkałyśmy kilka znajomych z obozu. Tam powiedziałam do znajomej Litwinki, że musimy "serio" z tą panią Sławińską pogadać. Miałyśmy na sobie drewniaczki. Przysiadałyśmy się do niej. Każda z drewniakiem w łapie - po obu jej stronach. Nie wszyscy wiedzieli o co chodzi. Pytamy ją: "Pani Sławińska, jakie chorągwie były położone przy opłatku na Boże Narodzenie?" Ona mówi, że nie wie. My: "Taak? A ten śledczy nasz w obozie wiedział? A pani wie, że on wzywał ludzi i pytał?" Jeszcze zaczepiamy ją o to i o tamto, a potem jedna z jednej strony tym chodakiem po głowie, druga - z drugiej /ale nie po twarzy/. I baba wypowiadała się ze wszystkiego. Stłukłyśmy babę tak, że zaczęła puchnąć. W końcu położyłyśmy ją na prycze. Ona donosiła chyba za jakieś paczki i żeby ją na ciężkie roboty nie wysłano, może za inne rzeczy....

Ta Sienkiewicz też była zdemoralizowana. Często rozmawiała z dozorcami, ale jakoś się jej nie przyglądaliśmy dokładnie.

Następnego dnia po tej rozprawie z Sawińską konwój z młodym oficerem zabiera nas, robią rewizję. Ja miałam buty-saperki z podszewką. I między tą podszewką i skórą sunęłam wszystkie niedozwolone rzeczy - nożyce, nóż, papiery, ołówek. Z tymi butami wędrowałam po obozach i nic nie znaleźli. Konwój podchodzi do tej pani z opuchniętą gębą: "Awy co, chor

I zostawili ją w tym obozie - szczęśliwie dla niej, bo jeszcze więcej by dostała. " w wagonach można było tłuc i nikt by nie doszedł za co.

Jeśli kapuś był dobijany, to nigdy nikt nic nie widział i nie słyszał.

W tym klasztorze były szwalnie i tam spotkałam prof. Oszywiankę, z którą w więzieniu dzieliłam się paczkami. ~~Dzięki~~ przez nią m.in. po-
łączyłyśmy wiadomości do swoich rodzin - ale ja nie dostałam nic. I ta pani profesor /nauczycielka/ - będąc sama więźniarką - zaopatrzyła mnie na drogę w cukier, chleb, suchary, czosnek... tylko to miałam na drogę do obozów. *Latem 45r. uciekły stamtąd 2 Polki z Rosjaninem - kierownikami pralni. Uciekły w sukniach zakonnych.*

Wsadzili nas do wagonów - męzowska matka stoi, bo dostała wiadomość że mnie wiozą. Przyszła sama, chociaż prosiłam, żeby mi syna pokazała..

W wagonie były prycze i luźne deski. Wchodzimy na te prycze, a ta Sienkiewicz już się zyczyna rzadzić. Jamówię, żeby tych desek nie wyrzucać, bo wszystko może się przydać. A ta mordę drze. To ja nania: "Widziłaś Sławińską? To ty teraz w etapie swoje dotaniesz. Wiesz zaco..." I ona tak się schowała, że przez całą drogę nigdy nie wylazła po żarcie tylko ktoś jej musiał przynosić.

Ja byłam wtedy ubrana w buty z cholewami, bryczesy, czapkę futrzaną i granatowy, kolejowy szynel. W wagonie było nas 69. Dali tam dużo obcych kobiet z więzienia i sporo znajomych z obozu. Do wagonu zajrzał młody oficer i przygląda się nam. A babom z frontu ściągnęli mundury i dali waciaki - wyglądały jak reszta więźniarek. A ja siedzę w tych bryczesach, w czapce i widocznie rzucałam się w oczy. I on do mnie: "A wy co, żołdat?" Ja kiwam głową, że tak, chociaż wtedy jeszcze dobrze po rosyjsku nie umiałam mówić. Dobrze już opanowałam ordynarne słowa

i przekleństwa, ale normalnego języka jeszcze nie znałam. Oficer powiedział, że będę "starszą" w wagonie, czyli tą, która pilnuje porządku, rozdziela żywność, wodę, dogląda wszystkiego. Więc mam władzę. Rozdzielałam żywność, każda z więźniarek po kolei ma dyżur, staram się za dużo nie mówić i baby nie bardzo orientują się, kto ja jestem. Ale zachowałam reżim, że nikt nawet nie pisnie. Steńka, która chciałaby trochę porządzić jako ruska dostała po mordzie od razu i siedzi cicho, a reszta myśli, że ja rzeczywiście jestem jakiś "sołdat".

Jedna z Litwinek zaproponowała, że po drodze będziemy śpiewać. Rozdzielamy się na 3 grupy i śpiewamy co kto umie. Konwój krzyczy na nas ale my drzemy się aż do ochrypnięcia. Wody nam nie dawali. Liżemy oszronione gwoździe, czasem zdobywamy kubek śniegu, ale wody brakuje. Dawali tylko dwa wiadra - na tyle ludzi to nie starczało.

Kiedy wywieźli nas już dość daleko na północ - przez Wołogdę - do rep. Komi /przez Kniaź-Pogodst/ to zaczęli nas zapewne okradać, bo dawali coraz mniej jedzenia, np. przestali dawać kaszę. "A tyle kobiet dostawałyśmy pół wiaderka kaszy. Oficer dyżurny wsunął to wiaderko i chce zamykać drzwi, a ja nogą je zatrzymałam, a drugą nogą to wiadro kopnęłam i na niego ta kasza się wylała. On "pa matuszkie", ja to sam dwa razy i pojedynek. Zamknął drzwi i poszedł. Długo było cicho. Ktoś miał jakieś suchary, ale mało.. Niektóre zaczęły pyskować dlaczego wyrzuciłam tę kaszę, bo chociaż po łyżce by dostały. Po pewnym czasie - idą - przynieśli pełniutkie dwa wiadra kaszy....

Stopniowo przy poszczególnych obozach odczepiali wagony i zostawiali ludzi. Na jednej stacji - odczepiają nas. Naczelnik powiedział, że nasz wagon - z największą zarazą w całym eszalonie - to z chęcią by nam Workutę zawiózł, ale wagony musi po kolei odczepiać, więc tu zostajemy.

Był to obóz w Misju /była tam też p. Aniela Dziewulska/. Zostawili tam parę wagonów. Umieścili w dużym baraku. Ja ulokowałam się na podłodze, bo na pryczach nie starczyło miejsca. Na drugi dzień podchodzą do mnie Litwinki i opowiadają, że ruskie więźniarki zorientowały się, że ja nie żołnierz i nieruska i szykują się na mnie z nożem.

Myślę sobie - niedobrze. W tym czasie zabierali robotników do pracy. Wzięłam swoje rzeczy, biegnę do bramy, a bramę już zamykają. Naczelnik mówi, że ma już dość ludzi, ale ja krzyczę wniebogłosy, że ja chcę do niego pójść /choć nie wiedziałam, kto to jest/. On w końcu machnął ręką i powiedział, żeby mnie przepuścili. Przeszłam przez bramę, wiąże na śniegu te swoje tobołki. Patrzę, a w tej brygadzie jest Sienkiewicz, Samukowicz, jest znajoma Litwinka - Sawieczynie, ?/ i inne Litwinki, których nie znam.

Zabrali nas do takiej leśno-rolnej kolonii. Naczelnikiem obozu był były więzień - tu jako zsylny. Żyd z pochodzenia o nazwisku Lewit - jed^(Olepnik?)ny Żyd, za którego zawsze się modłę - jeżeli żyje, żeby Bóg mu dał zdrowie i długie lata, a jeśli stanął przed Bogiem - to niech go sędzi według zasług.

Obóz nazywał się Jużnaja Ferma. Początkowo była kwarantanna. W obozie były i kobiety i mężczyźni, tylko barak kobiecy był ogrodzony drutem. Zaprowadzili nas do stołówki. Siedział tam chudy Niemiec z Powołża z piszczącą harmoszką. Nie można się było dosłuchać co grał, ale grał dla nas z nadzieją, że baby coś dla niego w misce zostawią. Wchodzi dozorca - chamuś - i wrzeszczy, żeby okrycia głowy zdejmować /myśmy miały takie więzienne czapki z nausznikami/. Oni nas kultury zaczęli uczyć! I tu nasza Wiera Sawieczinieje doszła do głosu i zaczyna szkolić: gdzie on widział, żeby kapelusz dama zdejmowała - czy w kawiarni czy gdziekolwiek. Zaczyna się piekło. Na drugi dzień przestali nas "szkolić", Niemiec też przestał grać.

Do pierwszej pracy dali nam "buty" - taką pończochę z waciaka ze spodem wyciętym z opony, na wierzchu z jakiegoś tworzywa. Wszystkie były tych samych rozmiarów, ja bym mogła ze 3 nogi w to włożyć - nie dało się chodzić. Chciałyśmy iść w naszych skórzanych butach, ale tam był taki mróz, że nie było o tym mowy. Zawrócił nas naczelnik i wytłumaczył, że to trzeba sznurkami i drutami przywiązać do nogi, żeby się trzymało. Poszłyśmy do pracy rozkopywać śnieg. Było go ze dwa i pół metra, a pod nim torfiana łąka prawie nie zamarznięta. Póki szłyśmy wydeptaną ścieżką

to jakoś było, ale jak weszliśmy w głęboki śnieg, to buty w nim zostawały i baby wyciągały bosc nogi. Trzeba było trzeć te bosc nogi, żeby nie zamrzły, żołnierze koło nas skaczą, my lamentujemy, nie wiedzą co z nami zrobić. Wreszcie jakoś nauczyliśmy się przywiązywać te buty do nóg.

Wykopywałyśmy ten torf, ładowałyśmy go na sanie i wywoziłyśmy na pole. Gonili nas jeszcze do lasu do ładowania ściętych drzew na traktor-sanie. Wiedys wieczorem w duży mróz wracaliśmy do obozu. Myśmy siedziały na saniach a naczelnik konwoju szedł obok. " pewnym momencie każe nam zsiadać i iść piechotą. A nam w czasie tej jazdy zaczęło się robić jakoś tak błogo, słodko - po prostu zaczęłyśmy zamarzać. Konwojnet kazał nam zsiadać i gonić na nogach. Klniemy go w duchu, niektórzy na głos - a my nie zdawałyśmy sobie psrawy co się z nami działo. Po przyjściu do obozu nie liczył nas, tylko kazał iść szybko do baraku, a dyżurnemu kazał sprawdzić, czy kogoś nie trzeba śniegiem rozcierać. Właściwie on nas uratował.

Na wiosnę 4 w czerwcu/ były prace polowe i prace w inspektach /było to na płu.-zach. od Knia-Ugol/. Trzeba było inspekty oczyścić ze śniegu, przygotować nawóz i rozsady.

Naczelnikiem przy tych pracach polowych był stary komunista, który podobno współpracował z Leninem, potem Stalin go wsadził do obozu, a teraz, mimo, że był już po wyroku, to jego bardziej pilnowali niż nas. On pilnował, żeby wszystko było sprawiedliwie i uczciwie - każda godzina równo odpracowana. A żołnierze też marzli i chcieli jak najszybciej kończyć pracę i później zaczynać. Ciągłe były z nimi konflikty, bo naczelnikowi musiało się wszystko codo minuty zgadzać. Naczelnik /ten "mój" Żyd/ uczył nas pracy w polu - jak sadzić, rozsadzać itp. Opowiadał, jak oni pracowali jak był jeszcze więźniem i zakładali ten obóz. Podobno jedynym ciepłym pomieszczeniem wtedy była suszarka do ubrań, a oni mieszkali w nieogrzewanych barakach. Było to w 30-tych latach.

Taśma IV A

Byli już bardzo zniszczeni, ale my szybko upodobniliśmy się do nich, bo mróz i niedożywienie szybko złowieka wykańczają. Naczelnik często przychodził do nas porozmawiać. Opowiadał, jak oni gdzieś za górką odpo-

czywali i dopisywali sobie procenty. „czyż nas jak postępować. Tylko że myśmy nie mogli sobie nic dopisać. Nasz brygadzysta - wielki komunista Borys Pawłowicz Malkow /spod Moskwy/ siedział i pilnował nas.

Po wywożeniu torfu wywozili fekalia - robiliśmy taką przekładankę, a na wiosnę rozbijaliśmy to i rozwoziliśmy jako nawóz. Zasiwiali tam owies żyto, ale ścinałi to wszystko na siano, bo nie dochodziło do dojrzewania - kłosa nie zdążyły się przed mrozami rozwinąć. Sadzili też ziemniaki, które były "ruszczone" /?/ - z pędami, specjalny gatunek, różowe w czerwone kropeczki, ładne, duże, nazywały się "immandra".

W pobliżu były jakieś osiedla Komiaków - takie nawpół dzikie plemię. Garnizonowi żołnierzy, które nas pilnowały zmieniali często - żeby się ludzie nie zżywali, nie poznawali /bo czasem się zdarzało, że syn ojca musiał pilnować/. Osiedla Komiaków były niedaleko obozu. Mieszkały tam przeważnie samotne kobiety, do których dokwaterowywano żołnierzy. Kiedyś Wal Samukowicz zwęszyła w pracy jakiegoś Żyda i zyczęła z nim rozmawiać /ona była też Żydówką/. Okazało się, że on pochodzi z Czechosłowacji - ojciec miał piekarnię, przed wojną było im dobrze, potem był na froncie, a teraz go tu odesłali. /jako konwojenta/. Jemu przyniosła jedzenie w menażce jakaś kobieta. Usiadła pod krzakiem i czeka - prawie nawpół dzika. Walenty na pyta kto to jest - "A to jest Tamiaczka, ja mieszkam u niej, ona gotuje mi, wypierze, a w nocy wszystkie koty są czarne". Te kobiety /tubylce miały z żołnierzami dzieci, które przeważnie zabierano do domów dziecka. Tamtejsi mężczyźni chyba byli w wojsku, czy gdzieś wysłani. Ja widziałam tam tylko kobiety.

Wychodzimy sadzić ziemniaki. Borys Pawłowicz chodzi za nami jak kat, żeby dobrze sadzić, równo, nie za blisko. Żołnierze siedzą i palą ogniska. Jeden z nich podchodzi do mnie i prosi, żebym im przyniosła trochę ziemniaków do ogniska. Mówię, że dobrze, ale ja też jestem człowiekiem więc upieczcie też kilka dla nas. Jak Borys Pawłowicz odejdzie to mi podacie. Dzielili nas na grupki po 6-8 osób i jedna z nas była czymś w rodzaju kierowniczką. Przyniosłam im te ziemniaki, pieką dla nas, dał nam ze 30 ziem

cichu i ostrożnie. A na wachcie zawsze sprawdzano, czy czegoś nie wnosimy do obozu. Ale zawsze udało się nam coś przenieść. Ja ziemniaki zawsze brałam w wąski woreczek - pod pachę i ~~pod~~ w rękaw waciaka. Jak widziałam, że rewizja nie jest zbyt dokładna, to przechodziłam, a jak ostro sprawdzali, to po prostu wyrzucałam.

Jednego dnia żołnierz poprosił mnie żebym mu więcej ziemniaków przyniosła, bo chce do domu zabrać - schowa sobie w lesie i w nocy je zabierze. Mówię: "Przyniosę wam te ziemniaki, ale jedną "kazinkę" /pojemnik?/ wy dla mnie schowacie, a jak będziemy przy innej robocie, to pozwolicie mi tu przyjść i zabrać te ziemniaki" I bardzo uczciwie to załatwił: schował i kiedy opielaliśmy kapustę to pozwolił mi pójść po te ziemniaki.

W białe noce sadzili kapustę. W inpektach. w garnkach z nawozem rosła rozsada, przewozili ją na platformach ciągniętych przez byki na pole. Panowała wtedy jakaś choroba koni i zwierzęta nie nadawały się do pracy i nie wolno ich było używać, nawet nowe transporty też padały.

Do takiej nocnej pracy spało się na jakichś strychach, zakamarkach, a naczelnik nie pozwolił budzić żadnego więźnia, nawet jak się okazywało, że przy liczeniu któregoś nie ma. Można było szukać więźnia cały dzień, ale nie było wolno go budzić - takie było zarządzenie naszego naczelnika.

Dla byków dostawali ospę i z tego dwa worki dawali do obozu - to był dodatek dla wszystkich - bez względu na normę. To też było zarządzenie tego naczelnika. Ale niedługo go usunęli i potem było takie powiadzenie: "Wyjechał Lewit, skończył się lenic/?/". Ludzie nie dostawali już żadnych dodatków, ani tego co im się należało, ani nic.

W swojej grupie miałam siódmkę niezaradnych, ciapowatych bab. Przynieśli nam na platformach rozsadę kapusty, każda grupowa goni swoich, a ja do moich mówię tak: "Nie spieszcie się, jak będzie mało, to wtedy będziemy głośno krzyczeć, że nam brakuje. Wtedy mniej posadzimy, mniej się zmęczymy, ale dużo krzyku trzeba robić, że dla nas rozsady nie stracymy!".

Skończyło się sadzenie, zaczęło się polewanie kapusty. Dodatkowo kapustę pożerały jakieś robaki i trzeba było je przy korzeniach wyrzucać.

Na ten okres przysyłali mężczyzn z kolonii obozu, która nazywała się Rolcza /Robcza?/. Tam byli bardzo wymęczeni więźniowie. Przyjeżdżali na parę letnich miesięcy. Tam była sama inteligencja na wykończeniu - bardzo ciekawi ludzie. W zimie szyli rękawice, robili kosze itp. Od czasu do czasu rozmawialiśmy z nimi. Narodowości tam były różne: i Chińczycy i Japończycy, ale przeważnie Rosjanie.

Kapustę polewaliśmy z drewnianych wiader - blaszankami - jedna blaszanka pod każdą rośliną. Była to ciężka praca. Na tym polu było kilku naczelników. Jeden z nich - Ukraińiec - Iwan Wasiliewicz - podkochiwał się w Walentynie. Kiedyś przysiadł się do nas i próbował z nami rozmawiać. W pewnym momencie ja wykrzyknęłam: "O matko", a on na to: ~~Mam~~ Boska Cętochowska" - czysto po polsku. Opowiedział wtedy, że mieszkał w Polsce i tak go los urządził, że tu go przysłali, podobno zato, że był szpiegiem. Był to inteligentny, kulturalny człowiek.

Inni naczelnicy chodzili z lornetką i podglądali jak pracujemy. Więc ja wzięłam swoje niedorajdy i poszłam pod skraj lasu - jak najdalej od nich. Kazałam im brać po pół wiadra wody, do blaszanki - 1/4, nie zginać się za bardzo i lać tak, żeby woda się rozbryzgiwała aby pilnujący nie zauważył, że wody jest mniej niż trzeba. I Idziemy. Przychodzi ten pilnujący, widzi, że koło każdego krzaczka jest mokro i mówi: "O, to ja rozumiem, to jest uczciwa robota". Częstuje nas papierosami i chwali. I tak trzeba było zawsze kombinować, żeby być wzorem, żeby się nie spocić, żeby za dużo nie schylać się i nie męczyć.

Po tem przyszło koszenie owsa. Dość ładnie wyrósł, bo dużo sztucznych nawozów sypali. Brygadierem była tam taki rusek, na krzywych nogach głupi, cham. My z Sienkiewicz stajemy przed nim i mówimy, że chcemy lepsze kosy. A ja nigdy w rękę kosy nie trzymałam, więc proszę, żeby mi pokazał jak to się robi. Szybko się nauczyłam - szło się jak po stole. Nie była to męcząca praca, jeśli człowiek potrafił to zrobić. Brygadier wykłapywał nam kosy jak brzytwę, bo przekonywałyśmy go, że chcemy jak najlepiej pracować, jak przodownice. Innym babom w ogóle nie klepał. i one

- do suszenia. Część zabierali na silozy, bo dużo wysuszyć się nie dało ze względu na pogodę.

Potem kosiliśmy łąki - w krzakach, na nierównym gruncie. Tu już było ciężko. Zaczęłam kombinować jak się z tego wywnąć. Poprosiłam, żeby mi pozwolili wywozić tę skoszoną trawę do kiszenia. Brygadier zgodził się. Dali mi konia, zakładało mu się chomąto, do niego długie sznurki, do sznurków doczepiało długie gałęzie, a na nie kładło się trawę. Ja tym koniem miałam tylko powozić, więc się nie pociłam jak inni. Fowozenie też nie było takie łatwe, ale jak człowiek z głową podchodzi do roboty to inaczej się układa. A poza tym wysiłek fizyczny był mniejszy.

Po koszeniu zbierało się żyto, które rosło tuż przy wiosce. Wyrosło niskie, marne i służyło tylko do robienia mat do cieplarni. Kosić to było trudno, bo się plątało w trawie i było rzadkie. Postanowiliśmy z Siekiewicz, że lepiej będzie ciąć to sierpem. Trzeba się było co prawda schylać, ale łatwiej i szybciej szło. I znowu szliśmy w przodzie i lepszy kawałek chleba się dostawało.

Wiosień przyszła szybko, noce są ciemne i zaczęły się wykopki ziemniaków. Szarugi, mokro, a trzeba dokładnie wybierać, nawet ziemniaczki wielkości groszku. Zbierało się je w plecione koszyczki, odnosiło do magazynu, a tam magazynierka zaznaczała kreskami ilość tych koszyczków. Była to Rosjanka /straszenie głupia/, która kończyła wyrok i już miała wyjść.

A ja wróżyłam z kart. Zaczęłam to robić już w pierwszym obozie w zimie. Była tam Litwinka /Kozłowska/ - żona lekarza, który pracował w szpitalu i musiał leczyć wszystkich również Niemców czy partyzantów. Ktoś doniósł, że on pomagał Niemcom i wzięli ich oboje. Ona nie była sądzona /starsza już była/ i siedziała w obozie bez wyroku. Sprzątała barak - czyściła deski do białości. A myśmy przychodziły z lasu - brudne, mokre, w śniegu, więc od razu były brudne plamy na tej białej podłodze. Więc baba jazgotała. U nas było dużo młodych Litwinek - bardzo dobrze wychowanych - do nikogo "ty" nie mówiły, dla starszych były grzeczne.

~~Była tam Litwinka /Kozłowska/ - żona lekarza, który pracował w szpitalu i musiał leczyć wszystkich również Niemców czy partyzantów.~~ Kiedyś rozbieram się, miałam na

z ubraniem i pomylili je - mężowi-Stefanowi - dostały się staniki, a mnie kalessony/, waciaki dałam do suszarni. Stoję przy szole, a pani Kozłowska "piłuje" Aldonę, że jej zabrudziła podłogę. Więc ja gacie ~~wzi~~ ^{- młodą Litwinę,} ~~ści~~ ^ściągnęłam - i przez stół babie nimi po gębie: "Żebyś ty wyszła do lasu i zobaczyła jaka tam praca. Jak ty trafisz na słabego to będziesz gryźć. - rzyczep się do kogoś starszego, mocniejszego, czego się czepiasz dzieciaka i dogryzasz jej". Wówczas kilka Litwinek też się odezwało, że rzeczywiście podłogę porządnie myje, ale człowieka zdrowie i nerwy są ważniejsze. Raz, jak przyszliśmy do barakau, to Kozłowska zaczęła opowiadać, że Ameryka wypowiedziała wojnę Rosji - "oswobodzą nas, wybawią" - zawsze jakieś takie nowości wymyślała. Któregoś dnia Wera Sakowicz narzekała na mnie, że bym powróżyła z kart i poweidziała Kozłowskiej coś takiego, żeby ją nastraszyć i żeby przestała tak gadać i "pocieszać" nas. Wróżę jej: "Pani Kozłowska, niech pani ~~uważa~~ bardzo uważa, rozmowa z rządowymi ludźmi, i to bardzo szybko, nie wiadomo co to za rozmowa, może być przykra, może jakieś przykrości pani będzie miała. Niech pani uważa, co pani mówi" - nie mogła przecież tej babie dokładnie powiedzieć o co chodzi, bo jej się nie dało inaczej wytłumaczyć. Za jakiś czas babę wywołali. Pytali ją kogo zostawiła w domu, o różne rzeczy. Po tym przychodzi do mnie "Ty wszystko przewidujesz, powróż mi jeszcze raz". Powróżyłam i powiedziałam, że dostanie jakąś wiadomość, chyba od męża, może paczkę....

Po tym wypadku z gaciami niby obraziła się na mnie - że ja młodsza tak się wobec niej zachowałam, ale za parę dni dziewczyny mi mówią, że Kozłowska dostała paczkę. Zaczęłam żałować, że ją obraziłam. Ale wieczorem pani Kozłowska nałożyła wszystkiego do michy, podchodzi do mnie i mówi: "Droga siostró, może ja byłam winna, może wy trochę przesadziłyście, przebaczymy sobie w imię Chrystusa. Sprawdziło się wszystko co mówiłaś, dostałam paczkę, przyniosłam tobie trochę, chcę cię przeprosić, żeby było po Bożemu". I pogodziłyśmy się z Kozłowską.

Znowu jej wróżę: "Dostanie pani papiery i pojedzie pani do domu" - i bać pojechała. Potem nie mogłam się od durnych bab opędzić - każda chciała, żeby jej wróżyc.

W tym następnym obozie było to samo. Ta Rosjanka - magazynierka też koniecznie chciała, żebym jej powróżyła. No więc wróżę. Co człowiek wi wróżyć?! - że wychodzi na wolność, jakie to ją szczęście spotka, mężczyznę spotka itd. Za wróżenie zawsze mi parę kresek dopisywała na desc z normami, dawała ziemniaki, marchew i przez kilka dni pilnowała magazynu.

Niedys, idąc z pracy zrywałyśmy owoce dzikiej róży i kolec wszedł mi w palec, a skórę miałyśmy już grubą jak u słoni. Pracowałam wtedy przy ziemniakach, już uczciwie, bo tam nic nie można było wykombinować. Byłam już bardzo zmęczona. A w czasie tych prac polowych wszystkich wyganiali do roboty - nie było chorych, nie było słabych. W szpitaliku pracowała Niemka, która dawno odbyła wyrok, ale trzymali ją tam. Miała syna - Stasia, o którym nic nie wiedziała. Ponieważ ja też mam Stasia na imię więc poczuła do mnie sympatię. Podczas komisji lekarskiej załatwiła mi II-gą kategorię zdrowia, żebym mogła niższą normę wyrabiać. Poza tym zawsze mnie uprzedzała przed jakąś rewizją. Pomyślałam sobie, żeby jeszcze raz wykorzystać dobre serce tej kobiety, bo przecież ona na tym nic nie straci. Biorę wieczorem ten mój ukłuty i spuchnięty paluch, owijam w mydło, szmatę i ściskam poniżej skaleczenia. Paluch mi od razu spuchł a w środku - "czarne oko" z tym kolcem. Idę do tej lekarki, mówię, że już dłużej nie mogę wytrzymać - tak mnie boli. Dała mi zwolnienie.

Kto wyrobił ponad 100% normy to pan naczelnik zarządził, że może dostać dodatkowo porcję smażonych ziemniaków ze skwareczkami /hodowali tam świnie/. Kilka osób dostało - w tym ja. Ale to było krwawo wypracowane. A było jeszcze polecenie, że jeżeli ktoś dostanie tę "dopełnitelnoje" i w tym czasie zachoruje, to przez cały czas choroby ma to dostawać. Ale takie zasady wprowadzał tylko ten jeden naczelnik /ten "mój" Żyd/.

Poszłam na zwolnienie - dostałam chyba z 6 dni. Z palcem nic się nie poprawia, narazie go nie lecę. Siedzę w domu, jem dość dobrze /bo wreszcie ten tłuszczyk dostawałam/. Niedys przychodzi do tej lekarki na badanie i akurat przyjeżdża konwój z jakimś mężczyzną, który ma zastąpić tę lekarkę, bo ją zwolnili. Ona płacze, biega, zbiera swoje szmatki i żegna

się z nami. A nas już przyjmuje ten nowy - felczer. Pokazuje mu palec, przedłużył mi jeszcze zwolnienie, ale nastawiony był do nas niedobrze, ordynarny, chamski. Na drugi dzień kazał mi przyjść na krojenie palca. A co tu krajać - ja palec mam zdrowy, tylko kolec w nim siedzi. Nie poszłam na to krojenie, tylko wyszłam do roboty. Ziemniaki były już dawno wykopane, zbierali kapustę. Padał już mokry śnieg, chlapa. Dziewczyny z pola przychodzą mokre, brudne, że aż strach. Pracowało się 10 godzin, ale z dojściem i powrotem z pola - 12 godzin. Kolec sobie wyjęłam i palec wyglądał prawie noermalnie.

taśma IV B

Wychodzę do pracy ze swoją brygadą. Przy rozwodzie zawsze był naczelnik - sprawdzał czy ludzie mają całe i suche rękawice; jak kto miał mokre czy porwane to dawał nowe.

Wstawaliśmy o 5-ej, dostawaliśmy z suszarni waciaki, pończochy watowane. Baby czasem jeszcze nie zdążyły się ubrać, a on wchodził i sprawdzał, czy wszystko jest wysuszone. Ten, kto suszył i nie dopilnował, żeby wszystko było suche - szedł do lasu. Takiego człowieka - jak ten naczelnik - już nigdy w obozie nie spotkałam.

Przy rozwodzie podchodzę do niego bezczelnie i mówię: "Grażdanin naczelnik, ja już zwolnienia nie mam, ale ten palec jeszcze nie całkiem mi si wygoił" Na szczęście nie kazał mi pokazać tego palca - chyba mi wierzył. Powiedział, żebym poszła do brygady Walentyny, który sortowała ziemniaki. Sortowało się je przez sita o różnej wielkości oczek. Sita były dość ciężkie, ale ja byłam uważana za dość silną, więc mnie tam posłał. Ta praca była w baraku. W drugim baraku były beczki do kiszenia kapusty i piece aby utrzymywać odpowiednią temperaturę do kiszenia. Postanowiłam upiec w tych piecach trochę ziemniaków. W pewnym momencie stoję na krawędzi pieca i kładę do metalowej rury ziemniaki, a tu otwierają się drzwi - naczelnik! Stałam przy pierwszym piecu od drzwi. On patrzy na mnie: "Chodyko, a co ty tu robisz?". Ale on sam siedział w obozie, to co ja mam mu tłumaczyć! Powiedział, żeby to było ostatni raz. Później mu-

Później musiałam bardziej uważać i chodzić do dalszych pieców.

Kiedy robota z ziemniakami się skończyła, inwalidów odesłali, a nas wszystkich skierowali do szatkowania kapusty. Trzeba było kapustę umyć z błota w korycie - bardzo szybko, bo woda zaraz zamarzała, a potem szatkowało się kapustę maszyną - już po dachem.

/Uzupełnienie - scenka/: W zimie Litwinki zrobiły sobie trójkolorowe trójkąciki z barwami narodowymi. Było tego 12 sztuk. Był to wyraz ich patriotyzmu - głupota. Walentyna Sawiecznik spała koło mnie na pryczy. Widziałam jak któregoś ~~dnia~~ wieczora przyniosła taki trójkącik i wsadziła sobie w majtki. zapasowe. Nikt poza mną tego nie widział. Kilka dni później - rewizja. Postawili nas pod ścianą i przeglądają prycze. Moją przejrzelili pobieżnie, a Walentyny dokładnie. Żołnierz wytrząsnął wszystko z jej worka, każdą rzecz przejrzał, a kiedy wziął te majtki do ręki, to zdrętwiałam, bo pomyślałam, że jak to znajdzie, to ona pomyśli, że to ja ją wsypałam. Ale nic nie znalazł. U innych znaleźli te trójkąciki, położyli na stole, liczą - jest 11. Mówią: "Miało być dwanaście" - czyli ktoś widział dokładnie ile uszyły. Żołnierze wyszli. Podchodzę do Walentyny i mówię: "Słuchaj, gdyby u ciebie znaleźli, to napewno byś myślała, że to ja sypnęłam?" - ona odpowiada: "Tak". A to szowinistka była niesamowita. Więc jej powiedziałam, żeby kapusia nie szukała wśród Polaków, tylko wśród swoich, tych, które to robiły. I tę babę tak przekonałam, że zupełnie się zmieniła do Polek. Potem wszystko się utarło, ale litewskie go nie chciały nas uczyć. Tego języka uczyła mnie tylko Wiera Iwanowna Szyszkowska, która znała kilka języków. Znajomość litewskiego często mi się przydawała. Np. kiedyś załęgły mi się wszy, a miałam długie włosy. Wiera poradziła mi żebym się zwróciła do jednej Litwinki, która ma gęsty grzebień, ale mam do niej mówić tylko po litewsku. Więc powiedziałam /.....lit./- "proszę mi pożyczyć gęsty grzebień". I pożyczyła mi. I inne, kiedy się ktoś do nich zwracał po litewsku zawsze były usługune i uprzejme. Po pewnym czasie dość dobrze opanowałam litewski....

Z Irku zostalam przewieziona do kolonii pod dzwyczyst do punktu przesylnego, a stamtad do kolonii

17 Ciep
nie "Cegielnia" - kilkaset kilometrów od 1-ej kolonii. Kiedy przyszły listy imienne z Moskwy, to naczelnik obozu, też eks-więzień, polak z pochodzenia (Cybulski) zaprotestował, że nas niechcą, bo jesteśmy tacy specjaliści, że nawet połowy planu przez nas nie zrobią. I nic nie pomogło. Ja bylam palaczem przy piecu do suszenia cegieł.

Stamtąd bylam przewieziona przez Irkuck, Tajszet do Bracka. Tam bylam parę lat - przerzucana z obozu do obozu. Bylam w trzech obozach - do stycznia 1949 r.

W styczniu 49 r. wywieziono nas pod Władywostok, a później na Kołymę.

Taśma IIA ~~1-2~~

Na Kołymę zostalam wywieziona w okolicy Magadanu, gdzie pracowalam przy budowie więzienia NKWD. Pracowalam tam jako stolarz. (stolarki nauczylam się pod Irkuckiem, potem przy niwelacji gruntów przy budowie reperowalam topory, młoty itp.).

Kiedy zaczął się mróz, to już niechcialam tego robic i powiedzialam, że jestem nie tylko stolarzem ale też inżynierem budowlanym. Zeskakuje z góry budowy jakiś młody człowiek, pyta mnie czy to był żart, czy ja rzeczywiście jestem inżynierem. Mówię, że żartowalam. Ale na przyszły dzień trafila do niego brygady budowlanej. Tam zaczynała sie praca od samych fundamentów. Była to budowa w samym Magadanie.

Inżynier nas trochę poduczyl i zostalam stolarskim majstrem budowlanym. Dostawalam plan, kilku ludzi i prowadzilam prace. Pilnowali nas NKWD-ziści, ale w pracy inżynierami byli wolni. Jeden z nich byl Polakiem z pochodzenia - na zesłaniu - sprytny, mądry, dobry człowiek. Potem go gdzieś zabrali.

Dali Rosjanina – ordynarnego chama, który nie orientował się z początku kim my jesteśmy i zaczął się po chamsku do nas odnosić. Więc ja mu też zaczęłam "matami" odpowiadać i toporkiem wymachiwać i potem bał się mnie trochę. Mówił: "Chodyko, ty jesteś dobry robotnik, ale wredna i jędzowata".

Na tej budowie byłam jedyną Polką. Mężczyźni–Polacy pracowali w sąsiedztwie, m.in. Michał Chorążnik, który był brygadzystą. On niestety do Polski nie wrócił, bo wysłali go do Arkagały, do D-2 (tam chyba była budowa wyrzutni rakietowych), a stamtąd ludzie nie wracali. Michał miał chyba 18 lat – oni tam wysyłali tylko młodych ludzi

Wyrok skończył się w 1954 r. na jesieni. Zacziotów nie miałam, bo normy nigdy nie mogliśmy wyrobić. Chleba dostawaliśmy tylko po 300g i dwa razy zupeł. Głód był straszny. Kiedyś, jak byliśmy na "sztrafnoj" to z innych brygad przynosili nam jedzenie (płacz)....

71
Z obozu wyszłam na tzw. zsyłkę. Miałam wylew – oko i pół-
łtarzy – granatowe. Chodzić też nie mogłam – nogi miałam po-
wykręcane od szkorbutu.

Z obozu zostałam odesłana do domu inwalidów. Tam byli
ludzie sparaliżowani, a ci, którzy chodzili służyli jako ob-
sługa. Otoczenie było nie za bardzo przyjemne, bo przeważnie
były Ukrainki i Rosjanki. Kiedy jakoś doszłam do siebie to
pracowałam z jednym Litwinem – na zmianę. On niedługo wyje-
chał do Mongolii, bo tam jego dzieci były na zesłaniu.

Tym domem zarządzili Żydzi, więc musiałam się wynosić, bo
różne przykrości tam miałam. Poszłam do szpitala wojskowego
(z wielkim trudem tam się dostałam) – do pana pułkownika Wos-
tokowa, który bardzo chętnie nas przyjmował. Pracowałam tam
na oddziale "zakri" (?). Dzień pracy trwał tam 6 godz., więc
dyżuruowało się 24 godz., a potem 3 dni były wolne. Opłacało
się to, bo człowiek mógł sobie dorobić jakimś praniem czy
sprzątaniem. W szpitalu zarabialiśmy bardzo mało – ja dosta-
wałam ok. 300 rubli (zsylni nie dostawali 100% dodatku jak wo-
lni).

Po Śmierci Stalina odesłali gdzieś bardzo dużo NKWD-zis-
tów – jakieś łapanki na nich robili, czy coś takiego, więc
zostały po nich takie klitki-mieszjanja, w których mieszkali-
śmy całymi rodzinami. I ja z koleżanką mieszkaliśmy w takim po-
koiku w Magadanie, a do szpitala dojeżdżałam.

Po pewnym czasie chcieli zmienić godziny pracy, bo mało
tych chorych było. Wtedy jedna z lekarek powiedziała, że jest
możliwość zamieszkania w baraku, w którym oni mieszkają. Za
to mieszkanie trzeba by sprzątać kalitki schodowe. I przenio-
słam się do takiego pokoiku – bez okna. Było tylko centralne

-34-

²²
ogrzewanie. Ale chętnych do dokwaterowania się do mnie było bardzo wielu. M.in. chciałam wziąć do siebie Janeczkę Stundis, bo ona była bardzo niezaradna. Pracowała też w szpitalu, ale Wostokow oprócz tego brał ją do sprzątan^uia u siebie w mieszkaniu. Tam była duża rodzina i ona się zapracowywała. Zanim dostałam ten pokoik to Wostokow proponował mi mieszkanie w hotelu robotniczym, ale powiedziałam, że ja tam mieszkać nie będę, bo my jesteśmy wychowane inaczej niż ich ruskie kobiety, które sobie sprowadzają żołnierzy i nie wiadomo co się dzieje. Wywaliłam wszystko dziadu, aż go w górę podrzucało. A wiedział, że jak zaczniemy odchodzić z pracy, to odejdziemy wszystkie.

I zamieszkałam w tym pokoiku z Janką. W tym czasie dostaliśmy dokumenty zapowiadające nasz wyjazd. Musieliśmy przedtem wypełnić ankietę, w której należało wymienić kogo się ma w Polsce. Oni te ankiety wysyłali potem do Moskwy. Ja napisałam w ankiecie o teściach i synku – więc nie mieli czego szukać. Ale były osoby, które podawały jakieś rodziny w Polsce i wtedy nasze władze odmawiały wyjazdu, tłumacząc, że polski rząd nie chce ich przyjąć.

Po wyjściu z obozu na zsyłce zaczęliśmy dostawać wiadomości od rodziny, ale w obozie mogliśmy wysłać tylko 2 listy rocznie. Ja nic cały czas nie dostawałam i nic nie wiedziałam ani o mężu ani o synku. Dostawali tylko ci, którzy mieli rodzinę na Litwie, Łotwie i Ukrainie, dostawali nawet pieniądze i paczki.

Na Kołymie był ograniczony okres nawigacji, transport samolotowy był bardzo drogi, więc paczek przychodziło mało albo leżały miesiącami.

/Kłowie tajemny II (Ibis).

Barbara Chodyko

Taśmy 5,6,7,8,9.

Obozy w Kamieńcu

Pani Gołubiewa była Korkanką. Do pracy chodzimy na noc, polega ona na przywożeniu suszonej cegły do opalania. Nie ma światła elektrycznego. Te, które układają cegły w piecach (to trzeba było umieć, bardzo mało ludzi to potrafiło), palą ogniska, żeby było jaśniej. Dymu więcej niż ognia. My wagonkami po szynach dowozimy te cegły. Cechy ogromne, długie, zimne. Wszędzie zimno, i podwórko, i te cechy całkiem ciemne. Przymrozki, noc, śniegu jeszcze nie było. Brygadzystka nas pogania, co chwila goni na inną robotę. W cechu, gdzie się opala cegły, wozi te wagonki z cegłami tam i z powrotem, wypycha puste - nikt nie chce pracować, choć praca, zdawałoby się, lekka. Brygadzystka mnie tam posyła. Gmach bardzo duży, z 200 poszłam tam, podsuwam te wagonki i w pewnym miejscu włosy mi się jeżą na głowie, strach mnie dziwny ogarnia. Są rzeczy niewytłumaczalne. Przeżyłam wojnę, noce, ementarze, wojsko, walki, bitwy, trupy, Bóg wie co - nigdy mi się to nie zdarzyło. Podnoszą mi się włosy na głowie. Jestem tam sama, bo robota nie taka ciężka. Wszystkie to "coś" odczuwały, żadna tam nie chciała pracować. (...) Okazało się potem, że tam był wypadek. Parę dni przed naszym przybyciem zabiło się tam 12 osób pracujących w piecu do wypalania cegły (...). Coś tam było źle ustawione, źle zrobione, zawaliło się i ludzi wszystkich potłukło. Może było kilku rannych. Nam dopiero później dziewczęta o tym opowiedziały, wtedy żadna nic nie wiedziała.

Ja wyszłam z otoczenia kulturalnego, a tu wprawdzie głód też sam, ale inna praca, inne otoczenie. Parę dni tej roboty nocnej wy^starczyło, ^vdułam się, jakbym trafiła w jakąś pomyjną jamę, dostałam jakiegoś wyjąłowania mózgu. Same jedna Polka na kolonii, ludzi nie znam, prawie same Ukrainki. Nie rozumiem języka: jedna dziewczyna, Różia Bielińska, mówi coś - nie mogę zrozumieć po jakiemu, choć

już rosyjski jako tako znam. Gdy ktoś z kimś rozmawiał, wysłałam: o czym ludzie mówią? Byłam już nienormalna. To przerzucenie strasza nie przeżyłam.

Zaczynają nas rozdzielać po brygadach. Kilka osób zabierają do innego baraku: ja, parę Litwinek, reszta same Ukrainki. Było tam ^{kilka} parę Białorusinek, właściwie Polek z Białorusi, zastraszone, bały się swojej polskości, nie przyznawały się do niej. To były Maria Dewidowicz /stare/ i Wanda Ignatowicz, młoda dziewczyna. Trzymały się kupy, parę razy ze mną rozmawiały, ale właściwie byłam sama. Polityczne w tym obozie były oddzielone od bandytek zarządzeniem naczelnika.

Naczelnik kolonii przychodził do baraku i opowiadał nam, jak ich tam przywieźli. Nie było wtedy nawet ogrodzenia. Naznaczyli teren, powiedzieli: "Za te zaciosane drzewa nie wolno wam wychodzić. Tu są złoża gliny. Nogami będziecie mieszać tę glinę, cegły ręcznie formować i wypalać. A jak zbudujecie gmach, gdzie maszyny będzie można postawić - damy wam maszyny." I tam kilkaset osób położyło głowy. On nam pokazywał, gdzie był ich pierwszy barak, ziemianki, jakaś suszylka. (...) Ileż ludzie ci musieli się napracować, żeby zrobić tyle cegieł i to wybudować! Wybudowali. Dostali maszyny do formowania cegieł i wówczas wybudowano wysychnię (?), gdzie je formowano, połączoną krytym korytarzem z suszylnym cechem i cztery bloki do suszenia, na 40 tys. cegieł każdy. (...) Stalin zażądał, że tam ma być fabryka i była. Wszędzie tak to się zaczynało: od zera. W namiotach ludzie mieszkali, w rytych ziemiankach, nie było dróg, zabudowań. Kopalnię czy coś innego - wszystko zaczynało od zera. To była normalna procedura. Naczelnik był normalnym więźniem politycznym (KRD - kontrrewolucyjna działalność) i dookoła stało NKWD. Jak to wszystko zrobili z majstrami, zostali zsylnymi: chodzili bez konwoju, ale bez prawa wyjazdu. A ponieważ on był polityczny, dał nam, politycznym, oddzielny barak, zatrudniał politycznych tam, gdzie były maszyny, w cechu suszylnym itd.

WY?
Złodzieje, ci którzy porzucili pracę, i inni kryminaliści, jak zobaczyli naczelnika Cybulskiego, krzyczeli za nim : faszysta!.

Ja byłam na opalaniu cegieł. Praca była ciężka bo ciężka, ale już nie na 40 stopniowym mrozie. Przy gorącym piecu może wzmrok poparłam troszkę, ale mrozu nie odczuwałam. Obóz i fabryka były za jednym drutem, ale do stołówki nas nie puszczano, za długo by to trwało. Obiad przywozili w kotłach do pracy. My, przy piecach i maszynach, jemy pierwsi, bo mamy odpowiedzialną robotę. Inni już jedzą zimniejsze, mniej odpoczną... Naczelnik zawsze starał się porozmawiać z nami. Nie wiem, skąd pochodził, bo był młody człowiek (...).

Wzięli mnie więc do cechu suszylnego do wykładania surówki do duszenia, do wybierania. Tam majstrem jest Kozak doński, zwany przez nas diadia Pietia. Gdy wchodził, widział, co kto robi, czego nie robi, baliśmy się go jak szatana. Jak diadia Pietia gdzieś huknął albo kaszlnął gdzieś w kącie - wszyscy drżeli. Ale był sprawiedliwy, tak jak naczelnik kolonii. Przedtem, jak pracowałam jakiś czas na załadowywaniu-wyładowywaniu (brudna praca, przygnębiająca, nie miałam z tymi ludźmi nic wspólnego, dzika samotność), Byłam sama. Jak przyjeżdżały wagony po cegłę na jakąś budowę, wszystkich ludzi zostawiają na całą noc do ładowania. (...) Biorę po 6 cegieł ze sztabla na siebie, do wagonu ciągnę. Wszędzie ciemno, tylko ogrodzenie obozu oświetlone, śnieg. Między stosami cegieł przejście korytarze. Wysuwa się jakiś cień spośród tych cegieł i mówi do mnie: "Duraczka, noś po trzy cegły!" Patrzą, a to diadia Pietia. Nie do pojęcia! On mnie buntuje? Mówię, że chcę, żeby szybciej... A on: "Głupia jesteś! Inny bierze dwie cegły i tak samo chodzi." Pracowałam tam ze dwa miesiące i zrobił się ze mnie kompletny dochodiaga. I fizycznie i psychicznie całkiem się przewaliłam. Za kilka dni wyszliśmy na robotę, woła mnie diadia Pietia: "Będiesz palaczem na bloku, wszystko ci wytłumaczę". Zanim mnie skierował do tej pra-

cy, dał mi OP (~~Odcy~~^och ~~pr~~oizwodstwiennyj) na 10 dni chyba. Nie chodziłam do pracy, dostawałam lepsze jedzenie. Ukrainki zaraz podniosły krzyk, oburzały się, że to niesprawiedliwe: dopiero przyszła, dwa miesiące i już OP! Była taka Maryjka Krywko, wiecznie się rzucała. Ja idę na palacza, a ona też pracuje jako palacz! W czasie tego odpoczynku coś sobie szyłam, siedziałam w baraku, któraś z Rosjanek pochodzi do mnie, zaczęła rozmawiać: "Co się z wami dzieje? Jesteście jak nienormalna". Pytam, czy to się rzuca w oczy. Ona na to, że rzeczywiście. "Przyjechałaś, za ten czas straszna się zrobiłaś dochodząca, siedzisz sama, z nikim nie rozmawiasz". Porozmawiałyśmy. Była to Polka z pochodzenia, siedziała za bandytyzm. Miała odmrożone nogi - kikuty, była nocną dyżurną.

W tym obozie na OP mógł kierować wolny majster, w innych obozach się z tym nie zetknęłam. Ale cegielnia to była ciężka sprawa. Przyjeżdżał etap młodych z Ukrainy, czy młodych zdrowych dziewcząt Tatarek i wystarczył jeden sezon od wiosny do jesieni, by każda była zgięta w hak i koniec - zabierano je jako póżinwalidki.

Diadia Pietia wytłumaczył mi wszystko. Na razie palę na małym ogniu. Bo jest grafik tego ognia na 40 tys. cegieł. Ogrzewanie musi być stopniowe, od zera do bardzo wysokiej temperatury. Pracują trzy zmiany, jest zawsze dyżurny dozorca żołnierz, przy nim zawsze zapisuje się temperaturę, żeby było jak należy, wg normy. Dostałam straszny blok, ostatni, tam ciemność, strach Boży. Elektryczność była, ale nie było żarówek. Każdy palacz miał żarówkę, ale chronił ją, bo jak trzeba było wyładowywać cegły, musiał mieć oświetlenie. Ale kradli, więc przeważnie żarówki chowali. Jest więc ciemno, ~~zawsze~~ 4 ogromne piece z cegły żaroodpornej na bloku. Trzeba hajcować, dużo palić. Na razie mam na małym ogniu, diadia Pietia tłumaczy, co i jak mam robić, przyjdzie od czasu do czasu. Przy pozostałych trzech piecach siedzą trzy Ukrainki. (Paliło się drobnym węglem, ~~do~~ tego dorzucało się trocin, żeby wytwarzał się ogień. Na wielki ogień

kładło się jeszcze bardzo duże drewno, niektóre kawały całe, większe porozbijane na połowę. Był to niesamowity ciężar i trzeba się było nauczyć rzucać to do pieca).

Na suszylnym palacze, jak pałą, kradną deski, półki ruchome do suszenia. Desek brakuje, gdy składamy surówkę. Na drugiej stronie Litwinki pracują, mają kupę desek. Chodziły do nich nasze Ukrainki - nie dają. Mówię, że ja pójdę. Nie wierzyły, że coś przyniosę. "Tylko czekajcie na rogu bloku, żeby wziąć deski ode mnie, bo wezmę tyle, ile potrafię wziąć". Przychodzę do Litwinek i proszę po litewsku: "Ponia paskoli knam pora lentu" (Proszę nam pożyczyć kilka desek). Zdebiła baba. Mówi, że skoro tak pięknie proszę, to proszę bardzo! Nie wiedziała, że umiem po litewsku. Wzięłam deski, dźwigam oburącz przed sobą, w rogu dziewczyny czekają, zabrały. "Jak to zrobić?" "Zaczarowałam baby, trzeba było podglądać!"

Ale nadal byłam całkiem osamotniona.

Dostałam swój obiekt, poskładałam rozrzucone cegły w koziołki, zmiotłam. Miałam takie blaszki na chleb. A było tam dużo Komiaczek. tzw. liszaczek. Liszon* - po rosyjsku pozbawiony prawa. Nędzne, małe, bardzo biedny naród. Po rosyjsku rozmawiały, to było pokolenie (chodzi chyba o potomstwo) zesłańców chyba. Wielka nędza. Wagonkami podwoziły węgiel i trociny. Jak przywiozły wagonkę - dawałam im dwie blaszki, nigdy tych blaszek im nie żałowałam. Dostawały za nie więcej chleba. Przychodziły się ogrzać, zawsze chętnie rozmawiały, opowiadały. (...) "Jesteśmy pokoleniem ludzi, którzy zostali zesłani". Bardzo ogłupiony, przytłumiony, przydeptany naród. Była też kobieta, która przychodziła nas zmieniać i zawsze mówiła: "Dziewki nie denerwujcie się, jaki by sznur nie był długi - zawsze koniec będzie".

Str. B

Poukładałam więc te cegły nie wysuszone i, żeby mi było weselej na duszy, biorę trociny i wysypuję nimi wszystkie dróżki, ten cały blok, tak że jest jasnożółto. Z okien pajęczyny pościerałam

miotłą. Wchodzi diadzia Mitia. Mało rozmowny był, chodzi, patrzy po wszystkim i wzywa wszystkich palaczy na ten blik. Przychodzą. "Czy to blok?" Myślę: coś chyba nie tak. Wiem, że wszyscy się go boją, że srogi, więc jak mysz spod miotły mówię, że to mój blok. A on zwraca się do Ukrainek: "O, ledwo zaczął człowiek pracować, a cegły wszystkie poukładane, zamiecione, porządek jest, a wy co?" Poszedł. One odeszły, ale ledwo wyszedł, zjawiają się: "A twoja mat, polska pani, porządków ci się zachciało!" (...) Masz ci los! Mam niby ten piec, mogę sobie siedzieć i myśleć, ciężko bo ciężko wśród tego padła (2), ale daję sobie radę, a tu zaczynają mnie podgryzać... Miałam ten OP, Marijka Krywko, herszt, przychodzi wciąż z pyskiem. I w baraku mi dogrzewa i tu, a ja z nią na jednej zmianie! To było w dzień. Przychodzimy na nocną zmianę. Przemyśliłam, jak mi wyjść z tego bagna, jak te baby pogiębić. Biorę raz prześcieradło, doszywam do niego koszulę, tobie krzyżak na wysokim patyku. Ona ma na dużym ogniu blok pierwszy, musi tam hajcować, sypać a sypać. Żarów-ki mają powykręcane, między dwoma piecami są skrzynki z antracytem (pali się jak proch), one wciąż musi dosypywać. Staję w ciemnościach między jednym a drugim piecem, zakrywam się prześcieradłem i trzymam koszulę na wysokim patyku. Ona podchodzi do skrzynki, podnosi oczy w górę : coś białego i strasznego stoi! Rzuca łopatę, wrzeszczy gwałtu.. Siedzi ich tam trójka, wrzeszcza wszystkie, ja zwijam manetki i na swój blok. Na ich stronę nawsuwałam wagoników, ile wlezie, swój "korytarz" mam oczyszczony. Siedzę cichuteńko, one biegną, tłuką się o metalowe wagonki, włajają mnie, krzyczą: "Sławka, duch jakiś się pokazał!" (...)Przyszła cała trójka. Biorę kawałek cegły, rzucam w stronę ich bloku, coś tam zastukało, zadudniło - nie pójdę mówię, boję się. "Na miłość Pana Boga, chodź z nami" - proszą. Wkręcają żarówkę, pokazują, gdzie duch stał. A one są niesamowicie zabobonne, głupie, tępe! Minęło kilka dni, zaczynają ze mną łaskawiej rozmawiać. Miałam też kamizelę z baraniej skóry, nałożyłam ja

padło (nos)

węlną na wierzch. Siadam przy jej skrzynce w ciemnościach, ona reka do skrzyni, a tu kosmate futro! Kto może być kosmaty, jak nie diabeł? Węc znów jazgot, muszę dać nich biec, szukam (...). Mówię, że trzeba się modlić za zmarłych (wiemy, że poginęły tu dziewczęta), to nie żarty, może się pokazywać dusza pokutująca. I od czasu do czasu u siebie i ja podnoszę jazgot dla niepoznaki. I proszę! Maryjka dostaje paczkę i przychodzi do mnie z poczęstunkiem. Wśród Ukrainek nie miałam odtąd większej przyjaciółki jak Maryjka Krywko. (...) A po obozie zaczęły krążyć opowieści o duchach.

Diadia Pietia nauczył nas, jak twarzą wyczuwać wilgoć w blokach. Nie było na to pomiaru, a on nas uczył, jak wyczuwać wilgotność przy otwieraniu drzwi pieca. Ten jego sposób, tajemnicę, znaliśmy tylko Krywko i ja. Przedtem jeszcze jedna Rosjanka, ale ona wyjechała na wolność. Diadia Pietia przyuczył nas, że temperatura na termometrze nie zawsze odpowiada temperaturze w bloku, wyczuwał to (przy zmianie bywał sam) i jak jest za duże wilgoci, trzeba ją "spuszczać". Była taka góra, strych, tam luki. Trzeba było tam chodzić spuszczać wilgoć, to było przykazane.

Ale diadia Pietia wyjechał (...), zostajemy bez niego. Przychodzi do nas Białorusin Swietlicki. Głupi, tylko patrzy na termometr i drze mordę. A jak na dworze jest 50 stopni mrozu, to u nas (w bloku) mimo zabezpieczeń jest zimno - góra przepuszcza mróz, wilgoć jest. A jak zaczęłam pracować jako palacz, to zdarzyło się, że siedzę w swoim zasmolonym uniformie rozwalona na skrzynce węgla, a tu wchodzi jakiś pan w kurtce. Słyszałam, że lokomotywa zajechała, więc albo przywieźli drzewo, albo przyjechali po cegły. A tu on. Zatrzymał się przede mną: "Dzień dobry. Wy tu palaczem?" -- "Tak". (...) Zaczął mnie wypytawać o wszystko. Jaka temperatura, jak się pali, jak się robi cegły itd. Ja mu tłumaczę, że to zależy od pory roku (...), od składników gliny - cały wykład. Mówię, jak się wypala, że najpierw trzyma się cegłę na dymnym ognisku, później

zwiększe się stopniowo temperaturę itd. Podziękował i wyszedł. Po nosnej zmianie siedzę w domu na pryczy - patrzę - ten sam pan wchodzi do baraku. Pytam bab, kto to jest. Jak to, to naczelnik kolonii. Cybulski. Wiedziałam o nim, ale przedtem go nie widziałam, gdzieś wyjeżdżał. Opowiadam, jak mnie egzaminował ~~wykłkxkx~~ przy bloku (...). I on mnie sobie zapamiętał.

Zostajemy więc z Maryjką we dwie i tylko my znamy tajemnice wilgotności. Swietlicki wrzeszczy o temperaturę, to temperaturę trzymamy, on nie wie o wilgoci. To była tajemnica diadi Piti i sam Cybulski o tym nie wiedział. Maryjka przychodzi do mnie i mówi, że nowe baby mają wielki ogień, ale wilgoci nie spuszcza. Ja na to: "Czy to twój interes? Cicho siedź, masz swój blok? I ja mam swój". Swietlicki lata: "temperatura!". Otwierają blok nowych - wszystkie cegły jak makowiec popękane. Za tydzień drugi - to samo. Nie dość, że nie mają cegieł, to jeszcze gdzieś je muszą wywalać! Na psa robota, pożytku z tego nie ma. Jest zima, mają problem. Przychodzę na blok Maryjki. "No i jak?" - pyta. - "Jak oni nie wiedzą to i ty nie!". Puszczają jej i mój blok - cegły dobre. Laborantki biegają, nogi w tyłek zaganiają, ważą, mażą, miela, mało językiem nie próbują - nie wiadomo, co się dzieje.

Robi zebranie Cybulski. Siedzimy z Maryjką umazane na gebach, boimy się. Cybulski się rozgląda: "Chodyko do mnie". Siadam naprzeciw niego. - "Wiem, że ty się interesujesz pracą, dużo wiesz, powie mi, co to jest?" - "Nie wiem" - "Niemożliwe! Laborantki też nie wiedzą! Ja też nie wiem. Musimy dojść do tego. Teraz zrobimy remont bloków, mają je przerobić." Tak to więzień robił, póki był, potem niech się wali! (.....)

Żeby rury nie zamarzły, trzeba było kogoś na noc, żeby palił. (...) Cybulski proponował kilku osobom, ale się nie zgodziły, a że był więźniem, do karceru wsadzić nie mógł. W końcu namawia mnie.

"O nie, wieczór wychodzić, opał sobie przywozić, szlakę wywozić - nie!" A on: "Będzie rozkaz, szlakę ci wywiozą, opał przywiozą, posiedź tych osiem godzin w nocy, proszę cię" (...) Zgodziłam się. Remontują blok, ja sobie na noc przychodzę. Jak nie ruszam koksu, to on się żarzy i kilka godzin ciepło trzyma. Ja się zawijam w waciek, kładę na ciepłym piecu i śpię. Zarządzająca na kuchni była pani Lidia Gagołkina. Zaproponowała mi, żebym wracając z tego dyżuru przychodziła do kuchni pomagać trochę. "Najesz się". Przychodzę więc na kuchnię, coś pomogę, zjem, a później się kładę, bo znowu oż wieczór idę do roboty - i tak sobie żyję. Trwało to z miesiąc.

W grudniu (chyba) 48 roku z Moskwy przychodzi lista imienna na etap. Zabierali nas chyba 16 czy 13 osób, politycznych. Cybulski wysyła kogoś do Moskwy, że jeśli zabiorą nas, to i pół normy nie wykona. Na próżno. My już nic nie robimy, Cybulski nas do roboty nie goni (...). Przychodzi konwój i nas zabiera. "szyscy: urzędnicy, laborantki, Cybulski, stoją przy bramie, żegnają nas. (...) Miałam wcześniej taki pomysł, że jak wyremontują bloki, to pójdę do Cybulskiego i w cztery oczy mu powiem, że jak mnie zrobi majstrem nad cechem suszylnym, nie będzie miał ani jednej cegły do wyrzucenia. Ale tajemnicy nie zdradziłam. Przecież to wszystko było dla NKWD.

W tym obozie pierwszy raz się spotkałam z babami lesbijskimi. Była taka jedna baba, bandytka ruska, która sobie wyszukiwała młode dziewczynki. Kiedyś przyszedł etap, przyjechała bardzo młoda Żydóweczka, młode dziecko, a ta stara jędza przygarneła ją do siebie, że niby pomoże i zaczęła się do niej dobierać. Ta nie wie, jak się bronić. A były u nas Żydówki laborantki, tu zaczynały wyrok. Jednak Żyd do Żyda ...ta mała podeszła do jednej z nich i poskarżyła się. Tamta poszła do Cybulskiego (byli kumplami od początku wyroku i powiedziała mu o sprawie. Ten zamknął starą jędzę do izolatora

o chlebie i wodzie i trzymał ją tam ze dwadzieścia dni. Szczęściem było lato, bo byłyby zdechła. Cybulski z majstrami naśmiewali się ze starej (...) "Oduczę ją dziewczki j....!" Jak ją wypuścił, miała zieloną twarz. Żydówkę wysłali gdzieś z tej kolonii. (...)

Chciałam jeszcze wrócić do pani Gołubiewej, Koreanki. Kiedyś polecono mi iść do "kaptiorki" (to taki skład odzieży, obuwia itp). Przyszłam, a tu ta skośnooka pani: "Chciałam bliżej się zapoznać, porozmawiać, wyrok mi się kończy, siedziałam długo. Chciałam się dowiedzieć, co się działo w te lata na świecie". I opowiedziała mi, że była współpracownicą Lenina, znała go osobiście, zakładała kołchozy, utrwalali komunę, potem ją Stalin posadził (...). Widać było, że wierzyła, że coś dobrego robi. Miała bardzo dobre serce. Przed wyjściem na woność pełna była obaw: gdzie ja osiedla? Co będzie robić? A że tam była bieda i nędza, wszystko jeszcze na kartki, starała się zrobić coś dla siebie na zapas. Co mogła? Mogła sobie ze starych szmat watowych uszyć jakiś materacyk, przygotować trochę mydła. Mydło, śmierdzącą ciapkę, dawali nam w beczkach. To mydło gotowała w misce, zgęszczala, suszyła w kulkach. Robiliśmy to obie. Zaproponowała mi, żebym po pracy przychodziła do jej pokoiku przy kaptiorce (tam spała, bo pilnowała tego), myła się tam (...). Dopóki była, przesładywałam u niej, opowiadałam jej o wojnie, polskim wojsku i partyzantce, o tym, że walczyliśmy, i jak nas posadzili. Ale ona to już dobrze rozumiała, bo sama kończyła wyrok chyba piętnastoletni. Bardzo była zniszczona, w obozie w czasie wojny było bardzo ciężko. W każdym razie dopóki była, miałam kąpiel, gdzie nikt mi nie szarpał nerwów, dobrze się tam czułam, choć była innej narodowości i innej mentalności. (...)

W tym obozie też były przysyłane z sierocińca dzieci z wyrokami po siedem-osiem lat. Na wakacje wysyłano je z sierocińców do kołchozów na prace w polu. (...) A że to było niedożywione - zrywały kolby kukurydzy i jadły. A to im było policzone jako władztwo ²

taśma VI
str A

wriede
t. 12. 40.

(12)

i dostawały wyroki. Cała chmara była tych dzieci, wszystko to z je-
zogotem biegalo. Wśród nich zdarzały się bardzo spokojne dziewczęta,
milczące. Kiedy byłam palaczem w cechu syszylnym, przychodziły po-
grzać się. Po prostu zrywały się z roboty, nie chciały pracować.
Różnie z tym było: brygadziści chodzili, szukali ich, ganieli. Prz-
chodziła do mnie bardzo spokojna dziewczyna, Tania. Rozmawiałam
z nią. O rodzinie nie wiedziała nic, zawsze chowana w sierocińcu,
włosy zawsze strzyżone maszynką nie na podobieństwo człowieka. Mówi-
ła, że bardzo źle było w sierocińcach, zawsze ich okradali, na
kromkę chleba marmolady na koniec noża (...) Często z nią rozmawia-
łam, chowałam w kąt przed brygadzystką, żeby sobie posiedziała, że-
mi było dziecka. A w dni, kiedy nas kąpali, dostawaliśmy chleb je-
norazowo 1:600gram, cały kawałek z rana (normalnie 3 razy po 200g)
- wolny dzień. Przychodzę w taki dzień do stołówki, Tania siedzi,
zupełnie zjada, jakoś tak dziwnie wygląda, jakby zmartwiona, przed
nią ten chleb. "Chora jesteś, chleba nie jadasz?" - pytam. Nie jadła
chleba: chciała się nacieszyć tym dużym kawałkiem, bo nigdy w życiu
takiego nie miała. To było szczęśliwe dzieciństwo! Rodziły, rzucały
a i w obozach Rosjanki miały czasem po kilkoro dzieci. Bo jak w
ciąży, to nie chodzi na ciężką robotę, później karmi kilka miesięcy.
a później to dziecko zabierają, a taka na nowo - i ten wyrok jakoś
lepiej przejdzie! A dzieci? Dzieci państwo wychowa... Tak jakoś bez
serca. Była taka Zonia Tarochowa, troje urodziła i nie interesowała
się nimi.

Dla dzieci skazanych (z wyrokami) nie było osobnej zony, byli
razem z nami. Więźniowie nie polityczni zmieniali się bardzo często
bo pracowali na dwie zmiany i w ciągu sezonu "dochodziły"; niezdolni
już były do pracy, wywozili je od nas na jakieś rolne kolonie, tam
zawsze przynajmniej jakieś ziemniaki... Część na pewno umierała.
Nas, politycznych, Cybulski chronił. Jak ktoś był słaby, dostawał
wypoczynek, lżejszą robotę, był podtrzymywany.

Były u nas na kolonii dwie Cyganki, jedna normalna, szesnastoletnia dziewczyna, druga młodsza, niedorozwinięte dziecko, miniaturowa (...) miała malusieńkie nóżki, nie mogła ich ciągnąć w ogromnych butach, które dostała. I tu jeszcze raz wróć do diadzi Pieti. Miał on dobre serce. Czasem przychodził do nas do baraku. Nigdy nie siadał na pryzkach, zawsze taborecik mu stawialiśmy. A on Ukrainkom każe zaśpiewać, te śpiewają, sterają się jedna przez drugą (...). Cygankom każe tańczyć: większa ramionami trzęsie, nogami tupie, a to maleństwo buta nie może podnieść, bo nóżka jej z cholewki wyłazi, trzęsie się troszkę nie podnosząc butów. Diadia Pietia głaszcze ją po głowie i mówi: "No zarobiłaś na "dopełni"- tzn., że wpisze jej ponad 100 procent normy i dostanie ona kawałek chleba i łyżkę kaszy więcej... A w pracy wysyłał ją jakiegoś cegły pozbierać, między rurami ogrzewczymi teren wyczyścić... Ona gdzieś wlezie i cały dzień sobie tam przesiedzi. Nie była zdolna do żadnej pracy, ale wiedziała, że diadia wysyła ją tam po to właśnie. (...) W tym obozie było dozwolone przebywać majstrom w barakach. Diadia Pietia z Cybulskim żyli jak bracia (...), jeśli chodzi o sprawy bytowe wiele razem załatwiali i o więźniów dbali.

Zabrano nas z tego obozu w grudniu 48 roku, załadowano do wagonów. Mróz był niesamowity. Jechaliśmy ze trzy tygodnie, bo to już trasa transsyberyjska, zatrzymywali pociąg na rozjazdach (...). W Nowosybirsku nas wykąпали, dali do desynfekcji parowej całą odzież (...) i ja dostałam mokre waciaki! Ostatnią mnie wepchnęli do wagonu i zaraz za mną zamknęli drzwi. Nikt mi miejsca nie ustąpił, bo każdy dbał o siebie. Szpary takie, że rękę można wysunąć. Na mnie wszystko zamarzło i przynajmniej z dziesięć godzin tak wytrzymałam. Strasznie zachrypłam, straciłam głos, byłam chora przez cały czas, aż do przyjazdu do Irkucka. Podróż była ciężka. W wagonie musiał ktoś nocą dyżurować, obserwować, co inne robią. (...) Przychodzą, młotkiem walą po ścianach, dyżurna mówi swoje nazwisko, musi. Nikt

oczywiście nie chce dyżurować, każda się otula, chucha w waciaki, komu by się chciało innych obserwować. A była tam jedna Ukrainka nazwiskiem Czuma. (...) Namówiliśmy tę staruszkę, żeby mówiła, że cierpi na bezsenność, jest stara, żal jej młodych i nocą zawsze pilnuje. Więc każdy, kto się obudzi, krzyczy: Czuma, co ich rozwścieczało. Kojarzyli to z "dżuma", konwojenci byli wściekli, że ich przezywamy. Wreszcie przynieśli papiery i sprawdzali, czy jest na liście takie nazwisko. (...)

Niesamowicie dokuczał straszny mróz. W wagonie było ok. 60 osób. Leżało się na pryczach, leżało na podłodze. Na podłodze strasznie x wiało. Kiedy nas przywieźli za Irkuck, śni mi się wysoka skarpa, a na niej baraki, obóz. Obudziłam się rano (...) i opisuję mój sen dziewczętom. I rzeczywiście. Wyładowali kilka wagonów (same kobiety za Tajszetem pod Brackiem. W Tajszecie nie zatrzymaliśmy się.

Koło tysiąca kobiet spędzili do obozu numer (chyba) 202. Baraki dość przyzwoite. Jak już mówiłam, chorowałam, nie mogłam mówić. A tu po barakach chodzi nasza kucharka, kierownik kuchni z cegielni, i poszukuje wszystkich dziewcząt z cegielni do pracy w kuchni! Takiej solidarności jak w obozie (nigdy nie spotkałam). Jak się człowiek nie użalał, tylko myślał - można było wszystko załatwić! Ona nas zbiera wszystkie, w kuchni zatrudnia. Mówię, że jestem chora, jakże tu do kuchni. "Dam ci bardzo dobrą robotę. Nie ma oświetlenia, tylko wokół obozu. Mamy dużo jarzyn, przywieźli olbrzymią marchew. Będiesz wydrążać marchew i robić z niej lampki olejne. Będiesz za elektryka." W obozie trzeba było zawsze samemu wykombinować, co i jak masz robić. Jak człowiek nie wykombinował, to szedł w dół i koniec. (...) Byłam więc tym "elektrykiem", marchew przy okazji się jadło.

Na tej kolonii dowództwo garnizonu i naczelnicy to byli bardzo młodzi oficerowie, którzy ranni na froncie ze szpitali byli tu odsyłani. To było dla nich dobre miejsce, żeby zapomnieć, jak wyglą-

da zachód. Tu pracowali. Takiego "naczelstwa" nigdzie więcej nie spotkałam. Sporo było więźniarek bab-frontowiczek, zwanych "praj-dochy". Same Rosjanki śpiewały: "Na pozycji dziewczątka, a z pozycji mat, na pozycji uczesania, a z pozycji blat". "Zięły w swoje rece tych panów (...), stosunki były jak najlepsze. Miały wprawę. Panowie się starali. Dostawaliśmy piękną kapustę, marchew, podroby, wątroby, nerki płuca, podgardle - gotowało się normalne jedzenie i jeszcze każdy dostawał po kawałku mięsa. Człowiek najadł się, ile weszło, tylko chleba była norma ta sama (co gdzie indziej). Ale kombinowało się jakoś, kawał wątroby^{no} zabierało ze sobą (do pracy). Po długiej podróży zaczęłyśmy szybko przychodzić do siebie. Trochę tłuszczu zawsze, oliwę łykałam, gardło mi się zaczęło poprawiać. W baraku moją sąsiadką była jakaś pani, zaczęłam z nią rozmawiać. Okazało się, że Polka gdzieś z kresów wschodnich, bała się swojej polskości i bała się mówić po polsku. Wspomagałam ją, przynosiłam coś z kuchni, bo ona tam nie pracowała. Poprawiłam się trochę. Na kolonię tę trafiła też znowu pani Sienkiewicz. Mówi raz do mnie: "Naczelnik pytał o stolarzy, pójdziemy pracować jako stolarze." Nie miałam zielonego pojęcia o tej robocie (...). "Głupia jesteś, nie nie nie rozumiesz. Nie nauczyłaś się niczego przez tyle lat. Zobaczysz, że potrafisz." Rzeczywiście, zgłaszam się na stolarza. Dostajemy jakiś magazynek, jest tam parę toporów (...), szykujemy się do roboty. W tej kolonii byłam około 6 tygodni. To były wczasy woj-skowe dla nas. Pewnego dnia po południu grzebiemy się w magazynku, coś tam robimy, zachód słońca, marzec - przybiegają dziewczęta. "Co wy tu robicie, cały obóz już na etap się zbiera!" Przychodzimy. dziewczęta mają już wszystko powiązane. Przyszedł jakiś konwój - gdzieś nas zabierają, wszystkie kobiety. Kryminalnych już nie było tam, listy imienne. Numerów jeszcze nie miałyśmy. Pchamy się wszystkie z tobołami, liczą - nie wiemy, co nas czeka. Gonia nas piecho
ta

Ile kilometrów, nie wiem. Całą noc. Śnieg miejscami sięga dwóch-trzech metrów. Wśród nas szła jedna kobieta o kuli. Kto miał toboły, dźwigał sam. Śnieg był trochę udeptany, ale załamywał się pod nogami, zapadałyśmy się, spocone jak myszy. Żołnierze krzyczą, boją się nas pogubić. My też się tego boimy, każda trzyma się kupy, żeby gdzieś nie zostać, bo przecież wiadomo, że ratunku wtedy nie ma żadnego.

Przypędzili nas do obozu przed świtem, zagnali do jednego baraku. Żołnierze nieludscy jacyś, gnali nas jak dzikie zwierzęta. Takie zezwierzęcenie jak w tym obozie rzadko się zdarzało. Makabra. Zagnili nas w barak, tłok (...), blask śniegu przez okno. Słyszałam głosy Ukrainek, nawołują się ("Do mene, do mene!"), sami swoi, zajmują miejsca na pryczach. Widzę, że przyjdzie nam postać, więc daję swój worek Litwinkom, sama pcham się - "idźcie za mną". Na tle okna widzę wysoką Ukrainkę, dziewczuchę, która nimi dyryguje. Mam wolne ręce, ona mnie nie widzi, ja ją pięścią w pysk - odsunęła się na pryczę w kąt, my zajęłyśmy następną. Za ciasno było, żeby leżeć, ale przynajmniej siedziałyśmy. Ja sama w ciemny kąt, żeby się tej Ukraince w oczy nie rzucać. Ona (...) rozgląda się (był to wódz, prowodyrka), szuka, kto ją uderzył. Ukrainki mówiły do niej "Woźda" do niej się zawsze zwracały z różnymi sprawami. (...)

Później ten barak otworzyli, zaczęli nas wypuszczać, brygad tworzyć. Litwinki mówią: dzięki tobie siedziałyśmy.. W każdej sytuacji trzeba wiedzieć, co robić, mówię do nich: trzymać się w kilka osób. Zaczynają więc nas rozdzielać, trafiaam do innego baraku. Baraki właśnie opuszczone, każą sprzątać. W jednym głowa ludzka obcięta w drugim ręka, a w jednym straszne krwawe odbicie człowieka krzyżowanego na ścianie. Później nam dozorczy opowiadali (było dwóch ludzkich dozorców, Tatarów, ojciec i syn), że przed nami byli w tym obozie urki, przestępcy. Tylko chleb im wydawano przy wachcie, nic im nie gotowali (...). Nic dziwnego, że traktowali nas jak zwierzęta, skoro wcześniej mieli do czynienia z takim bydłem, a jeszcze im do głowy nawkładano, że my faszystki.

str. B

*11
Oboz
Krasnodar
Siberia*

Pierwsza noc w tym obozie była jedną z najstraszniejszych, jaką przeżyłam. Krzyczeli, tłukli kolbami - to było nie do zniesienia. W tym obozie był spokój. Tu ciemna noc, tylko blask śniegu w ciemności i ryk tej dziczy nad nami. (...) A ich język! Było normalne, że przyjęte mówić "twoja mat". ~~xxxxxxChristaxBogaxmatxx~~ A oni "Christa Boga mat"! - nawet jak kto nie wierzył, włosy dęba stawały na głowie.

W obozie wszystko połamane: stoły porozbijane, kuchnia zdezelowana - nic nie było. Porozwalane prycze, ławki, taborety, ławnia. Nie było nic. Kuchnia nieczynna, bo nie gotowali dla nich (...). No i na tej glinianej ścianie ślad Krzyża Pańskiego po ukrzyżowaniu. (...) Bandyci tak sami siebie...ktoś coś zawinił. Nic nie mieli do przegrania w karty, więc "pierwszego spotkanego musisz zarabować", lub coś takiego. I władze obozu miały do nas podobny stosunek jak do tych urków. Normalnie na wieży stał żołnierz z karabinem - tu na wieżach strażniczych, wszystkich czterech, ustawione karabiny maszynowe. Albo: już mamy iść spać, a raptem znów wszystkie, co do jednej, wyganiają na zonę. Stajemy na głównej drodze (obożu), zaczynają nas liczyć. Jedna chora, druga się źle czuje - marzna wszystkie. Kiedyś spotykam tę inżynier Zoję Fiodorownę (...), rozmawiamy i okazuje się, że mamy podobne wrażenia: obu nam się zdaje, że wyganiają nas po to, aby uruchomić karabiny maszynowe... Strach, niepewność. Byli jak dzikie zwierzęta. A my ciche, spokojne, przybite.

Zjawia się znów u mnie Sienkiewicz: "Wszystko rozbite, stolarzy trzeba, pójdziemy." (...) Najpierw w stołówce trzeba ławki postawić, robić łopaty do mieszania w kotłach...Naczelnik, ruski muzyk, taki spod Topola, z gwiazdką lejtnanta (też pewnie na froncie daleko był), żona gruźliczka na wykończeniu i cała chmara dzieci. Bieda z nędzą nie lepsza niż w obozie. (...) Cieszył się, że stolarze są, to znaczy my. W kuchni powiedział, że obie mamy być nakarmione

tyle, ile chcemy, mamy jeść. Dla niego to był skarb mieć dwóch sto-
larzy w tak rozbitym obozie. Zaczynamy od kuchni. Kuchnie, przycho-
dnię, szpitalik, pralnię, łaźnię - wszystko remontujemy. Sienkiewicz
była w kołchozie wychowana i tam wszystko musiała robić. Chłopów
przeważnie w kołchozach nie było (tylko do zapłodnienia bab!), baby
same wszystko robiły.(...) Była wojna, a i przed wojną mężczyźni z
kołchozów siedzieli, byli na wagę złota. Mój ojciec był budowlancem,
domy z drzewa budował, coś miałam po nim zakodowane... (...) Zaczy-
namy się przymierzać. Najpierw zrobiłyśmy samodzielnie stół w bio-
rze, jakoś się udało. Potem jakieś taborety, stołki, ławki. Rozry-
wają nas, karmią, do łaźni możesz pójść, umyć się, ile wlezie, w pr-
❧ ni ci wypiorą, z przychodni witaminki albo wazelinki dostajemy -
rozrywają nas, jesteście rozchwytywane. Szykują się do prac ziem-
nych przy drodze kolejowej, trzeba robić taczki. Dostajemy kółka i
osie, resztę z drzewa trzeba ręcznie zrobić, raczki ustawić. Mając
jedną taczkę na wzór same zaczynamy to robić. W lesie poszukujemy
materiału (wybierałyśmy brzozę, bo najmniej łamliwa, choć ciężka
w obróbce). Przywożą deski, mamy drzewo. Mieszkam na razie w baraku
ogólnym, ale potem w baraku "pryduków". Zawsze co 40 osób to nie
200! Dniewalna z baraku pryduków, starsza pani, stawia wiadro, że-
by nie trzeba było wychodzić (zima!), ja w zamian przynoszę drewno
na opał, bo były ograniczenia. Całą wiosnę robimy te taczki. Trzeba
było dobrać trochę ludzi do przyuczenia. Zgłosiło się parę Litwinów
Łotyszek, Estonów. Ale byli bez wielkiego pojęcia o drzewie i pracy
przy nim. Do późnej ^{litosny} nocy tam pracowałyśmy.

Zbliża się lato. Robili tam rowy ochronne (przed powodzią),
teren nierówny, rowy czasem na 3 metry głębokie. W okresie "goracej
pracy" wszystkich "pryduków" zabierają na ziemne roboty. Robi się
gorąco, meszka, komary, puchniemy. Dochodzi do tego, że nie jemy
tłuszcza, który nam dają w kuchni, tylko się nim smarujemy. Meszka
głównie, kiedy siada na olej. Robiłyśmy ogniska dymne przeciw komarom

ale znów meszka na nie nie reaguje. Puchły twarze. Wystarczył kawaleczek odkrytego ciała, a skóra już przeżarta. To była straszna rzecz. Wysyłają więc "pryduków". Idziemy, tworzą z nas nową brygadę. Baby mówią, że podobno będziemy w brygadzie Nienki, która dryl trzyma. Myślę sobie: tego tylko brakowało, żeby w bolszewickim obozie szkop mnie do roboty gonił! A były w obozie dwie panie starsze, inwalidki, pani Gołojńska (trochę znajoma, kuzynki mąż z nią się znał) i pani Olga, nauczycielka. (...) Jako inwalidki nie wychodziły na prace. A jedna z naszych pań pracowała w piekarni poza obozem i miała kontakt z wolnymi. Wolne prosiły o haftowanie różnych rzeczy i za to płaciły prowiantem (wędzone mięso reniferowe albo jelenie, świeże jarzyny, kawałki chleba). Te dwie panie proponują mi, żebym im w haftach pomagała. Dlaczego nie? Ale muszę iść na robotę! Myślę sobie: czekajcie! Coś wymyślę, żeby nie być u tego szkopa, później i tak będę stolarzem! Zawsze byłam podatna na zapalenie gardła itd, a tam była wieczna zmarzlina. Buty w lecie miałyśmy lekkie japońskie, podeszwa gumowa, płótno, zapinane na guziczki. Prócz tego spodnie, nakomarniki (żołnierze mieli specjalne siatki zielone, my kawałek białej surówki i gazy, która się po praniu rozkładała, bardzo był człowiek umordowany). Wychodzę na robotę jeden dzień, zdejmuję na drugi te ciapki. Wystarczy, że postoję godzinę boso i już mam ~~XXXX~~ 37,8 gorączki. Idę więc do przychodni. W przychodni był felczer, Gruzin, porządny człowiek, siostrzyczki nasze więźniarki. (...) Gruzin pyta, co mi jest, z litością. (...) Mówię, że kaszlę (udaję gruźlicę), że mi słabo, że się pocę. Daje mi trzy dni wolnego. Potem znów stawiam bose nogi na zimnym gruncie i znowu mam temperaturę. Korzystam tak ze słabości (do mnie) tego Gruzina. Z jego strony to była tylko litość nad młodością, nic więcej, ale wciąż mam nowe zwolnienia i całe lato haftuję ze staruchami. Zawsze mamy coś do zjedzenia, nabieram sił i odpoczywam, na robotę chodzę tylko od

czasu do czasu. Zaczynają się jednak przymrozki. Do tej pory haftowałyśmy pod barakiem, teraz już tego robić nie można, bo za zimno. W baraku znowu ciemno, to żadna robota. (Nici, igły, inne materiały dawały wolne, brało się też nici z bandaży). Szron. Wychodzę więc normalnie na robotę w brygadzie Friedy Pfeifer. Żołnierze tam się zmieniali dość często, aktualnie konwój był dość ludzki. Co 50 minut 10 minut "pierekurki". Pracowałyśmy wtedy na drodze, trzeba było równać z wasserwagą, podsypywać itd. Pierekurka. Siadamy na drewnianych podkładach, Frieda-brygadziatka siada przy mnie, zaczyna rozmawiać. Pyta, kto ja jestem. Polka. "Czemu nie chodziłaś do pracy?" - "Bo byłam chora, miałam przecież zwolnienie." - "A Ukrainki mówiły, że ty jesteś kapuś". - "Proszę sprawdzić w przychodni" - mówię. I tłumaczę jej, że nie byłam nigdy wołana, z nikim nie rozmawiałam itd. Ze powinna się orientować, jak kombinują więźniowie. Ona odsiedziała już przecież 10 lat (Niemka z Powoźża), a wyroku miała 17 lat. A mówiło się: "~~Jeden~~ Dień kantowki, god żizni" (...). Tak rozmawiałyśmy, zaczyna się ta Niemka do mnie przysiadac, mówi, że chciałaby mnie bliżej poznać, "bo mało jest ludzi, z którymi można rozmawiać, przeważnie to chochły, głupie wszystko". Proszę bardzo. Zaczynam z nią być na przyjacielskiej stopie. Chodzimy razem, pracujemy, zaprzyjaźniłyśmy się.

Po chyba dziesięciomiesięcznym pobycie w tym obozie przewożą nas do innego. Ten był 202, nowy chyba 150. Nie wiem, według czego to się liczyło, czy od Bracka. W samym Bracku nie byłam.

Jeszcze jedno: Jak zaczęłyśmy z Heńką stolarzować, przed bramą obozową była szopa o trzech ścianach, od obozu otwarta. Tam coś robiłyśmy, to był magazyn kółek do taczek itp. A było tam tak, że jak nas gonili do pracy, a ktoś przechodził (wszystko jedno kto, nazywani bez konwoju), nam kazano się kłaść. Błoto, bagno - rozkaz "łóżys", kłaść się i koniec. Nie było gadania. Nie wszystkie te iczyczaje były dla nas zrozumiałe.

fasma VII
str. A

Jesteśmy więc w tej szopie, idzie droga, oficer. Żołnierz przy branie krzyczy do nas: "Łożys". Oficer, lejtnant, wyzywa go od dumnie. Sam siada przy nas i zaczyna rozmawiać. Był to jeden z oficerów z tej pierwszej kolonii! "Dziewczeta, mówi, jak nam was żal. Teraz mamy mężczyzn, to już nie to samo, co kobiety." - "Nam też żal, grzeczność" - mówimy. Powytrząsał kieszenie i oddał nam wszystko, co w nich miał: gazetki, zapalniczki, papierosy, machorkę jakąś. Potem gdzieś poszedł.

Kiedyś zachorowałam, dużo ludzi wtedy miało biegunkę. Nic nie mogliśmy jeść. Paliło się kawały brzoźowego drzewa i jadło się węgiel z niego, żadnych leków nie było. (...) Przywieźli jakiś nowy etap, zwały się te kobiety katorżniczkami i bardzo się od nas izolowały. Umieszczono je w osobnym baraku ~~xxxx~~. Baraki były na noc zamykane, czego przedtem nie było: w oknach kraty. Jak nas z wieczora zagnali to aż do rana dusiliśmy się w tych barakach. Pluskiew - aż gwizdało. Po ścianach łaziły, z sufitu spadały. Może ten nowy etap przywłókł biegunkę? W każdym razie dużo ludzi chorowało. Człowiek nie ma temperatury, ale jeść nie może, a już nie jest dobrze, kiedy więzień nie może jeść. Do roboty gonią - niwelowałyśmy jakiś grunt od kolei przy drodze. Kolej była wyżej, a dołem płynęła rzeczka na bagnistym terenie. Wnie wewnątrz piekło, ognisko paliło się we mnie - tak chciało mi się pić. Podchodzę do żołnierza (rzeczka z 500m od nas), mówię mu, że jestem chora, że mam pragnienie, chcę wody. On na to: "Wiesz, do rzeczki jest za daleko, ale dojdź do łąki, tam może będą jakieś jamy z wodą. Ale jak pójdziesz do rzeki, będę strzelać." Doszłam do torfowiska, w łące małe jamki z wodą na dnie, ale wody mało, jest lato, powysychała. Ale ja muszę się napić, muszę! Kładę się więc na kępkach trawy, opieram ~~xxxxxx~~ na rękach (muszę pić ustami), patrzę w tę wodę i widzę w niej jakieś żyjątka cieniutkie, długie, ruchliwe... O Matko Najświętsza! Ale myślę sobie, że tak cierpieć nie mogę: jeśli mam

umrzeć - a może dostanę od tego tyfusu - to niech umrę nie spragniona. I z zamkniętymi oczami wysysam tę wodę aż do dna, aż czuję na ustach torf. Z jednej jamki, z drugiej... Podniosłam się na kolana i powoli pełzną pod górke. Podleżałam wreszcie i dziękuję temu żołnierzowi, mówię, żeby mu Bóg zapłacił (płacz opowiadającej). Bardzo mi ulżyło. Przeszły bóle, przestałam chorować. Może sprawiły to jakieś składniki w tej wodzie? (...)

Katorżniczki, które przybyły, miały już na plecach numery, ogromne, czarną farbą namalowane. Musiały coś straszno przeżywać, bo w ogóle żadnego kontaktu z nami nie chciały nawiązywać. Były Polki wśród nich, były i "monaszki", zakonnice w czarnych kiecach, które nie pracują. Związują im ręce, stawiają na słońcu, zawieszają na szyi żelazne łomy i taka kobieta stoi... Chcieli je w ten sposób zmusić do pracy. (...) Mieszka i komary żrą je, nie mają, jak się bronić przed nimi. My nie mamy prawa podejść, bo żołnierz opodal pilnuje. Samo patrzenie na te kobiety to była makabra.

Jak przyszliśmy do tego obozu, nie było tu żadnej ubikacji. Miejsca tylko deskami okryte i wszystko ciekło rynsztokami aż poza obóz. Zrobiliśmy uczciwą ubikację, jamy, siedzenia. W gazetkach stolarzy wiecznie opisywano! Naczelnik zarządził, żeby więźniarki mniej maltretowano, wstawił się za nami. A że miał biedę w domu, dzieci małe, a te dzieci prawie nagie były - to nasze baby obszywały je, z różnych szmat sukienki, spodenki itp. Naczelnik prawie cały dzień kręcił się wokół nas otoczony chmurą dzieci własnych, baby je więc niańczyły. Dlatego nam okazywał tyle serca. W obozie wszystko doprowadziłyśmy do porządku. (I tam pojawiły się lesbijki "pan" z papierosem, "pani" z kokardkami itp). (....)

(....)

Jest takie przysłowie, że w jednym miejscu to i kamień obrasta. Tu już się jakoś ułożyło, ciężko bo ciężko, ale człowiek już zna innych, pójdzie na kuchnię, coś zrobi, zreperuje jako

stolarz i zawsze każdy go pamięta (...), miałam już swoich bezinteresownych ludzi. A tu po jakimś czasie przewożą nas do innego obozu, przenieśli nas wszystkie bliżej Bracka (...), też blisko drogi kolejowej (...). Z daleka szepnął jakiś strumień po kamieniach. To był 49 rok, jesień. Obóz budowany był przez Japończyków. Chodzili oni bez konwoju, na słowo honoru wychodzili i przychodzili. Czasem, jak żołnierz pozwolił, rozmawialiśmy z nimi. Bardzo słabo mówili po rosyjsku, przy spotkaniu zawsze pytali "jaki ma'am?". Tłumaczyli, że "polnisch, polski". "Aha, ruski ma'am niedobry". Uczuli nas, pokazali nam zioła, które można jeść zamiast jarzyn. Np. była taka roślina z liśćmi jak konwalia o smaku czosnku, jakaś dzika cebula rosła. Na drodze trzeba było kuć duże kamienie, uczyli nas je rozbijać. Gлина była tam tak tłusta, że nie schodziła z łopaty, przylepiała się do niej i ciężko było ją zrzucić w górę. Poradzili nam, żeby rozpałcić ognisko i łopatę troszkę podgrzewać. Jak pierożki teraz glina z łopaty leciała (...). Przepiękne kolory miała ta glina, nawet materiały w niej farbowano.

Przerzucili nas do innego obozu. Tam komendantem garnizonu był Tatar, oficer, który z ruskimi nic wspólnego nie miał. Był to jedyny obóz, gdzie komendant na niedzielę nie dawał żołnierzom. Normalnie pracowaliśmy non stop, nie było żadnej przerwy. Lato - to każda brygada wieczorami się kąpała. A on mówił, że jego żołnierz ma w tygodniu jeden dzień odpoczynku i akurat w niedzielę to wypadało. I żadnego żołnierza nie daje. A w obozie żołnierze na wyszkach na zmiany pracują, a do wyjścia w teren w niedzielę nie ma żołnierzy. To oni nas wyganiaли z baraku z rzeczami i z brygady do brygady przerzucali, mieszałi każdego tygodnia. Było bardzo dużo ludzi, różni byli, a człowiek przecież żył się np. z człowiekiem, z którym spał. A tu przerzucają z brygady do brygady, transferami do różnych ludzi, jakichś "chochłów". Pracowaliśmy przy rozbijaniu kamieni i rowach ochronnych przy drodze. Trzeba było je

okładać darnią, którą mężczyźni gdzieś szykowali. Darć trzeba było układać i kołkami przybijać, żeby to zarastało. Komary, meszka. Upeł. Idę do Friedy i mówię: "Frieda, nie chcę być w innej brygadzie z motłochem, nie chciałabym iść z waszej brygady". - "To idź do naczelnika i powiedz, że chcesz być u mnie, bo u mnie dryl itd". Idę do naczelnika i tłumaczę mu, że chciałabym wrócić do brygady Friedy, bo u niej porządek (...), nie lubię bałaganu. No i wywojowałam to, wróciłam do jej brygady.

Przerzucili nas tu jakoś wiosną 50 roku, teraz już jesień i trzeba w posiołku garnizon opatrzyć, wyremontować. Frieda tworzy brygadę remontową, przeważnie Ukrainki - specjalistki od malowania, tynkowania gliną, bo one te swoje domy tak malują na Ukrainie. A ja jedna w brygadzie jestem jako stolarz. Dachy kryte gontem, w garnizonie duże gmachy, na strych się poszło, coś tam trzeba przed zimą podmocować, podłożyć, zmienić... Frieda jest tak spragniona opowiadania o czymkolwiek : filmie, książce, przeżyciach - bo mało do zamknięta, mało co wiedziała i widziała. Obóz, ciężka praca i i nic więcej. Ja też od niej dużo skorzystałam (...), dużo jej zawdzięczam, była opiekuńcza. Chciałabym ją jeszcze raz w życiu spotkać. Jeszcze na Kółymie ją spotkałam, później ja gdzieś samolotem zabrali, gdzie i po co - nie wiem. Ona sama nie była zorientowana.

Na strychach w garnizonie nie ma meszki, nie ma komarów - włą- że tam, nikt nic nie widzi. Dużo tam leżało skór wyprawionych. Kradłam je po kawałku, żeby sobie kaftan zrobić, bo mój z barana w drodze wzięli do desynfekcji i spalili. Później sobie ten kaftan uszyłam. Frieda zostawia swoje Ukrainki, przychodzi do mnie na górę, żeby jej coś opowiadać. Kładziemy się na skórach, opowiadam jej cokolwiek, od czasu do czasu leżąc stukam młotkiem, że niby robota idzie. Był to kawałek wypoczynku i takiego sam na sam, bo

przecież w baraku zawsze dużo ludzi, podsłuchiwalce - a tu odosobnienie. Każdy baraczek na zimę musiał być obstawiony deskami, obypany ziemią, ocieplony (...). Robiłam unocnienia z desek, a dziewczęta obsypywały, żeby nie dmuchało.

taśma VII s.B

Naczelnik zarządza, żeby dwa razy w roku robić porządki u ludzi wolnych (miejscowych nie było, zsylni w posiołku tylko). Komisja potem chodzi i sprawdza. Bo pluskiew, karakanów, robactwa, brudu u nich - aż gwizdże! Ludzie w małych klatkach mieszka, w nich się i gotuje i pierze, ciasno. Na majowe święto i na październikowe musi być sprzątnięte. (...) Malujemy więc, ja stukam młotkiem. Pracuje się u nich, a każda gospodyni stara się nam coś dać za to. i pyta: co w tamtym domu dali? Więc my czasem i kłamiemy, że więcej niż rzeczywiście dali, bo ta stara się nie być gorsza: a to kawałek tłuszczu, a to trochę kaszy, mąki (...). Po naszym powrocie z tej pracy nie robili nam rewizji, nie zabierali, choć dozorczyńki wiedziały o wszystkim.

O około kilometra od obozu wagon podjeżdżał i przywozili nam prowiant: kaszę, mąkę, sól, cukier. Z wagonu kobiety ten prowiant wyładowywały i ciągnęły jak konie wozem drabiniastym do obozu, do magazynu. Stamtąd też coś niecoś podkraδαły. Worek rozprują, wezmą cukru czy kaszy. Ale one nie mogły nic przenieść. Więc kontakt z nami, pracującymi na posiołku, nam wolno przenieść. Umawiamy się: ktoś daje mi woreczek, ja przyniosę, a później dzielimy się po połowie. Korzystaliśmy z tego. Trzeba było tam kombinować. Jak człowiek nie ukradł, to nie przeżył. Podobnie było z pracą: leżeć i młotkiem stukać. (...)

Normy nam specjalnie nie wyznaczano w tym garnizonie. Komentant garnizonu miał romans z jedną naszą panią, bardzo świętą panią Stasią Dobrowolską (pracowała w szwalni za obozem), więc był do nas dobrze ustosunkowany i przymykał oczy na nasze praktyki. Ta jesień to był dosyć dobry okres, ale zaraz zaczęły się mrozy, śniegi

(...) Barażo tam było liche jedzenie, nie dawali nam mydła. Miałam zapas od Koreanki, dzięki niej miałam na parę lat zapas mydła, mogłam czasem ludziom dać. A oni drzewny popiół sypali w beczkę, zagotowywali to, wywar ten palił jak soda. Wtedyś tym umyłam głowę, to popaliłam włosy, musiałam je ogolić. Jedzenie było gorsze niż gdziekolwiek. Okazało się, że naczelnik z zarządzającą kuchnią więzienniczką okradali nas. Nie wiedziałyśmy o tym.

Był jakiś okres, kiedy nie wysyłano nas na pracę, bo były jakieś bunt w obozach męskich w okolicach Irkucka, między Tajszetem a Brackiem.. Był to rok 50-ty. W jakimś męskim obozie brygada obywatelska zkonwój, zdobyła broń, oswobodzili obóz i poszli oswobodzić następne. Powstanie było. Wszyscy żołnierze byli skierowani na oblężenie, nikt u nas nie chodził do pracy. Zabierali tylko raz dziennie z 200 osób (na ok. 1000) do przynoszenia drewna na opał do garnizonu, piekarni i obozu. Komendant chyba poszedł z żołnierzami, jego zastępcą był lejtnant Smirnow, sprytny mały człowieczek, bystry, który strasznie nienawidził Żydów. A były u nas takie dwie kluchy: Maja Brejman i Lusja Szechman (...) wzięte to było, leniwe. Dostawały skądś paczki, mam wrażenie, że w jakiś sposób skądś spoza Rosji, spalone były baby. Brygadzystka, jak od nich coś dostała, to w lesie wyznaczała je do palenia ogniska np, a nie do piłowania drzewa. One sobie łażą, znoszą gałązki. Smirnow miał na nie oko. Jak wychodziłyśmy po drzewo, pytał: "A gdzie Brejman i Szechman?" Te siedzą, nie wychodzą. Ten posyła dozorcę: mają iść. Prosimy: "Grażdanin, cholera z Żydami, prowadźcie nas!" - "Nie, muszą iść". I pół godziny czekamy. W lesie każda musi wziąć kawał drzewa, większy, mniejszy, specjalnie nie przydzielają, jeśli widzą, że w miarę naszych sił niesiemy. A Żydówki biorą patyczki (...) On ma tylko dwóch żołnierzy (wiadomo, że nikt nie ucieknie), czeka przy wyjściu z lasu, przepuszcza, macha ręką. Dla Mai Brejman i Lusi Szechman

przygotowane ogromne kawałki drzewa i kładzie na te Żydów. One rzucają, mówią, że nie mogą nieść, to on żołnirzy puszcza z nami naprzód, sam z nimi zostaje, nakłada na nie to drzewo i tak z nimi idzie aż do obozu (śmiej). I to co dzień ta komedia była (...), gonił te Żydów.

Już znów pracujemy (po buntach), wycinanie lasu. To odbywa się zimą (...). Piłowanie, wynoszenie pod tory kolejowe. Zonierze nie pozwalają nam przynieść do obozu ani kawałeczka drzewa. Jest tu by przydział opału, ale zawsze mało, bo przychodzimy mokre po pas. Śniegu dużo, rękawice i wszystko mokre (...). Piece z cegły.

Pewnego dnia przyjeżdża komisja z Moskwy. Prawdopodobnie zajął się tym Tatań, naczelnik garnizonu. Tam nie było komunikacji osobowej, doczepiano do towarowego tzw. ciepłuszkę, wagon opalany piecykiem na drzewo. W komisji było pięciu oficerów z Moskwy. Pojechali aż za obóz, śniegami przeszli koło obozu, na wachcie rozbili (nieczytelne), przeszli się w nocy po wszystkich barakach. Ale najpierw poszli na kuchnię. W skardze było wszystko dokładnie opisane: co się u nas dzieje. Kazali nocnej kucharce przeprowadzić zarządzającą, obudzić ją. To była stara Rosjanka Wasylisa zwana "Prekrasną" (Później Smirnow z Żydówkami gonił ją do lasu). Sprawdzili wszystkie papiery, kwity, porównali ze stanem magazynu. Dostała ileś tam jarzyn, a miała kupkę słomy i parę liści kapustu, były duże braki. Stwierdzili, że jest w spółce z naczelnikiem, który kradnie, a baba się na to zgadza (...). Potem poszli po wszystkich barakach (w jednym była kobieta chora na śpiączkę, która od kilku dni nie budziła się, nie wstawała). Trwało to do północy. Poszli potem do naczelnika kolonii (a był jeszcze naczelnik od pracy, naczelnik KW Cz - kultury, choć gazety nawet do palenia nie było, ale naczelnik od kultury był - naczelnik od prężności naczelnik reżimu. Z miejsca ich aresztują. A naczelnik reżimu nosił czapkę wygiętą jak gestapowcy, był to wściekły człowiek. Wyga-

niał nas przed snem w nocy do liczenia. Stałyśmy półrozebrane na mrozie. Liczyli, mylili się (może celowo), on krzyczał strasznym głose^m (...). Czasem ktoś się odezwał przedrzeźniając go (oczywiście nikt nie zdradził), to nas trzymał godzinami, zamierzaliśmy do pół śmierci. Naczelnik obozu podlegał Tatarowi, a on nikomu nie podlegał. Ale to była spółka. Oprócz Tatara, który z nimi nie trzymał. Ten naczelnik reżimu wymyślał powody, żeby nas gonić na mróz. Gdy wchodził do baraku, natychmiast musieliśmy wstać wszystkie, a przecież prycze piętrowe, zanim te baby, często bez spódnic, półrozebrane, przygotowane do snu, zejść - to musi trwać. A on od wejścia spieszył jak wściekły, żeby nas zastać jeszcze na pryczach. Miał wtedy powód do wyganiania na mróz. Sadysta po prostu, metody miał gestapo. Koło drzwi spały Litwinki, jedna miała szeroką spódnicę. Kiedyś wpadł, ona akurat schodziła z góry w pośpiechu - zaplątał się głową w jej spódnicę. Nie mógł się wyplątać, ona na jego głowie, on pod jej spódnicą. Zamarła z przerażenia, wstrzymałyśmy wszystkie oddech. Wydobył się wreszcie, wyszedł. Ona o mało zawału nie dostała i tylko "W Imię Ojca i Syna" - prosi wszystkie, żeby się modliły, bo myślała, że będą przykrości. Ale nic się nie stało, bał się widać ośmieszyć.

Aresztują więc wszystkich naczelników, zabierają ich. Przyjeżdża nowy, Rosjanin, ludzki człowiek. Chodzi po barakach, rozmawia z nami, my opowiadamy: mówimy o tym, że przychodzimy mokre, w barakach zimno, suszyłkom brak drzewa, żeby nam wszystko wysuszyć, a żołnierze przy bramie zabierają nam drzewo, które idąc z pracy sobie przynosimy. Dziwki, które pracują przy garnizonie dostają je od żołnierzy, którzy nam zabierają. Poleciał, żebyśmy najszybciej z daleka krzyczały, jak żołnierze każą nam rzucać drzewo, które sobie niesiemy, że się zjawi. Więc wzięłyśmy wielkie kawały. "Rzucać drzewo!" - a baby na żołnierzy od matuszki, nie damy drzewa, zaczęły wołać naczelnika. Przychodzi: "Jakim prawem zabraniacie?" Li-

czyć kobiety, wpuszczają!" A dziwki z garnizonu już z saneczkami stoją, czekają na to nasze drzewo. A on do żołnierzy: "Chcesz swoje baby zaopatrywać, to marsz do lasu po drzewo, masz czas!" Skończyło się. Jedzenie się poprawiło. Byliśmy zadowoleni.

Latem dwa razy szliśmy do lasu. Raz nosić drzewo pod linię kolejową, idąc na obiad przynosimy na kuchnię drzewo, po obiedzie znów idziemy po drzewo, ale tylko raz. Pewnego razu w zimie pędza nas pod wieczór drugi raz do lasu. Popędził nas ryży Iwan, wredny Ukraińiec. Umówiliśmy się, że będziemy łazić po lesie, drzewa niby nie znajdując pod śniegiem. Zaczyna się szarówka, Iwan ma stracha. Wygania nas z lasu, woła żeby wychodzić na drogę - po torach. Ciągniemy się wolno, na złość. Wróz, idziemy po torach, widać przed nami isierki jakieś. A kilka dni wcześniej opatulony człowiek szedł po podkładach, nie słyszał lokomotywy, zabiło go. Iwan zobaczył isierki, zdawało mu się, że jedzie parowóz. Strasznym głosem krzyknął: "W strony!". Rzuciliśmy się w jedną i drugą stronę, siedzimy w śniegu po pachy. A tu okazuje się, że idzie kilku oficerów z naczelnikiem garnizonu szukać nas, palą papierosy. Żołnierz się tłumaczy, dlaczego siedzimy w śniegu. Zaraz te, które umieją gadać, mówią, jak to nas drugi raz ganiają po drzewo, baby padają, nie mogą iść, gadają, że część z nas ma kurzą ślepotę. Ten człowiek, pełen litości, każe nam wolno iść i doprowadza nas do obozu. Baby, nawet te, które niosły drzewo, dawno je porzuciły. A Iwan, który nas pogonił, już z nami jako konwój nie chodził. Stał na wyszce, a baby idąc do ubikacji potem pokazywały mu tyłek.

Nowy naczelnik, nastrój nam się trochę poprawił, ~~xxxx~~ z miesiąca ledwo to trwało - przychodzą listy imienne z Moskwy, zabierają nas, nie wszystkie. Bardzo żałowałyśmy, że nas stamtąd zabierają ale nie było wyjścia. Odprowadzał nas aż do przesyłki na stację sam naczelnik garnizonu, Tatar. Wsadził nas w wagony, spytał, czy nie potrzebujemy wody, kazał przynieść, opiekował się nami jak dobry tatuś.

Wieźli nas chyba dobie do jakiejś przesyłki w lesie. Gonia nas, wi-
dać dużo mężczyzn. Podchodzimy, słysząc "baby ida!". Ale gdy zbli-
żamy się do płotu, głosy te zaczynają cichnąć. Bo z bliska my nie
byłyśmy baby, byłyśmy jak pnie obrosnięte, nie podobne do ludzi,
wszystkie jednakowe. Zdziwienie, cisza... (...) Przyglądają się
nam: strach Boży! Gonia nas przez jakiś barak, w którym biała po-
ściel, jakieś serwetki, firanczki, dziewczyny siedzą, piękne, pod-
małowane, białe kołnierzyki, kolorowe bluzeczki. Patrzą na nas z
przerażeniem, my też nie możemy niczego zrozumieć. Zagonili nas
przez ten barak do drugiego, już zapchanego, baraku. Ciasnota nie-
samowita, dużo ludzi z tej linii ^{na Brack} z obozów. Ja z koleżankami dobiły-
śmy się z trudem do "płatki", murku przy piecu, zajęłyśmy go. Dwie
siedziały, jedna leżała - na zmianę. Nazajutrz z rana dali nam jeść
(lepiej niż w dawnym obozie). Nie wolno nam było wychodzić. Nie wie-
my, gdzie nas wyślą. Pewnej nocy słyszymy chrobot na naszym murku.
Patrzymy, a tam męskie łapy usuwają cegły z komina, robią dzwirę!
Włazi jeden, drugi, z 5 osób ~~włazło~~ weszło. Byli niektórzy chyba xx
umówieni, bo weszli gdzieś w kąt, kilku się kręci (my już nie sie-
dzimy, stoimy przy murku), siedzą wymazani. Baby zaczęły się awan-
turować. Paru wylazło, ale paru zostało. Ktoś chyba doniósł, bo
przyszli żołnierze i strasznie ich zbili, stłukli niesamowicie.
(Dziewczyny, które widziałyśmy pierwszego dnia, to były więźniarki
które były w obsłudze obozu.) Strasznie było słuchać ciężkich odde-
chów tych bitych mężczyzn, ich jęków. Byli to chyba Ukraińcy, bo
w naszym przepełnionym baraku dużo Ukrainek było, musieli się jakoś
z nimi dogadać, kiedy wychodziły na podwórko do ubikacji.

Zabrali nas stamtąd, wpakowali w wagony i wiadomo było, że
w każdym wagonie jest kapuś. W naszym wagonie kapusiem była Ukrainka
takie nic, co to się tylko potrafi sprzedawać. (UWAGA: powtórzenie
opowieści o dyżurowaniu nocnym, stukaniu młotkiem i nazwisku Czuma)

Lubiłyśmy zawsze dokuczać konwojowi. Trzeba wiedzieć, że stosunek żołnierzy, którzy nas prowadzili do pracy w zwykłych obozach, był inny, lepszy niż po przyjeździe pod Brack. Tutaj już potrafili kłaskać nas do błota, jak im się ktoś nie podobał, wiazali, meszka i konary gryzą (...powt), krzyczeli na nas, gonili, popędzali itd. Chyba to był dobrany specjalny kontyngent, nastawiony przeciwko nam. Na wyszkach stał tu już nie żołnierz z karabinem, lecz z karabinem maszynowym. Konwojowi wszędzie i zawsze robiliśmy na złość.

Wieźli nas na Bajkał, Czitę, Ułan-Ude i Komsomolsk nad Amurę. Na Amurze jeszcze nie było mostu, przewożono nas na promach w wagonach. Bardzo wczesna wiosna, ale tu jeszcze szalone mrozy, rok 50. (...) Stoimy długo, nasz pociąg miał ze 30 wagonów. Nie wiemy, co z się dzieje, boimy się, okazuje się, że nas promem po kilka wagonów przeprawiają na drugą stronę Amuru. Amur tam jest bardzo szeroki, Struchlałe wszystkie siedzimy, boimy się, że z tego promu możemy pójść na dno. A im cięższy jest żywot, tym bardziej ludzie chcą żyć. Tam samobójstwa zdarzały się wśród inteligencji rosyjskiej, ale większość ich chyba wśród mężczyzn, jakichś oficerów, inżynierów, takich, co byli najpierw na stanowiskach, a potem - obóz. Oni dobrze znali ten swój ustrój i wiedzieli, co ich czeka. Więc zdarzały się samobójstwa, także wśród kobiet, ale to nie było częste. Na ogół przecież ludzie chcieli żyć.

Kiedy nas przewieźli przez Amur, jechaliśmy przez jakieś przełęcze. Można było widzieć na skałach wysoko jakieś wykute daty, nazwiska - ja tego nie widziałam, nie miałam miejsca przy oknie.

Przywieźli nas do miejscowości Buchta-Wanina na północny wschód od Władywostoku. Tam już była wczesna wiosna, rynsztokami woda płynęła. Kiedy nas wyładowali, spragnieni ludzie (nie każdy ma na tyle siły woli, żeby się powstrzymać) pili z tych rynsztoków wodę. Później strasznie dużo ludzi tam chorowało na czerwonkę i jakiś tyfus. (...) Kiedy nas z transportu goniono do obozu, tubylcy

(ci, którzy tam mieszkali: Rosjanie, nie Rosjanie, czort wie kto rzućali na nas błotem i czynkolwiek, co mieli pod ręką, obrzućali nas też wyzwiskami, wyzywali od faszystów, wrogów narodu, Bóg wie czego. Było to bardzo przykre: człowiek był wymęczony po tej drodze, spragniony, głodny i tu hołota idzie w szmatach śmierdząca, a oni tak do nas nastawieni - zlecenie mają, czy co?)

Z/aganiają nas do obozu-osiedla. Baraki nowiuteńkie, a tak podobne jeden do drugiego, że błądziły potem baby. Trzeba było dobrze zapamiętać, gdzie wejść, żeby się nie pomylić (...).

Bardzo dużo ludzi, ~~więks~~ trochę politycznych, ale większość dzieci wychowanych w sierocińcach. Wszystko to nie wyrosnięte, bieda-nędza, jakdzikie zwierzęta. Nie ukradł taki, to był głodny, zabić człowieka to dla niego nic, żadnego grzechu, żadnego wstydu. Dzieci taka chodzi. I lesbijki (bo ścisłe oddzielenie kobiet od mężczyzn), jedna z kokardką, druga kołnirzyk wyłożony. Polityczne nam mówia, że strasznie tu kradną. Latryna o pół kilometra, trzeba do niej iść w 50 osób, bo tam napadają, ściągają odzież, a jak wrzask - to to głową w dół do kloaki i koniec. Nikt nikogo nie szukał i chyba nikt tam nie wiedział, ile w obozie jest ludzi. Byli tam i polityczni i kryminalni, każdy etap oddzielnie. My już byliśmy ze spec-
 obozów (już te pod Brackiem były spec), już miałyśmy numery, choć dostałyśmy je dopiero w Magadanie (chodzi chyba o znaki nr na ubra-
 niach). W naszym baraku jest dużo kobiet przywiezionych prosto z więzień: Litwinek, Ukrainek, ^{meniaczek} Białorusinek, nie były jeszcze w obozach. Siedzą, wystraszone kurki. Kobiety z innych baraków ostrzegły nas, że kryminalni chodzą i rabują, ile się da. Więc szykujemy się. Weszły najpierw dwie lesbijki z kryminalnych, parka, zabrały jednej grzebyk z włosów, przeszły się przez barak - wywiad. Czeka-
 my więc. Kilka osób wyłazi z prycz. Nasza grupka (z 50 osób nas było tylko z tamtego obozu) była bliżej drzwi. Każemy wszystkim być w pogotowiu. "Słuchajcie dziewczyny, choćby wam się nogi trzęsły,

to wyłaście i róbcie groźne miny". (...) My przy wyjściu (z czym kto ma. Koły jakieś z kuchni zdobyłyśmy, kawałki deski, jakiś nóż, nożyce (?). "Jak wejda do baraku, staniemy, przegrodzimy im wyjście. Będziemy tłuc!" Niedługo czekałyśmy. Wchodzi wataha ^{pod} wyrostków, marnych fizycznie i psychicznie. Doszły do pół baraku, my z przecz i murem przed nimi. "Czto wy, kto wy?" A my na to: "My siewiernyj etap, przeszłyśmy co nie co!" I zaczynamy ^{je} ~~ich~~ lać, czym która może. Cośają się, my ~~je~~ za drzwi kopniakami wyrzucamy. Jedna po drugiej jak kulki wypadają, tłuką się na kamieniach przed barakiem i uciekają. Z innych baraków krzyk: "Brawo!" - idzie wielka fama: siewiernyj etap.

Przycichło trochę, ale do ubikacji nadal po 50 osób. W baraku było nas z 300, wszystkich zaś baraków chyba ze 20. Wtedy pod wieczór słyszymy krzyk, strzelaninę, później smród (gdzieś się pali), jazgot jakiś, niesamowite krzyki. Oni to robili często: nappuszczali jednych na drugich, żeby między sobą (kryminalni) się różnili. A oni z wież strażniczych strzelali, jak ktoś przez płot chciał uciekać.

Miedzy obozami były wąskie uliczki. To było całe obozowe x miasto. Gdzie spojrzysz - wieże strażnicze wszędzie. Większość to chyba były pbozy męskie. Obozy były porozdzielane płotami i uliczkami, było ich z kilkanaście. Oprócz tego oczywiście było tam normalne portowe miasto. (Nazajutrz po tym, jak słyszałyśmy strzały, pędzą nas, kobiety, do łaźni. Nagle słyszymy na przedzie jakieś "ochy" - pochód się zatrzymuje, krzyki. Okazuje się, że pod płotem leży kupa męskich trupów - jeden na drugim, jak drzewo. Przez noc się różnili, trupy za płot wyrzucono, ze dwadzieścia. Niektóre kobiety na ten widok zaczęły mdleć.

Ociepliko się troszkę, sformowali pochód i zażonili (dobre parę kilometrów) na cypel nad morzem, taki półwysep, gdzie był bardzo duży obóz na wzgórzu, ogromne, stare baraki. Do tego

obozu wszystkich nas, politycznych, wzięli. Nazywał się ten obóz Ugi (?). Tam nie chodziłyśmy na normalne prace. Zapełdzali nas do przynoszenia opału, do gotowania, do naprawy jakichś dróg. Na prace tam nie chodziłam. Siedziałyśmy tam całe lato. Różnie spędzałyśmy czas, jak nie było nic do roboty. Nikt tam nam niczego nie zabraniał. Można się było zebrać grupami - Ukrainki, Litwinki, Polki, spotykałyśmy się, śpiewałyśmy. Nawet jakiś teatrzyk baby sobie wykombinowały. Spałam obok jednej Rumunki, z drugiej strony spała koło mnie Ukrainka z Ukrainy Wschodniej, bardzo ładna, zgrabna dziewczyna. Pamięć miała niesamowita. Miała 25 lat i była kapusiem. Wiedziałyśmy o tym. Kiedyś jakaś kulturalno-oświatowa przynosi jakiś tygodnik, w nim obrazki: biedni Murzyni w Afryce w przepaskach, nadzy, łańcuchy na nogach - jakaś skała kuja kilofami. Rumunka, to była bystra, sprytna dziewczyna (można jej było wierzyć, odnosiłam się do niej serdecznie), mówi: "Ach, jaki biedny Murzyn, jaki chudy, ale patrz! - kilof to taki jak i u nas! Tylko u nas mróz!" Ukrainka zrozumiała ironię... (...) Ona właśnie mówi raz, że chciałaby wystawić sztukę, fragmenty Lermontowa pt "Cyryl". Cyryl to dziecko z jakiegoś książęcego rodu, wzięte do niewoli, dorasta w więzieniu. ~~xxxxxxxzixxxxxxxxprzyszedłstaryzakonnik~~ Chce uciec, ucieka, łowią go i znowu jest w więzieniu. I przychodzi do niego stary zakonnik... Ukrainka znała bardzo duże fragmenty, całą rolę Cyryla, i pyta mnie, czy bym nie zagrała starego zakonnika. Zagrałabym, mówię. Dostałam od bab dwie spódnice, zrobiłyśmy z nich strój, z pakuł brodę, perukę. I szykowałyśmy to. Ale NKWD zorientowało się, że to jest przeciwko władzy (...), sztuka o wolności, zakazali nam tego. Skoro nam na to nie pozwolili, na inne przedstawienia już nie chodziłam.

Było w tym obozie utrapienie, bo na 10 dużych baraków dwie kloaki tylko. Jak rano wychodzi kilka tysięcy bab, to jest tragedia, jedna z kloak czyszczona (na zmianę). Dwie baby w beczkach

wynosiły nieczystości za obóz (na drogach) i wylewały ze wzgórza gdzieś chyba w stronę morza. (Woda była z rzeki, dziwna bardzo. Nasza bielizna, zafarbowana wodą z kolorowych gliniek nie do wyprania dotąd, bo i mydła nie było - od tej wody się wybieliła, ale szybko wszystko zaczęło się strzępić i niszczyć). Każda brygada miała wyznaczać swoich ludzi do wynoszenia nieczystości, ale były ochotniczki! Dlaczego? Wzgórze było porośnięte niskimi drzewkami i tam roziło się od różnych zsylnych, byłych więźniów, różnego działości i hołoty. Musieli pilnującym żołnierzom coś w łapę dawać i ci pozwalali im z tymi babami się spotykać. Była pewna gruba Rosjanka Kudakowa i kilka innych, które co dzień nosiły nieczystości! Spotykały się z chłopami. Śmierdziały, oczywiście, ale czy te chłopcy też nie śmierdziały? To było tak wygłodniałe, spragnione...Dzicz. Kto tam nie był i tego nie widział, nie zrozumie. (...) Na ruskie baby k.... mówiło się "zaradna". Taka zawsze znajdzie kogoś, kto jej będzie pomagać. W czasie wyroku może i dzieci rodzić, im się to opłacało (...powt.).

Wyżywienie tam było jak wszędzie: owsiana albo jęczmienna kasza, żadnych witamin, nic. Byłyśmy już dość wykończone pod Brackiem, a tu dostałam takiej awitaminozy, że miałam niesamowite wrzody na całym ciele. W sanczastach zdziury siedziały, było wiadomo, że tam siedzi albo kapuś, albo czyjaś protegowana zaradna. U nas była jedna, dobra właściwie dla nas. Jak miałam wrzód na plecach założyli mi jakieś niesterylne tampony i dostałam zakażenia. W nocy już miałam temperaturę, majaczyłam, rano zemdląłam. Zaciągnęły mnie dziewczyny do tej przychodni. Nie wiedziały, co mi jest, ja się domyślałam, że to z tego opatrunku, ale myślę sobie: straszą, że z Kołymy nie ma powrotu, a niech sobie umrę! I nic tym babom nie mówię. Jak pytają, ja: "Nie wiem, wy musicie wiedzieć", mówię. Jak zaczęłam im wciąż mdleć, konwój zadzwonił na pogotowie i odwiózł mnie do szpitala do miasta (...) Jak jedziesz, to cały swój worek musisz ze sobą ciągnąć.

Zanim wpuścili mnie do szpitala, sprawdzili wszystko (kto i co), już był wieczór. Przyjął mnie jakiś felezer, młody człowiek. Mówił mi, że podejrzewam zakażenie, pokazuję wrzód. Wyczyścił mi to, posypał czymś, jakiś zastrzyk mi zrobił, położyli mnie wreszcie. Łóżko, pościel normalna, człowiek leży i nie wierzy sam sobie: czy to już tamten świat? Przez noc mi trochę ulżyło. Rano przyszedł lekarz, Gruzin, nie wiedział, kto jestem. Błatnyje przeważnie miały tatuaże, więc stanął nade mną, szarpnął prześcieradłem, patrzył czy je mam. Szarpnęłam z powrotem, on się nachyla, pyta: "to wy?" - "Polka ze specobozu." Wkładzie palec na usta, żeby nie mówić. Później wziął mnie na opatrunek i rozmawiamy. Mówił, że też jest polityczny z 58 paragrafu i postara się trzymać mnie jak najdłużej w miarę jego możliwości (...). Dostawałam glukozę, witaminy, jedzenie było dosyć dobre. Byłam tam dwa tygodnie. W połowie tego pobytu zjawił się ktoś w białym fartuchu: "Pani Polka?" - "Tak" - "Cholera, z pani nazwiskiem! Doktor mi powiedział, że jest Polka, a ja w spisie nie mogłem pani znaleźć. Chciałem jakoś pania podkarmić!" I później rzeczywiście dostawałam jakieś dodatki.

Wydobrzałam, wypisują mnie. Wypisali wtedy bardzo dużo osób, przeważnie tych szczeniakowatych złodziejasków. Załadowali nas na ciężarowe auto i wywożą przez wertepy, Bóg wie gdzie, od miasta daleko, w całkiem inną stronę niż mój obóz. Wieźli nas parę godzin, podjechaliśmy do jakiegoś wzgórza - a tu namioty stoją i tych małpiątek skaczących chmara, dzikie to, jak w psiarni jagot. Z auta wyskakują wszyscy, tamci już ich witają, wołają, sami swoi. Ja siedzę cichutko i jeszcze jeden mężczyzna. Przychodzi do nas żołnierz, mówię, że jestem ze specobozu. Ten mężczyzna, Rosjanin, oświadcza, że także jest ze specobozu. Zrobili wielkie oczy, od razu przewieźli nas z powrotem do szpitala. Ale już był wieczór, konwoju brak, nie mogą nas odwieźć do obozu. Zamknęli nas więc na klucz w rozbieralni przy łaźni. Ławeczka pod sufitem,

kładę się na jedną ławkę, on na drugą - całą noc leżymy i rozmawiamy. Człowiek ten (może jaki politruk?) opowiadał, jak żyć w obozie, jak sobie robić różne lekkie rzeczy, żeby mieć zwolnienie lekarskie i żeby to nie było szkodliwe (...). Rusek, chłop, ale kulturalnie się zachował. Rano zabrał nas konwój na stare śmieci na wzgórze.

Była z nami jedna dziewczyna jeszcze z cegielni, kapuś, Rosjanka, pracowała w kuchni. Kiedyś mnie spotyka i mówi, że zarządzająca kuchnią, wolna kobieta, poszukuje kogoś do haftowania makatki, nici ma. Zarządzająca mówi, że mnie zatrudni na noc. Trzeba zagotować kocioł wody na rano. Żadna robota (trzy ściany pod dachem), zgodziłam się, zrobiłam jej tę makatkę. Zawsze tam coś lepszego się zjadło, nieźle się żyło. Ta kobieta od siebie chleb mi przynosiła, suszyłam go sobie, cukru i tłuszczu mi przyniosła. Było tak aż do wyjazdu.

Wyjazd nastąpił we wrześniu. Było jeszcze dość ciepło, gdy nas ładowali na statek "Mikucha Mikołaj" (To był jakiś uczony podróżnik, którego matka była Polką). Ładowano nas na statek przez kilka dni, partiami. Część czekała, następnych przyprowadzano. W ładowniach prycze kilkupiętrowe, makabra. Ciemna, straszna dziura. Parę dni ładowali nas, w poniedziałek kończyli, sztorm się zaczął. (...) W poniedziałek nie wypływają, czekają do dwunastej godziny (nie wypływali w poniedziałki). Wypływamy, kołysze nas, prawie wszyscy chorują, prawie nikt nie może jeść. Kiedy przepływają koło Wysp Japońskich, są tam jakieś statki patrolowe. Wszystkich enkawudzystów zapędzają pod pokład, zostają tylko marynarze na zewnątrz! Ze niby statek handlowy, towarowy.

Na załatwianie potrzeb zbudowano przybudówkę przy burcie z desek zabezpieczenie, wysoko. (...) Na dole w ładowni duszno, tu żołnierz nie pozwala siedzieć, goni. Wychodzę, proszę, żeby mi pozwolił troszkę posiedzieć na powietrzu - zdarzył się jakiś uczciwy rz

człowiek, pozwolił. Patrzyłam, jak bakwany lecą na statek, statek to w dół, to w górę leci. Kiedyś przychodzi do ładowni w czasie niesamowitego sztormu kapitan. Dąby jeczą: "Grażdanin kapitan, co z nami będzie?" (płacz opowiadającej) A on mówi: "Wszystko w rękach Boga". Sam się bał, wiecie tylu ludzi... Kto wie, co u niego za dusza, kto on jest... Potem przycichło. Płynęliśmy chyba z 3 dni. Skąd zresztą wiesz: dzień czy noc? Przywieźli nas do portu cywilnego Nagejewa. Port wojskowy był dalej na wschód. Wyciągają nas z ładowni - różnica temperatur ogromna, jakby latem wejść do zimnej piwnicy.

taśma IX s.A

Niektórych, słabszych, z portu wieźli, niektórych (większość) prowadzili piechotą. Obóz był na czwartym kilometrze za miastem, trudno powiedzieć ile kilometrów do miasta. W każdym razie było tam już wszystko dobrze zamrożone. Ja jechałam. Wieźli i prowadzili do kilku obozów. Tam, gdzie ja trafiłam, tak nas nakładowali do baraków, że nie było miejsca nawet żeby usiąść. Musiałam wleźć pod prycę i przez całą noc tam leżałam. A chłód! Wiało tam i dmuchało tak, że to cud Boży, że nie dostałam zapalenia płuc. Byłam zaskostniała. Jak wylazłam stamtąd, nie mogłam ani ręką ani nogą ruszać. Wszystko co miałam, podłożyłam pod siebie, ale dużo włożyć nie mogłam, bo pod prycę nie było miejsca, prycze niskie. Drugi raz w życiu zmarzłam tak strasznie. Pierwszy raz w wagonie (mówiłam o tym), teraz po raz drugi.

Przyszli dozorczy i powiedzieli, że mają organizować się brygady. Jestem sama, ani żywej duszy ze znajomych nie ma. Większość to Ukrainki i to już same swoje - do nich to w żadnym wypadku! Siedzę, przyglądam się. Co mam zrobić? Muszę się zapisać do jakiej brygady. Na statku nie widziałam żadnych Polek. Było kilka, ale dopiero później się z nimi spotkałam. W obozie Uru (?) było nas sporo, ale nie wszystkie popłynęły tym samym statkiem, część chyba

następnym. Siedzę więc i przyglądam się: siedzi Rusaczka (Rosjan) one zawsze się wyróżniały zachowaniem, mową, sposobem bycia. Widzę że podchodzą do niej te, które nie mają nikogo ze swoich: może to Zetyszki jakieś, Estonki, które już tych Ukrainek mają dość. I już wokół tej Rosjanki taka zbiorowa delegacja szykuje się. Ja też podchodzę: "Ty bud człowiek, weź mnie do siebie". Zapisuje. Może przyjdzie, może nie - na razie nie wiem i nie wiem do jakiej pracy. Ale już wiadomo, że ta Rosjanka będzie zaradna, nie da się w kasz zjeść. Otwierają baraki, szykujemy się już w brygady. Rozdzielają nas po barakach, tak żeby każda miała miejsce, żeby pod prycza nie siedzieć. Moja Rosjanka mówi: "Siedzieć bez pracy w obozie nie ma co, bo wywalą, dalej pošlą". Poszła i dostała pracę: ładowanie żwiru, piasku, kamieni większych do betonu. Brali to do budowy, i było tego kilka gatunków nad morzem. Rosjanka mówi, że tam pójdziemy. Jeździliśmy tam ciężarówkami, bo to był spory kawał drogi, dużo czasu trzeba było tracić na przejście. Ciekawe było to miejsce. Są tam bardzo wysokie przypływy i jak był taki przypływ, to pod sam kamienisty brzeg przypływały fok. A jak to u Rosjan: wszędzie były megafony, wszędzie muzyczka gra. A zwierzęta to muzykalne - gdzie muzyczka, tam ich pełno. Przypływały, wywijały się, ludzi się nie boją, podpływały bardzo blisko. Mogliśmy do brzegu morza podchodzić (do morza wolno było, wiadomo, że nie przepłyniesz!). Praca była ciężka, bo trzeba było ładować na samochody, sypać wysoko. I jeszcze: były łopaty ruskie i amerykańskie. Te ostatnie takiej formy jak łyżka, z cieniutkiej blachy i cienkim, mocnym trzonku, leciutkie. Można wziąć pełno piachu, żwiru, kamieni i człowiek bez trudu rzucał. A jak weźmiesz ruską łopatę, rozciapaną, wszystko się z niej wysypuje, a ona sama więcej waży niż ten piach. Jak przychodziliśmy, to od razu była walka o te łopaty. My mówimy do Rosjanek: bierzcie swoje, te amerykańskie, kapitalistów - to my weźmiemy. Wieczna była o te łopaty draka. Chodziliśmy do tej pracy

jeszcze kiedy zaczęły padać śniegi, zaczęło na dobre marznąć. Ale kiedyś nas złapała burza śniegowa - purga w tym porcie. Na dole jeszcze śniegu nie było dużo. Ale z gór dokoła szalony wiatr znosił nie tylko śnieg, ale i żwir. Nie można było patrzeć, bo biło po oczach, góry są czarne po tych huraganach, wszystko wiatr zmiata. To była straszna rzecz, kawał drogi: jakiś traktor jechał i traktorzysta jakieś sznury, łańcuchy poprzywiązywał do tego traktora, myśmy się tego trzymały i szły za traktorem. Gdyby zjechał z tej drogi w bok - to koniec, już by nie wyjechał. Tak ginęło tam wielu ludzi, aut, ciężarówek. Dopiero wiosną, jak śnieg stajał, znajdowano kogoś przysypanego. Ten jakoś drogę znał, często chyba jeździł, miał wyczucie. Wiatr dmucha w czasie purgi zawsze z północnego wschodu, trzeba mieć wyczucie jak iść, żeby nie zbił cię z drogi. Wszyscy, żołnierze także, trzymaliśmy się łańcuchów i sznurów i jakoś dopchaliśmy się do obozu. Purga zawsze trwa kilka dni. I od tego czasu nie chodziłyśmy już na tę robotę. (...)

Nasza brygadzystka wzięła nas do innej pracy. Niwelowałyśmy grunt przy koszarach, które prawdopodobnie niedawno były zbudowane. Nie było jeszcze wielkich mrozów. Zdejmowało się tego gruntu do dwóch metrów, w każdym razie więcej niż metr. Był to zamarznięty torf, odpadał kawałami, klinami, tak że potem nie sposób było tego na auta ładować. Jak się komuś młot złamie, topór, kilof, łopata, czasem powiedziałam, że naprawię i reperowałam to. Ale zrobiły się większe mrozy, chłodniej od morza wiało, więc pomyślałam: po co będę ręce mrozić, naprawiać, trzymać żelazo, wolę z łopatą stać. Na dole kilofem rozbijałam ziemię. Z normami tam różnie było, zawsze coś dopisywali. Stałam więc na dole, kilofem biję w ziemię, a z góry krzyczy któraś z dziewcząt: Sławka, ty jesteś stolarz? (A jak się już zrobiło za zimno, to jak im się coś zepsuło, mówiłam, że nie stolarz, tylko inżynier budowlany i żeby mi głowy nie zawracały). I z góry skacze na dół do mnie jakiś młody mężczyzna i mówi: Wy inżynier? (O nazwisko nie pyta, widocznie brygadzystka

Strukowski Reman
- zsylny

mu powiedziała). Zaczęłam się tłumaczyć, że ja nie żaden inżynier, ale już nazajutrz wywołują mnie do innej brygady, budowlanej. Przychodzimy na budowę całego osiedla NKWD. Zaczęto dom administracyjny, jak tam nastałam: sale sądowe, sala kinowa, kuchnie. Część budowano normalnie na fundamentach równych z ziemią, a część była robiona jako schron przeciwatomowy. Był już wykopany bardzo głęboki dół. I część murów w górę już idzie, a ten dół jeszcze wciąż się pogłębia. Przyszłam tam zameldowana jako stolarz i biorą mnie do umacniania transzei na fundamenty. Naszym technikiem był pan Adam, Płak z pochodzenia, z 20 roku chyba - mam wrażenie, że jako komunistą był po tamtej stronie. Mówił, że brat jego zginął gdzieś na Wileńszczyźnie, a on pewnie jak były narodowościowe czystki podpadł. Wydawał mi się ten człowiek podejrzany. Były więzień, którą jak przeszedł obóz bolszewicki, nauczył się wszystkiego, teraz był technikiem, który nas przyuczał. To on mnie postawił przy tych umocnieniach, przyglądał mi się i pytał, czy pracowałam w kopalni. Mówię, że nie byłam w kopalni. "Widzę, że wiesz, jak to ma być robione", on na to. Takich jak on było tam kilku, między innymi jeszcze jeden Polak. I inżynierem, kierownikiem prac, był tam wówczas Polak Roman Strukowski. Wszyscy zwracali się do niego: Rem Władimirowicz. Był zsylny, to był człowiek mądry i sprytny. Ukrainki, wrogo nastawione do Polaków, nienawidzące ich, mówiły: "Choć on Polak, ale jest sprawiedliwy i tak mądry, że nic mu nie można zarzucić." Może nie był sądzony, może już jego rodzice byli ~~tu~~ na zsyłce. Bardzo mądrze prowadził ludzi, długo z nami był.

Miałyśmy już wtedy (widoczne) numery, dali je nam na czwartym kilometrze. Mój numer: D 2 -789. Kiedy nas zabierali na prace, każdy podchodził i mówił swój numer, oni mieli listy, karty. Naczelnik (?) miał te karty u siebie, ten który nas prowadził i sprawdzał.

Na tej budowie pracowałam do końca wyroku. Nie wyrываłam się stamtąd, bo się bałam kopalni. A tam się już przyuczyłam, inżynier

Inżynier robił dla nas wykłady, po prostu rysował plany, ich części, pokazywał osie, numery, miał z nami po parę godzin zajęć.. Niektóre nie rozumiały dobrze rosyjskiego, np. jedna Litwinka - ale jak ja im tłumaczyłam, co było na wykładzie, to rozumiały. Na egzaminy przyjeżdżali inżynierowie z innych obiektów. Ja i Janka Stankowiczówna (?) byłyśmy tam jako majstrowie. Zdawałyśmy egzaminy. Był to rok 51. Jak przyszło lato, pracowałyśmy na dwie zmiany.

Z tej budowy nie brali ludzi do innych prac (sianołasy itd), a stał nad nią pułkownik Wasiljew. Opiekował się nami. Na przykład skarżyłyśmy się, że nam nie pozwalają chodzić w jakimś lżejszym własnym obuwiu, tylko w tych kilometrowych buciorach, które dostajemy, a tu jest mokro, buciorów nie możemy dosuszyć. Wasiljew zadzwonił i powiedział, że brygada nasza ma chodzić we własnym obuwiu. Jeśli ktoś ma, nie wolno tego zabraniać. Na zimę dostawałyśmy waciki i walonki, na lato lekkie spodnie. Dostawałyśmy też bieliznę, wszystko. Mogłyśmy nosić kolor granatowy, ciemnobrazowy albo czarny, żadnych innych. Tylko to, co dostajemy. A jeśli coś swego, to tylko w tych kolorach - nic jasnego.

Nie mieszkałam cały czas w jednym obozie, przeganiali nas, były różne sytuacje. Przerzucali również cały czas z baraku do baraku. Raz mieszkaliśmy w takim z żelaznym dachem, przeciekał. Kapie, człowiek się skręca, całą noc nie śpi. Przychodzi Wasiljew (od czasu do czasu przychodził na obiad), skarżymy mu się na to kapanie i na barak, mówimy, że jesteście nie wyspane. Znowu dzwoni i później jak przetrzucali z baraku do baraku, my zawsze do nowego idziemy! Tam, gdzie dachy całe. My wychodzimy w swoich bucikach, inne brygady zaczynają także, ale tamtych zawracają. "No a czemu NGB chodzi w swoich?" My na to, żeby się nie porównywały z nami, że nam nie tylko to wolno, nie tylko cywilne buty! A u nas lżej nie było, ciężiej nawet, bo na innych budowach mógł kierownik coś (z normy) dopisać, dokreślić - a u nas nie. Czasem tylko, jak było jakieś przetrzucanie ziemi, można to było zrobić. Ale np. przepopywałyśmy rowy do rur ogrzewczych. Na

tym miejscu kiedyś było wysypisko śmieci - blaszanki, szkło, guma. Palić nie wolno, bo jak kiedyś zapalili, to ta guma zaczęła się tlić pod ziemią, nie wiadomo było, jak gasić. Jak stanęliśmy na tej robocie, normy nie wyrobiłyśmy i część brygady miała 300g chleba. To była, pamiętam, straszna rzecz, Jak dostałyśmy ten stratnyj pakjok, to Rem Władimirowicz przyniósł raz od rybaków cały worek ryby i jakiejś kaszy. Jakaś dziewczyna nam ugotowała z tego obiad, jakiego nie było nigdy! I w bród tego było. Raz się udało. I któraś z kapusiów naszych, tych robotników na obiedzie, musiała donieść. Rem Władimirowicza NKWD wezwano, że "podkarmia tych faszystów". Więc powiedział do nas: słuchajcie, ja bym mógł! Bo jak pójdę do rybaków i powiem im, że nam więźniów na stratnym pakcie - dadzą mi worek ryby. Ale już nie mogę, wezwali mnie, bo wśród was jest kapuś, któremu może paczki przysyłają, a może za to, że mówi, jeść dostaje. Ale pamiętajcie, że to nie moja wina. Przychodzimy do domu i wieczorem dają nam tylko zupę - nic więcej! Po całym obozie się rozeszło, że Ngh na zmniejszonej pajce. Przychodzą... (płacz) nie zawsze można mówić o tym spokojnie! - przychodzą z innych brygad, którym może lepiej, może ktoś paczki dostaje - przychodzą całkiem obce dziewczęta i przynoszą nam kaszy i po kawałku chleba! Do mnie przychodzi jakaś Ukrainka i daje! - ja tego przełknąć nie mogę! Człowiek, z którym mnie absolutnie nic nie łączy, przynosi mi miszkę kaszy! Jakoś to przeżyłyśmy i znów się dostało 600 g chleba.

Kiedy przybyłyśmy do tego obozu, były tam zasiedziały nasze baby, Polki. Była tam pracownia krawiecka i te panie wieczorami "remontowały" naszą odzież: rękawice, spodnie itd. Przeważnie jednak same dziewczęta to robiły. One tam fuchy robią, dla wolnych szyją, dla więźniarek, obszywają wszystkich tych, którzy mają jakie dochody. Były to panie Jasja i Zdzisia, takie dość dobrze utuczone baby. Pierwsza wigilia - zapraszają nas do siebie. Myśmy się specjalnie nie znały, bo chodziłyśmy na roboty ogólne, najwyżej pójdzie się do nich poprosić kawałek nitki czy łąkę i tyle. Ale nie

lubiłam się nigdy nikomu narzucać. Był to 50 rok. Zebrało nas się tam Polek może ze 20 i do tego na wigilię jednę Żydówka jest zaproszona, bo dostają od niej wtaminki, wazelinki (ona pracuje na T.Cz. mogą z tego korzystać). Zaprosiły też naradczycę i jeszcze jakąś tam babę. Janeczka Skunkis ~~xx~~ (Stundys?) też tam była. Polek około 20. I zaczęły się panie wymądrzać, przypominać, jak to za dobrych czasów było, koleżanki swoje wspominać, które ja dość dobrze znałam i nie miały czym się chwalić. Nawet wygarnełam tym paniom, że nie mają czym się chwalić: Iga, Iga... Mówię, że tę Ige znam dość dobrze osobiście, bo z nią siedziałam w obozie, a że mieszkała w Wilnie, dużo o niej słyszałam. Jej ojciec miał knajpę, a wyszła za ruskiego komunistę. Jak przyszli Niemcy, to go wydała - taka dyplomowana pani, o której się mówi "zaradna". (...). Któraś z tych pań się chwaliła, że to jej przyjaciółka. Nie wiedziałyśmy, skąd one mają kaszę ryżową, trochę cukrem osłodzoną. Okazało się, że nasi ludzie wywiezieni w 39 roku byli zesłani na Kołymę, poddbywali tu wyroki i potem tu osiedli (niektórzy wyszli z armią Andersa, ale nie wszyscy - jeszcze z nami wracali później, np. pan Andrzej Mackiewicz z Krakowa) i przez jakieś znajomości pomagali Polkom w obozach. Pan Andrzej to opowiadał. A my nie wiedziałyśmy, skąd one to mają - czuły się paniami. Jak nadchodziła Wielkanoc i była zapowiedź, że coś tam znów szykuje to powiedziałam Janeczce Stundis: "Słuchaj, Janka, chcesz iść? Bo ja nie!" One zawsze prawiły kazania: "Młode takie żeby na złą drogę nie zeszły" itp. Mówię: "Jak chcecie, żeby na złą drogę nie zeszły, to pomóżcie, kawałkiem chleba się z taką podziel!" Zła droga - znaczy to, że się z kimś romansuje, spotyka z kimś (wtręt o Wandzie Zajączkowskiej, młodej i ładnej, która teraz mieszka w Warszawie). Było tam więc przyjęcie na Wielkanoc, ale ani ja, ani Janka Stundis nie poszłyśmy. Wyszłyśmy sobie za barak kupką, usiadłyśmy, słoneczko przygrzewało. Więcej do tych bab nie chodziłam. Będzie Żydówka (na wigili) siedzieć? Nie wiedziałam wówczas, że mężczyźni Pola-

Rzepa - 2 siostry
P. Czapla

Zofia Michalska
Magdalena - Rozwadowska

cyprzysyżają coś, a baby się tym rządzi! Dostawały częściej, a uroczystości takie robiły dwa razy do roku! Więcej z nimi nie miałam do czynienia.

Z Polek oprócz nas była pani Zofia Michalska (Michalska), pani Magdalena, hrabianka (jak był de Gaulle w Warszawie, to chyba im jednym składał wizytę), lepiej po francusku niż po polsku mówiła. Pani Magdalena miała dziecko, dziewczynkę, która była chowana w sierocińcu. Potem zabrała to dziecko, było jak dzikie zwierzę, tylko po rosyjsku mówiło. Kiedy tu przyjechało, to były z nim kłopoty, ale wiedzieć inteligencję miało zakodowaną, wyrosła na człowieka i studiowała w Paryżu). Było trochę dziewcząt, Polek, które tylko mniej więcej się znało. Nie wiedziało się, czy Baśka lub Kryśka to prawdziwe jej imię czy tylko pseudonim. W mojej brygadzie żadna z nich nie pracowała. Jakiś czas była jakaś pani Czapla z Wileńszczyzny, dostawała dość bogate paczki. Była bardzo wysokiego mniemania o sobie. Była to ~~była to jakaś~~ baba z wiochy, jakiś mały folwarczek mieli. Kiedyś dostała paczkę, mówi do mnie: "Idź, weź sobie moją zupe, a chleb mi przynieś". Ja na to: "Nie będę ci mogła przynieść, bo się źle czuję, poproś kogo innego!" (...) Mogłam być głodna, pu-chłam, ale ja nawet do rodzzonego ojca nie napisałam ani jeden raz listu (...). Czapla niedługo była, gdzieś ją wysłali. Inne Polki pracowały w innych brygadach, na innych budowach. Były tam też dwie siostry Rzepy, jedna z nich była bardzo zaradna, bo zawsze miała jakieś "zapomogi!".

W brygadzie były Niemki z Powoźna, Fryta, Roza, Olga i bardzo młodziutka dziewczyna, Maryjka. Gdyby nie te kobiety, to bym może nie wyszła z życiem z tego obozu. Bo kiedyś pracowałam w obozie, budowali przybudówkę-baraczek dla kierowców, którzy przyjeżdżali z dalekiego terenu i później nie mieli się gdzie podziąć. Dziewczyny tynkowały wewnątrz: stała tam beczka (ogrzewcza) i wewnątrz było 40 stopni gorąca (...). Ja wstawiałam okna i drzwi. Na dworze było

Zanim trafiłam do brygady NKWD, mieszkaliśmy jakiś czas w namiocie (Alinę kiedyś tam spotkałam, podeszłam do niej, spytałam, czy jest Polką, a ona na to, czy to nie wszystko jedno. Nie miałam z nią żadnych kontaktów). (...) Już byłam w baraku, a ta Maryjka jeszcze w namiocie, a zima była ostra. Więc mówię: "Maryjka, przychodź z wieczora, wleziesz do mnie przed snem na pryce, posiedzisz w cieple. Ciasno bo ciasno, ale się ogrzejesz". Przychodziła. Kiedyś tak siedzimy, na przeciwko nowa jakaś twarz, ktoś dokwaterowany siedzi. Nos na kwintę, człowiek w jakiejś rozpacz, coś przeżywa. Najczęściej romanse tak przeżywały (rzeczywiście wyglądała inaczej niż m z puszki). W końcu po dwóch wieczorach mówię: "Maryjko, zaproś ją do nas, do naszego towarzystwa". Ona przyszła, przedstawia się, też Maria. Rozmawiamy (dwie Mariejki), różne anegdoty, bo nigdy nikt nie pytał kto, skąd, za co, to nie było przyjęte w obozie. (...) Przychodziła tak do nas a później znikła. Jej opiekun, ten ktoś, tu już "doszedł" i umieścił ją w przychodni jako siostrę. Ale nie zapomniała, że nie dałyśmy jej za dużo rozmyślać, że ją zaprosiłyśmy (a trwało to z miesiąc). Przyszła do nas: "Jestem w przychodni. Jak nie będzie lekarza (była tam wolna lekarz), to powiadomię was, zawsze za dzień wolny dostaniecie." (Bo siostrę lekarkę upoważniała do zwolnienia, jeśli się miało temperaturę, bo inaczej tam żadna choroba nie była uwzględniana). Jak długo baba tam była, pomagała. Pewnego razu w zimie ma być w nocy zalewanie betonu. Wiem, że będzie mi na głowę lało, całą noc w mokrym męczyć się będę, nie moja robota - myślę - pójdę, może dzień wolny dostanę! Mamy wieczór wychodzić do pracy, jestem strasznie zmartwiona, bo wiem, że będę miała niesamowicie ciężką noc. Idę do przychodni, ale jest lekarz. Patrzę na Maryjkę. Lekarka kogoś osłuchiwała, Maryjka w tym czasie dała mi termometr. Kaszlę, lekarka osłuchiwała mnie, patrzę: skierowanie do szpitala mi pisze! (...) Maria dała mi termometr z czyjaś temperatura! Ale osłuchanie kwalifikowało mnie do szpitala. W szpitalu obozowym była siostrzyczka pochodząca z Białorusi, Ignatowicz. Wyjaśniłam

40 stopni mrozu. Ja między tym upałem a tym mrozem. Cały dzień tak przepracowałam, a jak przyszedłam do domu, to mnie tak sparło, że nie mogłam oddychać. Poszłam do tej przychodni, tam termometr pod pachę i zwolnienie na parę dni - i nic więcej. Przyszedłam do baraku lamentuję, mówię, że nie wiem, co mam robić. A spałam obok tych Niemek. One się mną zajęły. Jakies cegły czy kamienie włożyły do pieca, grzały je po kolei. Mnie posadziły na taboret, postawiły ~~kax~~ wiadro drewniane, kamień w to wiadro, należy wody, mnie i wiadro okręciły kocami, żeby powietrze nie dochodziło i kazały oddychać tym wilgotnym gorącym powietrzem pod kocem. I zmieniały wciąż te kamienie. Nie miałam już siły siedzieć, podtrzymywały mnie z obu stron i zmieniały, zmieniały kamienie. Nam, z Zachodu, taka kurtaczka by do głowy nie przyszła. A że one były wychowane w Rosji bolszewickiej, znały sposoby (...). Oddychałam tak, później już im całkiem zwiędłam na rękach. Dla nich to była chwila, dla mnie wieczność. Wciągnęły mnie na prycę, przykryły kocami jakimiś, pończuchami, ze mnie ścieka woda, proszę, żeby mnie odkryły (...). Żadnego gadania tak ma być. Nazajutrz dobrze się czułam. Więc trzymałam z tymi Niemkami. Jak ktoś zaprzyjaźniony był w innej brygadzie, to po pracy spotykałyśmy się, rozmawiały (...). Była z nami później Maryjka Kuzatkowa, pochodziła spod Brańska. Niemcy wywieźli ją do Niemiec na roboty, tam pracowała u jakiegoś bambra, trafiła na dobrych ludzi. Mówiła, że jak od nich wyjeżdżała do domu, Niemka włożyła jej do walizy odzieży, butów, bielizny, wszystko.. Przejechała przez polskie ziemie, przewieźli ją, do Łaźni zabrali. Jak z niej wyszła, chustki do nosa nie miała. Dali jej waciaki, szmaty wysmarowane (np. po jakimś traktorzystcie) i jazda! A na śledztwie tak ją tłukli, że miała wszystkie zęby wybite. Skazana za zdradę ojczyzny. Ale zawsze z tymi wybitymi zębami uśmiechnięta, pogodny miała charakter. Była jeszcze ze mną w brygadzie Friedy, spotkałyśmy się znów na Kołymie.

Zanim trafiłam do brygady NKWD, mieszkaliśmy jakiś czas w namiocie (Alinę kiedyś tam spotkałam, podeszłam do niej, spytałam, czy jest Polką, a ona na to, czy to nie wszystko jedno. Nie miałam z nią żadnych kontaktów). (...) Już byłam w baraku, a ta Maryjka jeszcze w namiocie, a zima była ostra. Więc mówię: "Maryjka, przychodź z wieczora, wleziesz do mnie przed snem na prycę, posiedzisz w cieple. Ciasno bo ciasno, ale się ogrzejesz". Przychodziła. Kiedyś tam siedzimy, na przeciwko nowa jakaś twarz, ktoś dokwaterowany siedzi. Nos na kwintę, człowiek w jakiejś rozpacz, coś przeżywa. Najczęściej romanse tak przeżywały (rzeczywiście wyglądała inaczej niż młoda z puszczy). W końcu po dwóch wieczorach mówię: "Maryjko, zaprosź ją do naszego towarzystwa". Ona przyszła, przedstawia się, też Maria. Rozmawiamy (dwie Marie i ja), różne anegdoty, bo nigdy nikt nie pytał kto, skąd, za co, to nie było przyjęte w obozie. (...) Przychodziła tak do nas a później znikła. Jej opiekun, ten ktoś, tu już "doszedł" i umieścił ją w przychodni jako siostrę. Ale nie zapomniała, że nie dałyśmy jej za dużo rozmyślać, że ją zaprosiłyśmy (a trwało to z miesiąc). Przyszła do nas: "Jestem w przychodni. Jak nie będzie lekarza (była tam wolna lekarz), to powiadomie was, zawsze w dzień wolny dostaniecie." Bo siostrę lekarka upoważniała do zwolnienia, jeśli się miało temperaturę, bo inaczej tam żadna choroba nie była uwzględniana). Jak długo baba tam była, pomagała. Pewnego razu w zimie ma być w nocy zalewanie betonu. Wiem, że będzie mi na głowę lało, całą noc w mokrym męczyć się będę, nie moja robota - myślę - pójdę, może dzień wolny dostanę! Mamy wieczór wychodzić do pracy, jestem strasznie zmartwiona, bo wiem, że będę miała niesamowicie ciężką noc. Idę do przychodni, ale jest lekarz. Patrę na Maryjkę. Lekarka kogoś osłuchiwała, Maryjka w tym czasie dała mi termometr. Kaszlę, lekarka osłuchiwała mnie, patrę: skierowanie do szpitala mi pisze! (...) Maria dała mi termometr z czyjaś temperatura! Ale osłuchanie kwalifikowało mnie do szpitala. W szpitalu obozowym była siostrzyczka pochodząca z Białorusi, Ignatowicz. Wyjaśniłam

jej, że mnie tu skierowano na podstawie osłuchu, temperatury nie miałam. W szpitaliku też była wolna lekarka (często lekarzy zmieniali), coś musiała przeżyć, może na syfilis była chora, miała popielutą cerę. I jak zaczęła pracować, zaraz przeprowadziła badania. Sporo było bab z syfilisem. Oddzielnie musiały wszystkie przy stole jeść, ale w brygadach były różnych. Ta lekarka była krótko, ale dobra była bardzo. Misy tam dla wolnych haftowały różne rzeczy, one to nam sprzedawała, kupowała glukozę, witaminy, robiła nam zastrzyki. (Ja też kilka rzeczy robiłam, jakieś powłoczki na poduszki).

Działy się tam i takie rzeczy: brygady robocze wychodzą do pracy, a do baraku przychodzi kilku żołnierzy i robią rewizję. Masz kubek, miskę, kociołek, szklanke - wszystko zabierają. Składają to w duże skrzynie na sankach (zima) i wywożą poza obóz. Później między sobą rozdzielają, a co im się nie nada - wyrzucają.

Byłam akurat na zwolnieniu i nie poszłam do pracy. (Miałam pod pachą wrzód, cały czas na Kołymie miałam wrzoły, awitaminoza, leczenie (...), brali mi krew z żyły i w siedzenie pakowali), przyszli ranż, zrobili rewizję, zabrali wszystko. W baraku bałagan. Przychodzi jakaś komisja spoza obozu, każą po barakach (wszystko to na czwartym kilometrze), sprawdzają, która na co ma zwolnienie. Chodzi z nimi felczer, Żyd. A na zwolnieniu w baraku jest też kilka Rusaczek (Rosjanek), takich, co to przeszły front: zaradnie w stu procentach. (...) Jedna zwraca się do tego Żyda, doktor Bracz się nazywał: "Czy można spytać o coś pana doktora? Czy pana żona się podmywa? Żyd jak to Żyd, zaskoczony, płochliwy, tchórzliwy... (DALEJ STRESZCZAM) Oficerowie z komisji, "wielkie szychy", rechocą, zainteresowani pytaniem i rozbawieni zakłopotaniem felczera, każą mu odpowiadać. Kobiety wreszcie wyjaśniają, że poranna rewizja pozbawiła je możliwości podmywania się: odebrali wszystkie naczynia, niezbędne przy toalecie wobec nikłej ilości wody w umywalni we wspólnym korytku.

[STANISŁAWA]

Barbara Chodyko

(Od taśmy X do taśmy XIII)

Bania była raz na 10 dni. I kazał te skrzynki na sankach wciągać z powrotem, żeby kobiety sobie rozebrały. To znaczy, że to nie było zakazane tak, że nie można tego mieć. Wytłumaczyli, o co chodzi, Kto był w obozie, pozabierał, kto przyszedł, znalazł-nie znalazł, musiał sobie znowu później jakoś ponarzynać. Wodę przywozili beczkami wozami z miasta i to spory kawał. Nawet później, jak był szpital wojskowy, nawet do niego wozili wodę. Na dole przepływała rzeczka i tam była studnia głębinowa, pompa, stamtąd wozili.

Co 10 dni kąpali nas. Kiedyś coś wypadło i nie kąpali aż po 20 dniach. Komisje i delegacje przyjeżdżają i wiecznie po parakach łazą. I kobiety zaczynają pytać: "Dlaczego nas nie kąpali, minęła dekada". "Trzeba czekać, aż kolej wasza będzie za dziesięć dni". Ktoś się z ciemnego kąta odzywa, że więźniów można nie kąpać, któraś z bab. A panowie oficerowie: "Jak to więźniów? U nas więźniów nie ma. U nas czasowo izolowani!" To się dowiedziałyśmy, że mamy numery, pod karabinami chodzimy, ja mam dziesięć lat, ale są wyroki i po 2 lat - ale więźniów nie ma.

Jeszcze jedną rzecz przeoczyłam: jak przywieźli nas na Buchtę Wainina, to już była gotowa, przysłana z Moskwy lista z naszymi numerami. I kiedy nas sprawdzali przed wyjazdem, okazuje się, że mam 25 lat wyroku! Dopisali mi! Więc rozpacz straszna: parę lat odsiedziałam, a tu w dokumencie przysłanym z Moskwy mam 25 lat! Mówię: "Jak to, mam przecież 10 lat!" - "To proszę pisać do Moskwy". Piszę do tej Moskwy - i przyszło sprostowanie, że mam 10 lat. Ale gdybym nie zdażyła, to bym pojechała do Magadanu z 25 latami! Ile ja wówczas przeżyłam! Wszystko szło z Moskwy. Jak nas szykowali na etap, wywożują wg gotowych list, szukają pani Dobrowolskiej, a takowej u nas nie ma. Pani Dobrowolska to była taka krawcowa: zajmowała się łataniem. Okazuje się, że była kochanicą Tatara pana - i on zamiast

Zmiana
wyroku!

niej wsadził (do transportu) niedorozwiniętą Ukrainkę, ciapę taką, może sierotę wychowaną przez obcych, co to jak kopniesz, to upadnie jak postawisz to będzie stała - takie o! Taką osobę wysłali! I ona już nie została do Magadanu zabrana, nie. A co z tą osobą było, nie wiem.

Było powstanie. To chyba był rok 51. My byliśmy na czwartym kilometrze, w obozie drugim, z kilometr dalej. Obóz nie był jeden, tylko cały kwartał - nie specobozy, tylko różne przesyłki, wysyłki, złodzieje, uciekł z roboty - takie różne rzeczy. Ogromny plac, uliczki. Nasz specobóz był w rogu. Za nami obóz przesyłkowy - różne narodowości. Przyjeżdżali, wywozili ich, czasami rozmawiali z nimi kobiety: każdy z nich miał po 300 lat, jak mówili, za jakieś tam przewinienia w obozach. I było tam powstanie. My byliśmy wtedy w innym obozie, gdzie szpital wojskowy budowano, mury podciągnęliśmy same kobiety. Na tym czwartym kilometrze było ze 40 obozów, wszędzie było pełno obozów. Trudno powiedzieć, ilu ludzi w którym - zawsze kogoś przysyłają, kogoś zabierają, wieczne przesyłki, rotacja. Na czwartym kilometrze było kilkadziesiąt tys. więźniów. Tylko wieże wartownicze oddzielały nasz kobiecy obóz od męskiego i płot - z ich strony zawsze było niespokojnie. Walki trwały kilka dni, tylko je słyszałyśmy. Do pracy myśmy nie chodziły. Było słychać strzały, ujadanie psów, jęki, krzyki. Wszystko w przesylnym obozie, gdzie byli nie tylko kryminalni, więźniów często zmieniali wywozili, jeszcze straszili, że ich wywiozą na jakieś Białe Krysty, jakieś B2, jakaś Artachała była, Ziemia Franciszka Józefa... Kilka dni to trwało, nie chodziłyśmy do roboty, a pracowałyśmy w obozie, gdzie szpital się budował i domy dla pracowników. Z bardzo dużych baraków robiłyśmy mniejsze pokoje. Trudno powiedzieć, ilu było zabitych, bo z tamtymi ludźmi nie miałyśmy kontaktów. Mężczyzn Polaków chyba gdzieś usunięto. ~~Krótkie~~ Powstanie to potem przytłumi. Później nas przenieśli do tego obozu, a mężczyzn na nasze

miejsce, pewnie się bali, żeby inni nie dołączyli do tego (chodzi chyba o przedzielenie dwóch obozów męskich kobiecym). Przerzucono nas, baby jak to baby, zawsze spokojnie.

Minął jakiś czas, rok chyba. Nocy nie ma, okna się zasłania, bo człowiek chce spać umęczony, nie może zasnąć - słońce świeci.

A my słyszymy, że w sąsiednim obozie męskim (przy ich płocie jest szpital, nasz barak następny) szmer, coś się dzieje, coś się robi. Niepokój nam się udziela, wszystkie jesteśmy zdenerwowane. Już czas spać, już późno, kobiety porozbierane, ale jeszcze nie śpimy. A tam coraz głośniejsze, coraz głośniejsze. Był między obozami płot z desek, wysoki na dwa i pół, trzy metry, gładki, bez szpar. W pewnej chwili baby, które siedzą przy oknie, krzyczą: "Ojej, baby! Płot się rusza od tego obozu!" - "Niemożliwe!" Zwalizyśmy się wszystkie w tamtą stronę, patrzymy - rzeczywiście płot zaczyna się ruszać... Płot zaczyna padać do naszego obozu, przesła się wałą, zaczyna się strzelanina z wież strażniczych ich i naszych i ich karabiny maszynowe grają. Baby w strachu. Wszystkie, jak jedna - pamiętam - naciągają spodnie! (śmiech) Później się z tego same śmiałyśmy, ale pierwszy o ruch: naciągać spodnie. Patrzymy, co się dzieje. Ale oni (wieśnio wie) nie do nas i nie do szpitalika, lecz do następnego baraku wrzawali się, wyłamali drzwi (były kłódki, zamykali nas jeszcze). Padły trupy, bo z karabinów maszynowych strzelano, przestrzeń między jedną a drugą wieżą sto, 150 metrów. Nasze władze obozowe z tantym wiecznie się żarły, bo nie mogąc się widzieć przez płot, chłopcy wyłaziły na dach - i handel. I tak: za paczkę herbaty przerzucają waciak, spodnie. A bywały takie baby, że taki przerzuci, a ona później tej herbaty nie daje. Wyzywanie, kłótnie... Jak im dają cię płą odzież przed wywózką, przez ^gpłt przerzucają wszystko. Herbatę kobiety miały, bo jak się pracowało na budowie, były różne kombinacje, wolnych było trochę, zawsze ktoś coś sprzedawał, coś miał na wymianę. Więc patrzymy: jęk, krzyk, strach Boży! Snu już nie ma

Siedzimy zamknięte, patrzymy, co się tam dzieje. Po tej strzelaninie część wycofała się z powrotem, przyjeżdżają czarne budy, pogotowie. Tamci zbuntowani zabarykadowali się w baraku, powciągali rannych, pozabierali wszystko kobietom, porwali na bandażę... Pełno wojska w naszym obozie, ruch, krzyk, awantury. Prowadzą pertraktacje przez okna, żeby żołnierze się wycofali, żeby zostali tylko oficerowie, to oni otworzą drzwi. Bo przecież i tak wyjścia nie mają. Rzeczywiście wojsko się wycofało, pada oficerskie słowo, że im pozwolą z powrotem wejść do ich obozu. Nic podobnego! Jak drzwi otworzyli, zaraz pod ścianę, kajdanki na ręce. Pozabierali trupy i rannych. Nikt przez noc nie spał, a rano nas normalnie pogonili do roboty. Do samego rana to się działo.

Ci mężczyźni wiedzieli, że będą gdzieś wysłani w gorsze miejsce. Pytano ich, dlaczego to robili. "Czy nie lepiej tutaj od razu umrzeć, niż mając 300 lat wyroku gdzieś dogorywać?" Nie było to zupełnie beznadziejne działanie. Część zginęła, część ranna, część sądzono i do tych 300 lat jeszcze im dodawali... Czarne budy, więziarki, też były na Kółymie, przecież to jest kraj więźniów (...). Nie wiem, czy byli Polacy wśród tych powstańców, ja jakoś z nimi nie rozmawiałam. Na pewno byli... (...)

Na budowie... Tych niby techników zmieniali. Był Polak, był Ukrainiec, był Rosjanin, znów Polak (taki trzaśnięty w mordę idio-
ta), zmieniali często tych ludzi. Żołnierze, którzy nas wożili, też by-
li zmieniani dość często. Bo bywały takie rzeczy, że syn szedł z kar-
binem, a ojciec w szeregu. U nas tak było. Parę dni chodził, z ty-
m ojcem rozmawiał, przyszedł ostatni raz, z ojcem się pożegnał. Prz-
szedł do obozu. A w każdym obozie jest takie miejsce święte - "kr-
sny ^uogołok" - Stalin, Lenin, wszyscy święci, czerwonych szmat naw-
szone. On wziął automat i automatem potrzaskał wszystkie te portre-
ty, a kiedy biegli go obezwładnić, to lufę skierował na siebie i
przerznął się żukiem z tego automatu. Więc oni bardzo często ich

zmieniali. Trafiali się różni ludzie. Byli jacyś (trudno mi określić narodowość) bardzo kulturalni, bardzo grzeczni dla nas. Szukałam kiedyś konwerty (tak nazywałyśmy pewne szczypki), a jeden z tych ~~żołnierzy~~ ^{żołnirzy} zrozumiał, że szukam koperty. "Wy nie macie?" - "Nie mamy" (...). "Ja dziś ze sobą nie mam, ale jutro przyniosę". I przyniósł nam po kilka kop^ert i papier do pisania. Tak że różni byli ludzie. Byli wśród nich ci z południa, z Kaukazu, źle po rosyjsku mówili, ale było w nich widać kulturę. Ale byli i dranie, którzy czepiali się wszystkiego. Dom, przy którym pracowałyśmy, był już zbudowany do drugiego piętra chyba i z wieży strażniczej strażnik nie mógł nas widzieć, najwyżej słyszał rozmowę. Pod koniec przerwy obiadowej wylazłyśmy na górę, patrzymy: pędzą jakichś mężczyzn prawdopodobnie do portu, na wywózkę, bo ubrani i bez żadnych narzędzi. Oni patrzą na nas, my w oknach budynku stoimy, przygladamy się. Żadna z nas nic do nich nie mówiła, ale oni do nas, że "dziewczeto, nie martwcie się, przyjdzie Ameryka..." - bzdury gadali. Dział stał gdzieś na tej wieży, nie widział nas. A miałyśmy zakazane wszystko tylko te czarne szmaty z numerami na głowę - wkładałam ^{sejtnok} (pod czarną chustkę wąski rąbek biało-błękitnego materiału. Nikt się o to nigdy nie czepiał, ale gdyby miał ^{niektos} na oku, to był znak. Ci mężczyźni przeszli, już dzwonek do roboty. Jeszcze nie przestał dzwonek dzwonić - przychodzi do nas na górę żołnierz. Rozgląda się i podchodzi do mnie. Ktoś z ulicy musiał mu powiedzieć (że do nas mężczyźni mówili), a żadna z nas przecież nic nie mówiła. "Chodź ze mną" - zabiera mnie. Domyślałam się, że to w związku z tym gadaniem. To taka podła dusza musiała być. Klatki schodowej jeszcze nie ma, schody prowizoryczne z desek. Idę za nim, dochodzę do pierwszego piętra - i w okno, przez rusztowania do góry wyłażę: "Dziewczyno, uciekłam!". ~~xxx~~ Dom stał na rogu, biegnę do drugiej klatki schodowej, ten rąbek ściagam, daję jakiejś dziewczynie ("schowaj sobie gdzieś w majtki!"). Ten zszedł na dół, odwrócił się - nie ma baby!

Nie przypuszczał, że ucieknę na górę. Stolarskim ołówkiem podmalo-
wałam sobie brewki, chustkę na łbie zawiązałam mocno, żeby włosów
nie było widać. On biegnie na górę, tam już sznurki naciągnięte -
nie wolno chodzić. Stąd rzucam kawałek deski i...matem pięciopiętro-
wym obzywam go! Czy ślepy? Czego tutaj lezie, jak dostanie po łbie,
to będzie, że przez złośliwość. Patrzy na mnie, nie poznaje (szukał
blondynki), pobiegł dalej, złapał jakąś, przyczepił się. Tamta sła-
bo mówiła po rosyjsku, całkiem inaczej niż ja, do płaczu doszło.
Żołnierz^o widzi, że to nie ja jednak. A wszystkie miałyśmy numery!
Nie zauważył, jaki noszę. Całe^o popołudnie chodził, do wszystkich
zaglądał - zginęła baba! Ale idziemy do domu, tu się odegra. Staję
w pierwszej piątce (śmiej), jest nas ze 150, każdej w oczy zagląda
Zginęła!. Do bramy wchodzimy, znów staję i każdej w oczy zagląda,
stoję bezczelnie w pierwszej piątce i nie poznał mnie. Jeszcze jaki^o
czas chodził, później ich zmienili. Wyglądaliśmy podobnie.

Kiedyś wychodzimy do pracy. Dali jakichś chamów. Mieli oni kró-
tkie kożuchy trzyświerciowe oraz długi kożuch do ziemi na wartę, że
by nogi zakrywał. Mieli coś dwa takie kożuchy. Stoimy już na drodze
rzuca nam te kożuchy na głowę - musicie nieść! "Nie poniesiemy!" -
rzuciły, awantury, krzyk. Przychodzimy do pracy. A już zmienili nam
inżyniera, był Rosjanin (ci inżynierowie może byli karnie kierowani
ale więźniem taki nie był, jego pomocnicy-technicy - tak). Przycho-
dzimy więc z krzykiem i awanturą, inżynier stoi, zawsze lubił ~~przxxx~~
przyjść wcześniej. "O co chodzi?" Opowiadam, że konwój bezczelnie
rzuca nam kożuchy, żebyśmy niosły. Niech sam niesie, taki zdrowy
chłop, skoro to jego - kożuch czy karabin! To jego rzeczy, nie na-
sze! Potem nie mamy sił do pracy! A inżynier na to: "Tak? Nie dać
im drzewa do palenia. Taki kawałek drzewa to jest m a t e r i a ł,
nie drzewo. Zakazuję! Materiału ani kawałka nie wolno wam ruszać z
obiektem. Ja za to wszystko odpowiadam, to wszystko kosztuje, to się

sprowadza z Sachalina - nie wolno!" A jak mieli wachtę, zawsze sobie żołnierze kazali dawać na ognisko, nigdy nie było problemu, bo na budowie zawsze takie kawałki są. Teraz łazili, szukali jakichś kawałków - ale poza placem budowy. Taki był solidarny w stosunku do nas (a też był dobry drań, jeszcze o nim opowiem!), co dzień przychodzimy do pracy, on już jest: "Zmienili żołnierzy?" - "Nie" - "Ani kawałka drzewa!" Jak powiedziałyśmy, że zmienili, to: "Dajcie im, niech mają".

Było więc tak i siak. Zanim przyszedł on do nas, zabrali pana Orzeł-Władimirowicza, mówią, że przyjdzie inżynier, którego na męskiej budowie chcieli zabić, jakimś blokiem rzucili, nie trafili; wredny jakiś podobno. Nam się to nie bardzo podobało. Ale z babami nikt nigdy nie wygrał! Nawet na Kołymie. ~~Przez~~ Brygadzystką była Walentyna Szydło z Białorusi, 25 lat wyroku. Opowiadała, jak to ~~to~~ ~~xxxx~~ fajnie się bawili przy Niemcach, jak to dobrze było, więc za to "dobrze" później musiała być kapusiem, musiała odkupić swoje winy. Jak był Orzeł Władimirowicz, to tak: brygada jest, ale "zwieno" murarzy, "zwieno" tynkarzy, zbrojarzy, stolarzy - i w każdej grupie jest starsza. Inżynier przychodził i mówił, że to i to będziecie robić (do starszych). Wiedział, że Walentyna jest do niczego, orientował się, po co ona jest. Miała 25 lat, Komsomołka, wiadomo było, że to podły człowiek, trzeba było obchodzić. Absolutnie nie znała się na pracy na budowie. Jak przyszedł ten nowy, do brygadzystki mówi, że w klatce schodowej trzeba zrobić jakieś zabezpieczenie. Ona do nas: "Musicie zabezpieczyć tę górę". Jak zabezpieczyć, to prowizorka (żeby ktoś nie wpadł) i zrobiłyśmy taką prowizorkę. No pioruny, grzmoty - kto to robił? Przychodzę. "Ja to robiłam". A był u nas dopiero parę dni. On pięciopiętrowym matem, wulgarnymi wyrazami - co to za robota, ja was wszystkich rozgonię! Ja na to: "Tak i na niego dziesięć razy większym matem! (A dom już wybudowany, klatki schodowe zaczynamy, dachy pokryte) On stoi niżej, ja wyżej trochę nad nim: "Wy nas będziecie rozganiać? Myśmy postawiły dom aż

po dach od fundamentów! Nie podskakujcie tak! " I matem na niego, a taki ciesielski toporek zawsze miałam, sama sobie wszystko ostrzyłam i do niego jak tygrys z tym toporkiem! On biegiem w dół, ja za nim. I jazgot, i krzyk! Jak już byliśmy wśród ludzi, on chce rozmawiać - przy ludziach. Już mu ktoś beton na głowę rzucał, to wiedział, że z więźniami to nie taka prosta sprawa, nikt później nie udowodnił co i jak spadło (...). Były wypadki, że i rozbrajali i uciekali, ale zawsze wszystkich potem wyniszczano. Baby tego nie robiły, bo one słabe były. Ale baby miały różne sposoby, oni bali się nas. Teraz rozmawiam z tym panem. Pytam, do czego to ma być? Zle zrobione! Komu mówiliście o tym? - "Brygadzystce". - "Wiecie, od czego u nas jest brygadzystka? (stukanie) Od tego! A nasz inżynier to wiedział, że jeśli "zwieno" stolarzy ma coś zrobić, to wołał starszą i mówił co. I nigdy nie mówiono, że źle coś zrobiłyśmy". A zawsze powoływałyśmy się na pułkownika Wasiliewa: "Proszę zapytać, czy u nas było kiedyś jakie nieporozumienie w pracy!" - "To ja wam muszę mówić! A brygadzystka?" - "Brygadzystka jest kapuś!"

Za dwa dni już baby nie było. Załatwił to cicho, gdzieś ją przerzucili (...). "Kto będzie brygadzystką?" Była taka Lucynka, znała się dość na stolarce, rosyjski język znała trochę, czytać i pisać nie umiała. Ale była kantorka, dwie baby, Luboczka i Katia, które to wszystko załatwiały za nią. Niby była brygadzystką, ale dla pucu. Normalnie pracowała, jak każda.

Ten pan był bardzo wulgarny! Raz trzeba było zrobić zalew z betonu, taki taras. Już zima była, musiało to być ocieplane, na umocnienie potrzebne takie rejki (?). Do ocieplania już wszystko gotowe - i nie możemy z tym się rozkręcić. Same najlepsze tam poszły do roboty, Janka poszła, ja poszłam, jeszcze parę Litwinek, które znały się na tym. On przyszedł nam pomagać, bo to trudne. No, próbujemy tak. "Niet, dziewczki, ~~tak ch...o~~ tak ch....o". Może tak? "Niet, tak chlemo (?)". I przeplatanka: raz tak, raz siak. Spozieramy na

siebie, czy chce nas obrazić. Ale on już tak wychowany, dla nich to nic! (...) Taki był cham. Zawsze do mnie mówił: "Ty sierdzita jesteś, dobry robotnik, ale sierdzita!" Kiedyś rano mamy coś do zrobienia. Mówię: "Froszę mi dać plan". On, że mu do czegoś potrzebny. "Narysuję ci na kartce". Narysował i pomylił osie. Tam gdzie litery dał cyfry i na opak. Ale planu nie widziałam, robiłam według kartki. Ktoś przychodzi: to nie tak ma być. "Jak to? Jaroma (tak go nazywałyśmy, jakie nazwisko chłera go wie) mi tak pokazał, mam kartkę od niego!" Idę do kantorki, siedzą baby, inżyniera nie ma. "Pokażcie mi ten plan!" Pokazują. "Popatrzcie na tę kartkę, on mi wszystko odwrotnie narysował. Cały dzień to robiłam, a teraz trzeba to będzie rozbierać i inaczej robić?" Nawyzywałam się tam jak tylko potrafiłam, a potrafiłam dość dużo (...). Wrozy cały czas przyłożysz palec do gwoździa, palec przymarza, w rękawicach gwoździa nie utrzymasz). Przyszedł potem, baby mu powiedziały - uciekł. Nazajutrz to przerobiłam, za dwa dni dostajemy 100gram chleba więcej. Minęło kilka dni, przychodzi: "No i cóż? Ty sierdzita taka była! No, każdy może omylić się (...) Ale procenty wam dopisałem, do stałyście chleb". - "A wy byście spróbowali tych procentów nie dopisać!" - wiecznie pyskowała. On raz matem, ja na niego dziesięć razy. Może i nie robiło to na nim wielkiego wrażenia, ale wiedział, że pokorna nie będę.

Zabrali od nas pewnego starego człowieka, który nam przynosił kupował, sprzedawał. Uważali że mamy za dobrze, taka łączność. Dalszczeniaka, który wczoraj skończył technikum. Przyszedł do pracy. Patrzymy: ooo, zmiana na stanowisku technika! Inżynier nie był z tego zadowolony, inżynier nie zawsze jest na robocie i nie wszystki musi pokazywać, ma techników do pouczenia. "My sobie z nim poradzimy, nie bójcie się" - "Ja was znam, wiem, że sobie poradzicie." Umawiamy się, my baby: każda do niego będzie z każdym głównem chodzić, pytać, jak i co ma zrobić, niech tłumaczy. A on roboty takiej nie

znał. I wieczne awantury, robota nie idzie (...) wiecznie mu dokuczamy. Miesiąca u nas nie wytrzymał, biedny konsomolec.

Raz idziemy do domu i jeden z żołnierzy jest pijany, idzie skrony, wymiotuje. Już ~~karatxxxxi~~ kamrat wziął od niego automat, ten został gdzieś z tyłu. Nas przyjęli do obozu. Poszli do koszar. Jeden dzień cicho, na długi dzień włóczę się gdzieś po barakach, poszłam do kogoś. Przychodzę, a baby krzyczą: "Ty gdzie łazisz? Sędzia śledczy wzywa ciebie!" Nie mam czasu pytać o co chodzi, nikt mi nie tłumaczy, że nie ja pierwsza... Myślę, cholera, zostało mi tak nie dużo do siedzenia, z półtora roku, a tu raptem sędzia śledczy ni z tego ni z owego. Wyrok mi się kończył w 54 roku. Przychodzę. Zaczyna się śledztwo: za co siedzę, kto w domu, jaki wyrok, z kim sądzona, co zrobiła - gada, gada - wygląda to jak wznowienie śledztwa! Z namysłem wielkim odpowiadałam na wszystko, żeby coś niepotrzebnego nie powiedzieć. Pyta, ile jest Polek na kolonii. "Nie wiem". - "Jak to, tak was niedużo i nie wiecie? Nie znacie?" - "Znam. Pani Jasia, pani Zdzisia (ja zawsze per pani, zresztą oni też tak mówili), pani Zosia, pani Czesia - wymieniam te wszystkie panie, które jakoś "błyszczą paniami". (...) Nie będę wszystkich przecież wymieniać, a zresztą... I zaczynam "po matuszkie" : że wszystkie baby jednakowe, jak przyjdę z pracy to mi wszystko jedno, czy ruska przy mnie siedzi, czy polska, jestem zmęczona, głowa mnie boli, muszę się umyć, wyspać, odpocząć, baby mnie nie obchodzą! I matem mu. Nie mogę jeszcze zrozumieć, o co mu chodzi. Tam były jakieś sprawy, jakieś listy podkrapali, jakieś sądy, po 25 lat dali... Myślę, może jakaś idiotka list pisała albo co? Jakoś się trzymam. Wreszcie on mówi: "A u was wczoraj w pracy na obiekcie kto był?" Acha, myślę, o tego żołnierza chodzi i mówię: "Zaraz, muszę pomyśleć. Brygadziстка kłóciła się z naczelnikiem konwoju, bo chciał, żeby mu dać ludzi do zapretnej zony, nie chciała dać, bo normy nie możemy wyrobić (...)" - ⁱⁱ "A co jeszcze?" - "Jeszcze kłóciłyśmy się z naszym technikami

bo nie było jakichś narzędzi..." - "Co jeszcze?" "Nie wiem, może jeszcze coś było, ale nawet ciekawe baby nie mogą wszystkiego wiedzieć, bo obiekt duży, a ja głęboko w transzei pracowałam (...)" - "A konwój pijany był?" - "A konwój czy pijany czy nie, ja jego nie niuchała i z nim nie piłam. Nie wiem". - "Spasiba" - i koniec rozmowy. Później okazało się, że 10 osób już przesłuchiwali. Mogłoby dostać wyrok.

Przychodzi zarządzenie: zabierać się nam z naszego obozu, będą nas przerzucać do innego. Były różne domysły, różne gadłki. Wysiedlają nas 7 km od miasta wózem, kotlina, rzeczka. Są tam jakieś magazyny żywnościowe, duży garnizon. Trzymali konie, krowy, ogrodnictwo było, bardzo duży obóz. Siódmy kilometr. Zabieramy się z rzeczami, przewożą nas tam. (...)

W obozach na matieriku już pod Brackiem wiadomości z obozu do obozu chodziły różne, wieści, listy. Kto to robił: święty Mikołaj, ochra? żołnierze? W każdym razie wiadomości krążyły. Ale już na Wojnie - setki kilometrów nieprzejezdných dróg, a zawsze wszystko było wiadomo! Jeszcze zanim nas zabrali, dochodzą nas wieści, że do nas przywożą - był rok 52 - tych niedobitków z powstania z Narylska, a nas na ten 13 kilometr. Jeszcze na budowie dostałam gwoździe długie, 25 cm, grube, stalowe. I ani jeden nie był nigdzie wbity na budowie. Wszystkie przerobione na noże! Wyklepałam nożyki zostawiając główkę gwoździa. Gwoździ ze szpar nie wyciągali, noże zabierali. Gwóźdź w ścianie siedzi, nikt go nie rusza, po co sobie ręce kaleczyć. Nawet jak robili wielkie rewizje, gwóźdź w ścianie siedział. Całą skrzynię, z 15 kg tych gwoździ, przeciąchałam na noże wyostrzone jak żyłki, cieniutkie, bo to i do manicure i do wszystkiego, do prac ręcznych jako nożyce służyły. Mówię: "Słuchajcie, zostawmy tym mężczyznom trochę tych noży. I te "gwoździe" powpychane w szpary tam zostały.

Z czwartego kilometra to przeważnie chodziłyśmy do pracy,

a z siódmego do tej samej pracy już nas wozili. (UWAGA, 15 kilometr to chyba przejeżdżenie, patrz poprzednia strona) Było bardzo zimno, dużo ludzi zazmębiało się. Wrzody bez przerwy. Całe ciało mam jak gwiazdami usiane bliznami po wrzodach. Umierało nie tak dużo ludzi, były wypadki, ale oni tam chyba wysyłali młodszych, odporniejszych. Wozili nas autami ciężarowymi (...) Jeszcze zanim nas wywieźli z obozu na czwartym kilometrze, patrzymy raz : bramę, wjeżdża miejski autobus. Tego u nas nigdy nie było. Od razu złe przeczucie. Okazało się, że nasze auto zaczepił bokiem jakiś pijany kierowca przy mijaniu. Kilka osób zabitych, kilka pokaleczonych, straszna makabra. Przejeżdżał autobus miejski i żołnierz kazał wszystkim wysiadać i wsadził do niego więźniarki. Jak to wjechało, jeden szloch był w obozie (Płacz), tyle ludzi poginęło, tyle kalæk... Do jakiegoś większego miasta ich dowozili, trzeba było pomocy chirurgicznej.

Zbuntowani z Norylska byli różnej^{ych} narodowości, Litwini, Polacy. Spotykaliśmy ich w drodze. Oni bez numerów, pytamy, konwój wrzeszczy, ale gęby wszystko jedno nie zaklei, a oni się nie bali. Ale ich powoli, powoli wykańczeli. Napchali ich do tego naszego obozu bardzo dużo, parę tysięcy, ale chyba ich stopniowo rozstrzeliwali, część może wysłali na jakąś Ziemię Fr. Józefa - zaczęło to topnieć. Wsadzili wśród nich dużo kapusiów, i to oficerów radzieckich. Z powrotem nas wycofano na czwarty kilometr, bo stamtąd jednak chodziłyśmy do pracy, a stąd transport był konieczny. Na siódmym był bardzo stary obóz, później tam zrobili dom inwalidów. Było tam kilka nowych baraków, specjalny izolator za drutami oddzielnie. Ich tam znowu przywieźli. Przed naszym powrotem żołnierze drapali szkłem deski, prycze, stoły, taborety, bo było bardzo dużo napisów wiersze pisane po polsku. Był wiersz po polsku, już go dziś nie pamiętam, ale tam były i łaki i pola nasze i Ostrobramska, i wszystko. Były po litewsku, polsku, ukraińsku - niektóre^{napisy} (zostały powycinane bardzo głęboko, widocznie naszymi nożkami...

Wróciłyśmy. Był u nas żydek, zaopatrzeniowiec. Ja tam za szara by-
łam, żeby z nim rozmawiać, ale z paniami, które pracowały gdzieś
w przychodniach, stołówkach, on rozmawiał. I tak mówił: "Co za na-
ród! Oni każdego potrafią przekonać o swojej racji. Mają argumenty
nie do podważenia (ośłuszności buntu)". Wywozili ich po kilku (na
śmierć?) i powoli topnieli, coraz mniej tych ludzi było. Nazwisk
nie znam, w ogóle mało nazwisk pamiętam. Zresztą, czy tam każdy
pod swoim nazwiskiem siedział?

Raz dziewczęta mówią, że mamy jakiegoś chłopca u siebie, męż-
czyznę nam podkwaterowali. W dzień wychodzi do pralni, na kuchnię,
ale kiedy przychodzimy z pracy - zamknięty w izolatorze. Ma tam
piec na drzewo. Nikt na razie nie wiedział, kto to. Ale poczta pa-
ntoflowa chodziła... Przede wszystkim kierowcy, którzy przyjeżdża-
ją do jakiegoś punktu, NKWD bierze od nich auto (...) a ich do ba-
raku na odpoczynek (...). Po paru dniach dochodzi nas wiadomość,
że na siódmym kilometrze wśród tych więźniów z Norylska zaczęli po-
dejrzewać, że (nasz chłop) to kapuś. Jakiś pułkownik rosyjski.
Kiedy szedł do ubikacji, kilku chłopów za nim i chcieli go wpako-
wać w kloakę. Ale narobił krzyku, jakoś im się wyrwał, podbiegł do
strażnika z wieżyczki. Zabrali go stamtąd i przewieźli do naszego
obozu męskiego, do szpitala położyli, że niby z tajgi chory. Ale
wiadomość za nim poszła, że to kapuś leży i namawiają się podobno,
że go zabiją. Musiał się jednak zasłużyć, skoro go tak chronili.
Więźniowie dogadali się ze służbą szpitalną, ale był tak cwany, że
zamienił się miejscami ze sparaliżowanym człowiekiem, który i nie
chodził i nie mówił. I ci dorznęli kalekę w przekonaniu, że to ten
kapuś. Więc jego do naszego kobiecego obozu, bo gdzieby nie poje-
chał do męskiego, zawsze pójdzie za nim ta wiadomość. (...) Bo ju-
tak było na Kołymie, że żeby nie wiem jaka odległość, zawsze mieli-
śmy wiadomości. Był więc u nas, ale bardzo szybko go zwolnili. Za-
służył sobie na to. Znow wiadomość (...), że go ktoś widział w Ma-
danie. Później ucichło. A kiedy stajały śniegi, znaleziono go gdzieś

zaszlachtowanego, pod śnieżkiem przez zimę przeleżał. Dopadli go jednak, wolność go nie uratowała (...).

Kapowanie. Tu chodziło nie o kradzieże, ale o to, co kto mówił. Dodawali za to wyroki. W naszej kolonii były wszędzie głośniki miejscowe radio: wiadomości i przeważnie muzyka różna. Ale wiadomości, ~~to~~ wiadomo, co oni klepali: w tym roku zbiory większe, bogatsi jesteście itd. Była u nas Białorusinka, jakaś mizerota z Zachodniej Białorusi (...), raz siedzi i gada (nie każdy potrafi się opanować). "A cholery, znowu więcej macie a z gołym tyłkiem chodzicie, a głodni, a chleba od urodzenia do śmierci się nie nażreć, zawsze głodni jesteście" - siedzi baba i gada. A najgorsza była ta ich inteligencja, te komsomołki, które siedziały za jakieś tam szwindle, za nie wykonanie (planu). Jedna z nich poszła do sędziego i powiedziała, że Paulina (tak Białorusince było na imię) powiedziała to i to. Pokazowy sąd w obozie - i ona dostała 25 lat! A już kilka lat odsiadziła. Dziewczyna dostała pomieszania zmysłów. Tam jak ktoś mówił to musiał dobrze oglądać się. Jak ktoś podsłuchuje, to jak najnieprzyzwoitsze kawały! Kapuś się odwróci, idzie : to nie interesuj się, bo cały kraj to gada. Nie było tej Pauliny parę miesięcy, musiała być gdzieś w szpitalu na leczeniu. Przyjechała już cicha i spokojna (...). Czasem z człowiekiem innej wiary i narodowości można było znaleźć bardziej wspólny język niż z niejedną idiotką, naszą. Idziemy Paulinę odwiedzić. Paliła, więc przynosimy jakieś skrety. Co słyszeć? Nie bardzo nawet nam umiała nam powiedzieć, w jakim szpitalu była. My do niej: "Słuchaj, tylko ty teraz nie daj się wprowadzać na robotę! Jak będzie powierka, to nie stawaj w stroju, gadaj swoje, nic ci już więcej nie zrobią. Masz już te 25 lat i nie 50 ich nie przerobisz!" Tak ją uczyliśmy i tak robiła. Przy wychodzeniu do pracy było tak, że nie tylko nasza generalicja, ale i jakieś delegacje staną, takie gady. Tu wychodzą niewolnicy do pracy.

a oni stoją, przyglądają się. Ona wychodzi, zaczyna od matuszki, pcha się, chce wyjść, rozmaicie. Wszyscy wiedzą, że nienormalna, gonią ją. A ona na Rosję, na Lenina, na Stalina, na cały rząd! „Acha, sumaszetsza!” (...) może mówić ile chce. Uczyłyśmy ją. (...) Jak Stalin umarł, oddzielili nas od tych z wyrokami po 25 lat, ona tam została. Nie wiem co się z nią stało.

Kapusie donosiły też, gdy ktoś pisał do kogoś jakieś kartki, ktoś komuś coś sprzedawał, przekazywał, miał łączność z wolnymi. Przecież oni każdego podejrzewali, bali się wszystkiego. Każdy z nas wiedział, kto to jest, stosowaliśmy przeważnie bojkot towarzyski (...). U nas była raz jedna, o której wiadano, że donosi. Raz siedzimy w baraku, zimno było, raptem patrzymy, kilka bab wchodzi na jej górną pryczę, zaczyna babę wałkować, tłuka, biją, zrzucają z tej pryczy. I ona boso, lekko ubrana, na wachtę uciekała. I już do baraku nie wróciła, wysłano ją do innego obozu. Ale co dostała, to dostała, stłukły ją na czarne jabłko jakimś drewniakami (...). Kapusia wystrzegaliśmy się, ot, o dupie Marynie (przepraszam) przy nich się gadało.

Przyjeżdża kiedyś komisja z Moskwy. Ja pracowałam jako stolarka, robiłyśmy formy z desek do zalewania betonu. (...) Siedzi się wysoko, wiatr gwiżdże, zimą tam też 10 godzin pracowałyśmy. Miałam wołoki złe, ciężkie, każdy z 8 kilo waży, podszyte oponą obuwie. A magazyn opanowały Ukrainki, same swoje, nikt nic porządnego nie dostanie. Pracowałyśmy 10 godzin, godzina drogi do pracy i z powrotem godzina, w sumie 12 godzin, dwie zmiany. Brygadzistka, jak dostanie w łapę, to może pójść do magazynu, wybrać lepsze włoki, bo stare znoszone, wymoczone, ciepła już nie mają. I ta komisja przyjechała jakiś generał Panie Boże odpuść. „Aż, chamy, po barakach, pytają. Sam pan generał pyta, jakie mamy skargi. Myślę sobie, poczekaj, chamie, nie będę się skarżyć, ale sobie z tobą pogadam. Tak po naszymu. I zgłaszam się. Chyba z 8 osób ich było. -"Słucham" . Mówi-

łam dość dobrze po rosyjsku, bo i pisałam i czytałam, ale zaczynam kaleczyć: że ja, stolarz, "wysokołaz", mam wojłoki - i zaczynam określać matem jakie ~~ch...~~ ch....e, a robota chynowa (?), że jak muszę wyłazić, taka mać, inni mają, ja nie mam, a czy ja źle pracuję, to może spytać (I powołuję się na płk. Wasiljewa), wojłoków dostać nie mogę. I ścielę mu matuszką, a on tylko oczy wywala, patrzy "A wy kak wyrażejecie się?" A ja z durną mordą: "Jak? Naczelnik na kolonii mówi tak, na rozwodzie oficer dyżurny, naczelnik konwoja, żołnierz, inżynier na robocie, ruskie kobiety, od których się ucze wszyscy źle mówią? - pytam go. "A wy kto?" - "Ja Polka jestem" - ~~xxx~~ (i myślę, o, chamy!). A ci patrzą, jak on to znosi, ~~xxx~~ jak baba mu matem sypie. Zbaraniał. Odwrócił się do naczelnika kolonii: "Jutro żeby ta kobieta miała nowe wojłoki!". Oni wyszli, a komсомоłki siedzą, taka klika, inna brygada i mówią do mnie: "Jak możesz! Ty przecież tak dobrze mówisz po rosyjsku! Do tak wysokiej rangi oficera z takimi słowami!" A ja "A widzisz, ty byś spróbowała mu choć pół tego powiedzieć, co ja powiedziałam, to byś zgnikała w pierdelniku, a ja wojłoki dostanę jutro!" (---)

Zjawia się u nas w brygadzie pani Tałukina, wysoka, wiotka dziewczyna, bardzo młoda. Budujemy dom administracyjny i więzienie. Więcej ludzi dają, na to jest. Cele były różne, ale były też takie pojedynki, że człowiek mógł tylko stać. Jak to w NEWD. Taki izolator robiliśmy też w koszarach dla żołnierzy, którzy coś przeskrobał. Tam celki dosłownie jak trumny, makabra. Ciarki nam po skórze chodziły, jak to robiliśmy. Z grubych betonowych ciężkich bloków układano mur. Na razie robiły to kobiety, potem to wykańczali mężczyźni. Teraz robili garaże obok. Zjawia się ta Tałukina, Rosjanka, i mówi że ona potrafi 150 i 200 procent normy wykonać. Miała 25 lat za włączenie się z marynarzami-inastrancami. Polityczna była, pochodziła gdzieś spod Leningradu, chyba współpracowała z Niemcami.

Przywieziono ją późno, może w 51, 52 roku.. I zaczęła te bloki wozić na taczkach. Pewna Ukrainka, Justynka, mówi: "A co, ja też potrafię!" Jeden dzień potrafiła. Ale baby wzięły ją wieczorem w obty: "Słuchaj, potrzebujesz to robić? Za co siedzisz? Zapomniałaś? Teraz musisz zachorować, źle się czuć i koniec z przodownicą!" A Łukina pracowała tak może z miesiąc ponad normę, coraz mniej, coraz mniej mogła wozić, coraz gorzej się czuła. Coś w niej musiało pęknąć, coś się oberwało, zaczęła chorować, żółknąć, schnąć w oczach. Dostała zwolnienie z pracy, chodziła po obozie i krzyczała, że jak pracowała, to jakiś plácek dodatkowy dostała, a teraz nikt jej nie zauważa, nikt nic nie da. Bardzo dokuczliwa była, myśmy się z niej śmiały (...), gdzieś ją wywieźli. Myślę, że długo nie żyła, bo wiedła w oczach.

Mężczyźni wykańczali więzienie, my teraz niwelowałyśmy grunt wokół domu administracyjnego. Moją rzeczą było zrobienie z desek drózek dla taczek. ~~Wtedy trzeba było~~ Coś trzeba było zabetonować, inżynier dał do pomocy mężczyzn. W męskiej brygadzie brygadzystą był Michał Choraży, bardzo sprytny młody Polak, Przysłał do nas dwóch mężczyzn, muszę przykrycie na beton zrobić (...) Za chwilę biegną do mnie baby z krzykiem: "Sławka, ten czarny zabiera nam deski z trapu!" - "Jak to?" - "Chodź, zobacz!" Istotnie zabierał deski z drózki, bo były szersze. "Patrz, tam kupa desek!" - "Ale te szersze - Jak ci zajadę w łeb, to ci się jeszcze poszerzą!" Ten na skargę do Michasia. Biegnie Michał, ja swoje: "Szerokich chcesz? Tak tobie pilno do tych szerokich? A nam to niepotrzebne?" - "Ja muszę na chleb dla ludzi zarobić?" - "Taak? I na popicie dla swoich robotniczków musisz zarobić, bo chleb to mało. A my miałyśmy po 300gr jak się budowało". A Michał: "Nie zapomnij, za co ty siedzisz!" - "Jak rąbnę ciebie toporem, to i tak mnie sądzić nie będą, bo nie jestem odpowiedzialna za swoje czyny!" A w 39 roku sześć osób zabiło ja byłam kontuzjowana w głowę. U Rosjan, jak ktoś był z frontu kon

tuzjowany, odnosili się do niego łagodnie, trzeba mu było ustąpić. Zawsze mówiłam o tej swojej kontuzji i z tego zawsze korzystałam. I tak z Michałem pożarliśmy się.. On tam miał babę ruską, meble dla niej robił, a ona już się z jakimś enkawudzistą umówiła i jak przyszedł koniec wyroku Michała, to go gdzieś wywieźli w głąb (Arkach? D2? Biełyje Krysty? Ziemia Franciszka Józefa?). Często nas tym straszili, młodych tam wywozili. Jego ta dziwka tak urządziła, to był bardzo młody akowiec, rok 54, wiosna.

Była u nas Gruzinka, bardzo piękna kobieta. Zachorowałam, dostałam dreszczy, położyli mnie do szpitala. Miałam wysoką temperaturę, byłam ciężko chora. Ta pani była anielsko piękna i bardzo chora. Później samolotem do Moskwy ją zabrali, było jakieś wznowienie sprawy. To było na 4 kilometry. Przy mnie w szpitalu leżała inna Gruzinka, zniszczona, wychudzona, łeb (przeciw robactwu) wygolony. Przez miesiąc dostawała szau na punkcie mężczyzn (...). Gdy posłyszała męski głos, dostawała furii. Zapędzali ją do worka z materaca (kaftanów bezpieczeństwa nie było), zawiązywali na szyi, przywiązywali do pryczy, kulała się - nieszczęśliwy człowiek. Nie miała leków, później leżała całkiem nieprzytomna. Takich zaburzeń dużo było, ale ta w bardzo wysokim stopniu je miała. Kiedyś jakiś młody żołnierz wszedł na korytarz, ona także, ze straszną twarzą, ogolona, niesamowicie wyglądała. Rzuciła się na niego, obłapiła za szyję - w gaciach i koszuli męskiej. On nie wie, kto to, chce ją odepchnąć, ona go trzyma i wymawia imię o brzmieniu gruzińskim swojego męża czy kochanka. Ten wystraszony, rzuciłyśmy się wszystkie na pomoc lekarce, żeby tę parę rozłączyć. Innym razem dostała ataku i lekarka wpakowała ją do pustej szafy na korytarzu. Zaczęła się rzucać, wystraszona (...). Ta lekarka to był dobry człowiek. Po niej przywieźli doktor Woroninę. Bardzo przystojna, kulturalna osoba. Miała coś 10 lat, kończyła wyrok, za coś jej dopisali 3 lata. Wyrok znów jej się skończył, a trzymali dalej - miesiąc, dwa... Nerwowo nie wytrzymała, otruła się.

1 luty 201

Nasza brygada robocza dostaje sublokatorkę. Stoi w baraku szeroki piec z cegieł. Przychodzimy z pracy, a za piecem stoi niska prycza. Patrzymy, przychodzi jakaś lalunia. Była to Łotyszka, Niemka czy Rosjanka z pochodzenia, ekstra numer. Pomocnik naczelnika reżimu, straszny sadysta, wredna morda, paskudny człowiek (z nią się skumał). Pracowała gdzieś w obozie, zdzira. (Potem go puściła w trabę jak wyszła z obozu i mścił się na więźniarkach). Po przyjeździe z pracy i jedzeniu wyganiali nas liczyć. Stawałyśmy w piątkach, im się wciąż coś nie zgadzało, liczyli raz, drugi raz, na deseczkach piszą ołówkami stolarskimi, czasem to szkłem zeskrobia, bo papieru nie mieli. Ktoś nie wytrzyma, jak nie mogą się doliczyć ("Cieszcie się, że nie jesteście w kołchozie, bo tam by wam świny nie stały po pięć, przez pięć lat byście ich nie policzyli..."), to już na złość trzymają (...). Jak zdzira zamieszkała u nas, to ten pan wspólnie liczył nas w baraku, tylko stanąć musiałyśmy. A po godzinie na tym mrozie, to cholery można było dostać, czasem coś mokre, wiatr dmucha. My stajemy przy pryczy. Wychodzić nie jest w naszym interesie, przez jakiś czas miałyśmy spokój przez te zdzirowe. Jak wychodziłyśmy do pracy, to baba miała wolną rękę, barak pusty.

Raz nie wyszłam do pracy, a zwolnienia nie miałam. Właśnie wtedy generalicji się zebrało każdego, kto jest w obozie - legitymować. A za zostanie już izolator, jeśli nie ma zwolnienia. Ale jakaś robota wredna była, źle się czułam... I akurat! Naradczycza Wiera z Moskwy (wcześniej była dniewalną u nas) trochę mnie znała, bo kiedyś wzięła mnie za Niemkę. Niemki dostały jakiś liścik, ona pochodzi i mówi: "To chyba wasze?" - "Nie moje". - "Bo wy zawsze z Niemkami". - "Tak jakoś wypadło". Bo ~~xxxxxx~~ wolałam być z Niemkami i Litwinkami niż z Ukrainkami. Teraz nie poszłam do pracy. Stoi nas grupka tych, co zostały, każdą legitymują. Ta ma zwolnienie, ta nie. Zaraz na mnie kolej, mówię w duchu "Pod Twoją obronę", a ona stoi przede mną i palcem mi pokazuje, że mam przejść prędko do grupki

że ta kobieta się zjawiała, widocznie zwolniona, bo wiedziała, jak się zachować.

+XII

(UWAGA następuje powtórzenie opowieści o strażniku na budowie, który na próżno starał się Sławkę rozpoznać. Relacja z ostatniego z nim spotkania przeniesiona na str 20 maszynopisu)

W Nowy Rok 53 roku nadzorca, którego Łotyszka potem porzuciła (...) urządził Sylwestra, zrobili przedstawienie, jakieś kolorowe kokardki, pieśni. Była jedna baletnica z Moskwy, z moskiewskiego teatru, druga śpiewaczka operowa (...) b. miła i mądra pani, która śpiewała jakąś rosyjską piosenkę. Dopisała sobie słowa "Kołymczanie Kołymczanie..." Nigdy w obozie tego nie było, żeby tak powitać Nowy Rok, to był jedyny wypadek. Jacyś mężczyźni grali na akordeonie, było bardzo miło. (...)

Pod koniec 53 roku chorowałam bardzo na szkorbut, w miarę wpływu lat coraz bardziej mi dokuczał. Teraz też nogi mam plastrem oklejone, obandażowane) Nogi cienkie miałam jak piszczele, straszny ból w kolanach, w piętach, zbierała się woda, jakieś pęcherze. To było związane z awitaminozą. Nogi podkurczone miałam, bardzo wysokie ciśnienie, dostałam wylewu, nad okiem coś pękło, krew wylała się otworem ocznym. Miałam połowę twarzy czarna, granatowa. Bolała mnie głowa bardzo. Tam nie było nic poza termometrem. Ot, chorował dochodziaga, to dopiero jak umarł i go rozciągli, dowiedzieli się, że miał skręt kiszek. W bólu umierał, a posadzali go o symulację. Miałam zawroty głowy - ale tego się nie wytłumaczy! Nie masz temperatury, to nie jesteś ch^ory! Ale jak mi to oko zalało krwią - to dopiero do szpitala położyli. W Magadanie chyba ze trzy miesiące leżałam. Miałam czas na czytanie, coś się przeważnie z klasyki rosyjskiej skombinowało przez szwalnię, przez wolnych. Jedzenie było takie samo, ale człowiek na nic nie zużywał energii.

Śmierć Stalina. Leżałam w baraku, wiedzieliśmy, że coś jest. Przychodziły dziewczęta, mówiły, że coś się dzieje. Muzyka żałob-

ba. Ze dwa dni nikt nikomu nic nie mówił. Na trzeci dzień przyszedli enkawudziści do baraku. "Uwaga, wstać". Pozłaziły z prycz kobiety, stoją. Mówią, że nie mamy się czego bać, zawiadamiają, że zmarł Stalin. Miałśmy stać na baczność, a wyglądało to tak, że jedna się za uchem drapała, druga gdzieś indziej... Jedna z komsomołek, Rosjanek, upadła na pryczę i "och", płacz straszny, ojciec zmarł. Jeden z enkawudzystów podszedł do niej i krzyknął po rosyjsku: "Da chwa-tit pritwaratsia!" (wystarczy udawania). (...) Wrzasnął na nią, skończył się lament. Za parę dni kazali nam zdejmować numery, karano, jeśli ktoś go miał... Pozdejmowali kraty z okien (...). Przychodzimy do stołówki, a tam chleb nakrajany na stole leży i ile chcesz tyle zjedz. Każdy je i jeszcze za pazuchę kawałek chowa. Dozorczyń chodzi i mówi, żeby nie brać, bo do pracy też przywiozą, obiad i chleb. Ale nikt nie wierzy, każdy bierze, chowa, suszy na suchary.

Trwało to ze dwa miesiące i znów dali nam normę 500 gramów. Ale pojawiły się sklepiki. Zaczęli też segregować ludzi, tych z 25 latami zabierano do innych obozów. (...) Obozy były różne, również przy budowach były. Niektóre Płki pozostawały tam nawet i za mąż wyszły. Za Żyda wyszła, za Ukraińca.

Raz jeszcze leżałam w szpitalu w 54 roku. A na to oko (53 rok) to jeszcze z pół roku byłam leczona. Już kiedy pracowałam, chodziłam rano i wieczór (do ambulatorium) i mi to czymś zakraplali, bo nie widziałam na to oko.

W 54 roku wczesną wiosną nas, z małymi wyrokami, zabrali znowu do obozu na siódmy kilometr. Było tam gospodarstwo rolne, ogrodnictwo, konie i krowy trzymano. Nasze wyroki kończyły się jesienią, zatrudniono nas w obrębie tego gospodarstwa. Na pole szło z nami najwyżej dwóch żołnierzy lub ktoś z gospodarczego. Nie liczyli nas, nie doglądali, reżim był łżejszy. (...) Z tymi z wyższymi wyrokami kontaktu nie miałam.

Kiedy przyszedł koniec wyroku (przedtem jeszcze byłam na remor-tach budynków gospodarczych),

Iwanicki

zabrali nas na czwarty kilometr. Straszny był to obóz, nikt niczego nie pilnował, my w baraku blisko wyjścia. Dyżurna mówi, że tu będziemy nocować, jutro nas zabiorą. Ciemność, wygwizdowo, bałyśmy się, prosiłyśmy, żeby nas zamknęła na kłódkę (...). Cała noc nie spałyśmy, nie wiedząc co nas czeka. Czy wyślą do pracy? Gdzie wyjdę, kto przyjmie? Tam trudno było gdzieś chodzić, bo rabunki, morderstwa.

Nazajutrz zostałam odwieziona do pomocy do domu inwalidów na 7 kilometr, dziewczęta na jakieś gospodarstwa. W starym obozie na 7 kilometrze był barak, a w nim więźniowie, którzy o własnych siłach nie mogli się poruszać. Sparaliżowani, po wypadkach w kopalniach, z bezwładem nóg itp. Jednemu mocz cały czas ucieka, inni wypróżniają się tylko za pomocą lewatywy, trzeba potem myć... Pamiętam jednego. Piotr Iwanicki się nazywał, był mądry, pamięć miał dobrą. Jak miałam dyżur wieczorami, opowiadał. Miał kilka wyroków po 25 lat za ucieczki. Mam wrażenie, że posadzono go za pochodzenie polskie (rozmawiał po rosyjsku), potem się tej polskości chyba bał. Zniszczony i nerwowo wykończony. Opowiadał, jak uciekał z obozów (drugi raz na Kołymie). Mówił, że dwóch się umawia na ucieczkę, a trzecie biorą, nieświadomego, żeby go zarżnąć i zjeść. A później: kto kogo? Mówił o swoich halucynacjach, jak został sam (zabił tamtych) w dzień (...). Przejsć w górach niełatwo, bo niedźwiedzie łąza; dojść do morza: patrole, wyrzutnie (...). Mówił, że dla tych, co uciekali, mieli oni specjalne karne obozy przy kopalniach. Prycze z okraglaków bez pościeli, raz w miesiącu do mycia ich gonili, to czeka tego dnia i w łaźni wodę nalaną im do mycia pili, nie myli się. Podobno celowo im wody nie dawali, specjalnie utrudniali żywot, jak w więzieniu(...). O Kołymie ten ^{o/}chry i bezwładny wspaniale mówił, to, co opowiadał, było logiczne (miejscowości itp). Nie chciał mówić o rodzinie. (...)

W obozie było z 10 baraków, ale całkiem leżących, których trzeba było obsługiwać, bo nie potrafili się nawet załatwić, jeden.

Pracowały w nim trzy zmiany po dwie osoby. Jeden był mężczyzna w obsłudze, ja z nim pracowałam, Litwin, Marian ~~K~~ Wiżykauskas. Mógł być podoficerem, oficerem, w każdym razie z wojskowości. Zachowywał się jakby wszyscy byli rodzeni bracia. Trzeba było tych ludzi podmywać, obmywać, niektórzy mieli odleżyny do kości. Każdego Marian cierpliwie mył, zakładał opatrunki. A jak przychodziliśmy po dwóch dobach - znajdowaliśmy opatrunki nasiąknięte moczem. Lekarz był Żyd (UWAGA, szmoncesowy akcent opowiadającej), nazywał się pan Cierniawski, nigdy nic nie robił, nie zaglądał do chorych, nie sprawdzał obsługi. To byli / ludzie po wylewach przeważnie, leczenia nie byli, bo leków nie było żadnych. Marian poznawał po chorych, kiedy mieli atak wysokiego ciśnienia. Miał zawsze wysterylizowaną grubą igłę i spuszczał do słoika krew, co przynosiło ulgę. Bywały powtórne wylewy (...). Tam było kilku chorych Żydów, myślę, że kiedyś musieli być wysoko postawionymi osobistościami i Stalin ich na Kołymę wysiedlił. Niektórzy mieli rodziny. Całą "inwalidką" (zaopatrzenie, biuro) rządziło, oprócz tego lekarza, trzech Żydów. Mieli oddzielny domek. Przejmowali paczki. Niektórym chorym przysyłano paczki, a oni umierali.

Wypa
W domu inwalidów pracowałam ~~pracowałam~~ już jako wolna, dali mi lżejszą robotę. Była tam jedna nasza dziewczyna, Jadwiga Latawiec. Wyszła za Czecha na Kołymie. Był on kiedyś bokserem, stuknął kogoś (w Czechach) i uciekł do Polski. Ktoś mu poradził w latach trzydziestych, żeby uciekał do Rosji. Uciekł tam, przypisali mu szpiegostwo i został na ~~Kołymie~~ Kołymę zesłany. Uciął sobie rękę, bo był w strasznych warunkach, tak że tylko samookaleczeni przeżyli. (np. spali na mrozie w namiotach).

Było więc tych trzech ~~Żydów~~ Żydów i ów lekarz, a kierownik, jakiś enkawudziśta, w ogóle się "inwalidką" nie interesował. Mieszkał gdzieś w mieście, dał im wolną rękę. Zmarł ktoś, to zmarł. Były skargi inwalidów na tego lekarza i przyjechała komisja, ale szuka

go na próżno, ukrywał się w domu, nie otwierał (...).

Jeden z pacjentów, Żyd (obustronny paraliż), straszna miał twarz i oczy, strach było patrzeć na tego mężczyznę wysokiego i silnego. Już tam na tych gnatach mięsa prawie nie było, gnaty trzeba było przekładać, obmyć, pod siebie robić. Na innych dyżurach go nie myto. więc miał rany otwarte do kości. Ukrainki z innych zmian nic sobie z tego nie robiły. Trzeba go było karmić (zresztą do karmienia było dużo ludzi), na ogół karmił go Marian, od czasu do czasu ja. Kiedyś zakładałam mu ręcznik, żeby na niego nie ciekło, a on wciąż głowę podnosi. Myślę, o co mu chodzi? Patrzy, jakby chciał mi coś powiedzieć (a nie mówić) oczyma. Coś jeszcze przy tym ręczniku poprawiam, a on strasznymi ustami dotyka mojej dłoni i całuje ją. Czyli był przytomny... Dziwnie mi było, jak pocałował mnie w rękę (załamane głosy), bo widocznie rozumie człowiek, wie... Przed śmiercią rozluźnił się, potem zmarł. Marian mówił, że dostawał paczki od rodziny, przechwytywali je i odpisywali ci panowie.

Był tam Polak z wypadku na kopalni, Józef (nazwiska nie pamiętam), ale go szybko gdzieś zabrali. (...) Był Grek z pochodzenia, miał po odmrożeniach amputowane stopy, rany nie chciały się goić, kości mu wciąż wyłaziły - już był to człowiek nie do życia.... Każdy chciał, żeby przysiąść, porozmawiać, a czasu było mało. A ów Grek, jak dziecko dwuletnie, mówił, że jak wyzdrowieje, pójdzie do miasta i ładnego materiału na sukienkę mi kupi...

Był Ukrainiec po wylewie. Łacznie coś opowiadać i zaraz płacze. Krywko. Palił, czasem jakiegoś skręta mu przyniosłam, to się cieszył. Długo nie mógł mówić. Opowiadał, że ma córkę sportsmenkę w reprezentacji Związku Radzieckiego.

Był człowiek z Białorusi bez obu nóg po wypadku. Wygoiło mu się to, był pogodny. Pochodził z okolic Mińska, jego żona była Polka, nawet po polsku rozmawiał. Tak chciał wrócić do żony, kochał ją. Nazwiska nie pamiętam. Jakoś trzeba było do tych ludzi podejść

serdecznie, żeby czuli, że swoi są...

Był jeden Żyd, nie sparaliżowany, niedołężny, strasznie wielki komunista. Ci buchalterzy przynosili mu jakieś komunistyczne pisemka do czytania. Wiecznie pisał skargi na wszystkich. Ten Krywko nie lubił go strasznie, mówi, żeby go troszkę postraszyć. W końcu baraku leżeli ludzie już całkiem nieprzytomni, psychicznie chorzy, ocieśniała kobieta, a dalej wyjdzie do trupiarni. Krywko mówi do kogoś: "Iwanie, postrasż tego Żyda". Biorą za łóżko, ciągną go w ten kąt blisko trupiarni. Żyd niedołężny, jakiś czas cicho siedział.

Było kilku Łotyszów, jeden Estończyk, starszy pan, kulturalny. Niektórzy sami koło siebie starali się coś zrobić, okryć się, czy nawet jedną ręką zjeść, cisi, spokojni, nikomu nigdy nie dokuczali.

Był Ukrainiec jeden paskudny. Mieszkałyśmy w dawnych barakach poprzedzaliśmy sobie na mniejsze pokoiki i starałyśmy się dobrać bez względu na narodowość. Zmiana była o 10 rano do 10 następnego dnia, a śniadanie między 8 a 9-tą. To ten dziad nie będzie jadł, aż tamte baby przyjdą, bo je podszczypywał. Marian wtedy mówił: "Albo jesz, albo wyrzucam won" - ostro.

Był Litwin z pochodzenia, Arajan...as (nieczytelne). Siedzia^ł chyba od 36 roku. Miał wylew, jego pamięć nie była w porządku, ale pomagał, przynosił wiadra z kuchni, robił pożyteczne rzeczy. Ale np. szuka kogoś - bez sensu. Pisała do niego rodzina i on prosił, żeby napisać do żony (chyba Żydówka), ale nie mógł dokładnie wytłumaczyć (...). Parę listów napisałam po rosyjsku i parę słów po litewsku, nie cyrylicą, to baba napisała, że nie rozumie tych słów. "Czy mój mąż nie ma rąk?" Napisałam, że ręce ma, ale nie bardzo pamięta.

+ .XIII

(...) Kąpiel w tym szpitalu wyglądała tak: obok w pokoiku stała ~~mała~~ wanna, sadzano chorego na krześle w tej wannie i z wiadra obmywano. Wnie z Marianem było dość dobrze pracować, bo on był silny, robił ciężkie prace. Wzaman za to bieliznę mu wyprałam itp

Tamtym zmianom ci ludzie dokuczali (...), u nas był spokój. Jak przychodzi wieczór, to jednego boli głowa, drugiego żołądek, trzeci spać nie może. A my nie mamy nic. Za parawanem odgrodzony kat, tam niby leki: termometr, jodyna. Ci buchalterzy dostawali jakieś leki mogli je sprzedawać. Dostawaliśmy jakieś proszki w papierkach. Nikt z nas nie wiedział, co to jest i było tego bardzo mało, najwyżej na parę dni starcza. Więc my z Marianem krede nożykiem drapiemy, podpisujemy papierki : to od bólu głowy, to od żołądka, to nasenne (...). Po kolacji robimy obchód. Dzbanek z wodą, kieliszek, rozносimy tę nieszczęsną krede w tych papierkach. Pomagało. Mówiono: "Na dyżurze Skawy i Mariana, to jest, inne zmiany nic nie dają!".

Jakiś czas była u nas w małym pokoiku ociemniała (ślepa od urodzenia podobno) kobieta. Była to Rosjanka z gębą tak niewyparzoną, że rzadko to się zdarza. (...) Młodszy, chuliganowaci (też byli), kiedyś przechodząc do ubikacji, ktoś jej jakieś przegrane słowo powiedział. Od tej pory zawsze rozpoznawała go. Zmieniał krok, zmieniał buty - zawsze wiedziała! Obrzydliwymi słowami go obrzucała. Mówił później: "Cholera, skąd ta baba wyczuwa, po co ja ją ruszałem" (...). Ja jej wycerowałam pończochy, to ledwo otwierałam drzwi - "Skawa, to ty?" - zawsze poznawała.

Był też w tym pokoju bardzo młody Litwin psychicznie chory. Lotnik, bardzo bity na śledztwie, coś się tam pomajtało. Roman. Pewien Ukrainiec, Stanisław, mówił po polsku, był tam magazynierem, wydawał nam pościel i od czasu do czasu przychodził. Roman palił (a nikt tam papierosami nie rzucał), chce zapalić, widzi, jak Stanisław przychodzi, zawsze zaczyna śpiewać "Jeszcze Polska" (śmiech), żeby papierosa dostać. (...) Nienormalny był, ale kombinował... Mariana go przywiązywał do łóżka, straszny żywot miał.

Marian opowiadał takie rzeczy (o sobie). Miał domek, gdzie została żona i dwoje dzieci. Jak był więziony w obozie, pisał ktoś do niego listy, że żona z ruskimi się włóczy. Marian wyglądał na starego, bo zarośnięty był, ale stary chyba nie był. Wcześniej by

był w głębi Kołymy. Już do Magadanu jakiś uczciwy sasiad do niego napisał: „Nie wierz temu, co ci púsza. Twoje dzieci sa wywiezione do Mongolii, a żonę spalili żywcem w domu (...) Podparli okiennice i spalili”. Nie pisał, kto to zrobił. (...) Marian później zaczął się starać o wyjazd do Mongolii i dostał (chyba w czerwcu) ten wyjazd.

Przed jego wyjazdem jeden Rosjanin mówi: "Wy pracujecie tutaj w sześć osób, a jest siódma na podmianę, ale buchalteria zatrudnia ją u siebie do sprzątania itd." Marian już się szykował do odjazdu, ale mówi, że trzeba pojechać do urzędu, sprawę wyjaśnić. Pojechałam. Mówię, że jestem w obsłudze przy ciężko chorych, że jest siódma osoba na zmianę, którą nasza buchalteria, Żydzi, trzymają u siebie za służącą, a my nigdy nie mamy wolnego. (...) I przyjechała komisja, zaczęło się piekło, tę babę pognali na zmianę do nas. Marian za parę tygodni wyjechał, Żydzi na mnie się zwiedli (?), zostali dalej wszyscy. Myślę sobie, teraz już będzie mi bardzo ciężko, muszę się stąd wydobyć.

Spotkałam się z Janeczką Studysówną, ona parę razy przyjeżdżała do Jadźki. Janka się urządziła w szpitalu wojskowym. Mówi: "Przyjdź do wojskowego szpitala i poproś naczelnego lekarza (był nim płk Wostokow), żeby cię przyjął do pracy". Pojechałam tam. A wówczas jeszcze przywieźli do nas ~~inwalidów~~ do "inwalidki" ludzi, którzy mieli poodmrażane ręce amputowane (jeden malował kikutami, sam nawet jadł, ale był strasznie nerwowy). Przywieźli ich z północy - bez uszu, bez nosów. Ci ludzie byli tacy nerwowi! Trudno było wytrzymać. Przyszłam do szpitala wojskowego, mówię do naczelnego, że jestem "zapadniczka" (tak nas nazywali), że siedziałam z 58 paragrafu, byłam w domu inwalidów, ale czuję się na siłach, żeby pracować w szpitalu. Było miejsce na chirurgii i na zakaźnym. Na chirurgii trzeba dźwigać chrych, to było za ciężkie dla mnie. Wybrałam zakaźny. Sześć godzin, dzień pracy, więc mam trzy dni wolne, bo dyżurujemy

dobę. Mogę sobie dorobić. Janeczka dostawała z Wilna listy. Jej brat siedział raz, potem drugi, był w Wilnie po drugim wyroku za nim dół Polski wyjechał. Pisał na kontakt z siostrą, która mieszkała w Bydgoszczy (...). Umówiliśmy się, że jej siostra pojedzie do Piły i kupi mojemu synowi za 1000 złotych ubranie, buty itd, a ja Jance dam tu 1000 rubli. A w szpitalu zarabiałam trzysta z czymś rubli. Teraz się dopatrzyłam na rachunku (bo go mam), że mi stracali za bezdzietność, ^{of}chłera. To jest metoda: ledwie człowiek wyszedł z więzienia, już płacił za bezdzietność. Już wtedy korespondowałam z rodziną, wiedziałam, że mąż jest w Uchcie. Musiałam te 1000 rubli jakoś zdobyć. Chodziłam sprzątać, zbierałam borówki i jarzębinę z Janką (...). Było ciepło. Mieszkałam w dalszym ciągu w domu inwalidów razem z dziewczętami, a do pracy chodziłam z siódmego kilometra na czwarty, to był kawał drogi. Musiałam iść przez miasto. Można było wprowadzić iść na przełaj, ale było to niebezpieczne (...). Kiedyś znaleziono jakąś kobietę zamordowaną, podpaloną. Ale tam ktokolwiek jechał, nawet karetka pogotowia - zatrzymywał się, nie zostawiał człowieka na drodze. Jak wychodziłyśmy z miasta na tzw. kurskim foksale zbierały się baby z tobołami i kierowcy ciężkich maszyn, wywrotek itp. (między miastem a 7 kilometrem były jakieś magazyny, zdaje się wykute w skale, ^{była}jeździła tam też wąskotorówka) wyłazą, te baby podsadzają, później gdzieś nas wszystkie wytrząsają - i nigdy nie biorą pieniędzy. W śródmieściu były studnie artezyskie, rzeczka oddzielała czwarty kilometr od miasta. Był most, ~~ale~~ jak kiedyś przyszła powódź, to go traktory linami przytrzymywały z jednej i drugiej strony. Do szpitala wojskowego po drugiej stronie beczkowozami dowożono wodę. I nawet te beczkowozy brały ludzi. Taki był stosunek do ludzi, że tego tu nikt nie rozumie.

Pracowałam w szpitalu. Było tam 14 żołnierzyków - wszyscy od jednej dziwki syfilisa dostali (dogadali się). Wśród nich był jeden z Białorusi, dość dobrze mówił po polsku.

(... skrót, błaha opowieść o dwóch lekarkach skłóconych ze sobą)

Kiedys przychodzę na dyżur, siedzi jakiś, wygląda na 12 - 14 lat, rąk nie widać spod wiszących rękawów, siedzi to i w sufit patrzy. "Wziąłbyś jaki tygodnik, gazety kolorowe obejrzał". - "A, co mi tam, czytać nie umiem." - "Jak to, do szkoły nie chodziłeś?" - "A, kakaja tam uczęba była, ja głodny byłem". Chleba nigdy do syta nie jadłem, byłem w sierocińcu okradany (...) to i on kradł. A u złodziei taki "zakon" - nie trzymać karabinu, a tym bardziej nad więzieniem nie stać. Więc on nie chce chodzić w mundurze, mydła szarego rozpuścił wypił i biegunki dostał. A jak wypiszą, to "mogę chlorku jakiegoś się napić". Chłopię tak wychudzone, szkielec! Żal było tego dziecaka, bo to taka bieda-nędza - a i w koszarach każdy będzie dziobał takie kurczę.

Kiedys przychodzę, a w naszej dyżurce oficer, który ma chyba zapalenie opon mózgowych. Zabrali go później samolotem, miał niesamowite bóle głowy, a speców - od tego nie było w szpitalu. Leżał oddzielnie. Korytarz, dyżurka, na przeciw toalety. Przejęłam dyżur. (...) a żołnierzyki z naszej "kawalerki" mrugają na siebie i co chwilę któryś wychodzi, trzaska drzwiami od toalety. "Dlaczego to robicie, przecież tu jest taki chry człowiek!" - "Przecież to oficer! Specjalnie wyznaczyli "dyżury" i walą tymi drzwiami, bo to oficer! Taka nienawiść. (...)

W tym szpitalu pracował Rumun, chirurg-plastyk. A ponieważ w Rosji było wielu poharatanych po wojnie, strasznie im na nim zależało. Ale on miał wyrok: pozbawienie praw, to się za nim ciągnęło. Wostokow chciał koniecznie, żeby on założył oddział chirurgii plastycznej. Ale Rumun mówi, że pracuje tu na razie, bo musi pracować, ale tworzyć tu niczego nie będzie, bo jest pozbawiony praw. Obiecywali mu Bóg wie co, ale on, że dopiero w Rumunii będzie tworzył. Nie zgodził się. Jechał z nami z powrotem. Wysoki, przystojny mężczyzna. Wejście było jedno jedyne przez izbę przyjęć. Wynosimy śmiecie, czy

idziemy do stołówki - zawsze przez ten pokój. A doktor Rumun, kiedy miał dyżur w izbie, zawsze nam, więźniarkom pozbawionym praw, drzwi szarmancko otwierał, stuka kopytami, przepuszcza nas (a my ze śmieciami) - a ruskie baby aż piszcza za nim! A on je per noga traktuje!

Chodziłyśmy co tydzień meldować się i w czerwcu dostałyśmy formularze do wypełnienia. Wpisałam tam, że czeka na mnie w Polsce 80-letnia matka i 14-letni syn. Miały one być wysłane do Polski i prawdopodobnie zostały wysłane, bo kiedy przychodziliśmy się patać, czy wyjedziemy, spotkałyśmy w urzędzie kobietę, która strasznie się wykłócała o coś, a urzędnik mówił (chyba jej coś pokazując): "Co wy ode mnie chcecie, wasz rząd przysłał odmowę, nie chce was przyjąć, co ja tu mogę zrobić?" (...)

Nasi chorzy zaczęli opuszczać szpital i w pewnym momencie zostało ich trzech na 8 osób personelu (2 lekarki, 3 siostry i 3 sanitariuszki). Dyrektor powiedział, że mogą pracować, ale tylko na dzienną zmianę. To już dla mnie nie był interes. Janka mieszkała przy szpitalu w hotelu robotniczym, łóżko przy łóżku, ruskie baby sprowadzały sobie chłopów, żołnierzy, całe noce orgie, złodziejstwo (...). Było jej bardzo ciężko, niezaradna była, Wostokow zmusił ją, żeby przychodziła do niego do domu sprzątać. Tam było 6 osób: Wostokow z żoną, córka z mężem i dwoje bachorów. Janka była strasznie zmęczona. Coś jej płacił, ale ja bym się tak nie pozwoliła wykorzystywać. (...) Lekarka powiedziała mi, że w barakach, gdzie mieszka (Mieszkali tam sami enkawudziści, milieja i lekarze), jest potrzebna osoba do sprzątania korytarzy - i jest dla niej lokum. Bez okna, ale kąt samodzielny. I robotę można zrobić, kiedy się chce (raz w tygodniu), a potem robić co się chce. Myślałam sobie: to jest w mieście, własny kąt, zabiorę Janeczkę do siebie, możemy sobie wziąć jakieś sprzątanie prywatne u jakiegoś enkawudzisty, a nawet dwa takie zajęcia i jakoś to będzie. Miałyśmy trochę nadziei na wyjazd, ale na razie ucichło to wszystko i nic nie było wiadomo.

(...) Poszłam więc do Wostokowa i mówię, że nie będę mogła tu pracować, bo mieszkam daleko itd. A on: "Przecież tu jest hotel robotniczy". A ja, że w takim hotelu my nie jesteśmy przyzwyczajone mieszkać. I mówię, jak to przychodzą żołdacy, jak to się wszystko zagadaczy, a my jesteśmy inaczej wychowane i Polki, które tam mieszkają, czują się źle. "No to ja wam, „zapadniczkom” dam oddzielny pokój." Ale już nie chciałam tam pracować. Pożegnałam się z Wostokowem, był bardzo niezadowolony (...).

Zamieszkałyśmy z Janką (...), zarabiałam ponad 300 rubli, dorabiałam (za przynoszenie obiadów ze stołówki rodzinie pewnego pułkownika dostawałam 100 rubli, to się opłacało). Ada też gdzieś sprzątała, Janka do ostatka była w tym szpitalu. Bo już się zaczęło zbierać na wyjazd.

59m. Wyjechaliśmy w październiku statkiem "Feliks Dzierżyński". W tym transporcie było wiele narodowości. Nie wiem, ilu Polaków, bo bardzo źle znosiłam podróż. Ale przed Władywostokiem się morze uspokoiło. Węgrzy z Polakami wynajęli sobie stołówkę na statku, postawili płatnego gozorcę przy drzwiach. Jedna pani miała akordeon, muzykalna, teraz po mężu nazywa się Nanrietta Głód, mieszka w Gliwicach.

(nagranie jakby przerwane w połowie taśmy B)

SKAZANIEC (7)

Edmund Szczesiak

List został znaleziony w 1949 roku na torach koło Mińska Mazowieckiego. Był pisany ołówkiem chemicznym na płótnie. Znalazca bał się wysłać ten gryps pod wskazany adres (Gdańsk - runia, ul. Nowiny 19). Po 41 latach żona znalazcy zdecydowała się przynieść list do redakcji „Wokandy”. Reportero wi udało się odszukać autora.

Przez dziesięć miesięcy śledztwa nie podpisał ani strony protokołu. Nie pomogły perswazje ani bicie.

Pewnej nocy wywołano go z celi i poprowadzono nie tam, gdzie zwykle, ale do gabinetu kogoś znaczącego. Ogromny pokój, fotele, a w nich płk Bachanow i mjr Maksimow, z którymi stykał się podczas śledztwa, a ponadto jeszcze trzy osoby. Po epoletach rozpoznał, że stoi naprzeciwko generała. Czerwone lampasy, brzuchaty. Podszedł do Rymszy, poklepał po ramieniu. Ty dobry patriota, no ty upadł twarzą w błoto, ciebie oklamali, oszukali, a ty uwierzył tym kapitalistom, ty dobry człowiek, pomożesz nam zdekonspirować szpiegów, wyład zagraniczny. Pytał o zrzutków z Anglii. Ustalono, że Rymsza w 45 roku spotkał się w stołówce PCK w Warszawie przy Nowogrodzkiej z „cichociemnymi” — Antonim Boryczką ps. „Tońko” i jeszcze jednym. Boryczka — o czym nie wiedziano — odwiedził później Rymszę w Gdańsku. Namawiał do wyjazdu za granicę: przez Czechosłowację do Austrii. Wszwistko było przygotowane, ale Rymsza nie zdecydował się, żona była w ciąży, nie chciał jej zostawić samej. Boryczka, który został w 43 roku zrzucony na Wileńszczyznę i był tam zastępcą dowódcy VI Brygady Wileńskiej AK, stąd się znali z „Maksem”, wjechał. Tropiono jednak — jak mówi Rymsza — z dziką zawziętością wszystkich „cichociemnych”, traktując każdego jako szpiega angielskiego i oskarżając o szpiegostwo każdego. Kto się z nimi kontaktował, „O czym wy tam rozmawiali?” — spytał generał. Nie mógł zaprzeczyć, że spotkał Boryczkę, bo to ustalono ponad wszelką wątpliwość, odparł więc, że nie wie, o czym ci dwaj, na których natknął się przypadkowo, rozmawiali, bo mówili między sobą po angielsku, a on nie zna tego języka. Generał zamierzał drażyć temat, ale w tym momencie został poproszony do telefonu. Wycho dząc zwrócił się do Bachanowa i Maksimowa: no, widzicie, on chętnie rozmawia, pytajcie dalej, wszystko wam powie.

— Jak tylko wyszedł, doskoczył do mnie: nam nie chcia-

leś nic powiedzieć, a generałowi tak? Ty taki synu! I bicie. Z kąta w kąta mnie posylali, lali taboretami, kopali.

W CELI ŚMIERCI

Wkrótce potem stanął przed sądem. Przed trybunałem Północnej Grupy Wojsk Radzieckich w Legnicy. Rozprawa odbyła się 9 lutego 1949 roku. Trwała krótko. Ponieważ odmówił odpowiedzi na pytania sądu twierdząc, że nie jest obywatelem ZSRR i nie powinien osadzać go trybunał radziecki, przewertowano akta i ogłoszono przerwę, po której odczytano wyrok. Za zdradę ojczyzny, czyli Związku Radzieckiego — 25 lat, za wstąpienie do podziemnej organizacji, która miała na celu restaurację ustroju kapitalistycznego — 25 lat, za terroryzm — 25 lat, za szpiegostwo — 25 lat i za coś jeszcze — też 25 lat.

— Jak naczytali, to wyszło razem 125 lat. A za walkę zbrojną przeciw ZSRR — kara śmierci. Wołają do stołu: podpisz! Nie podpisałem. Ale już nie bili, nie rugali nawet. Zaprowadzili do celi nr 33.

Była to cela śmierci. Przebywali tu w całkowitej izolacji ci, którzy oczekiwali na wykonanie wyroku. Nawet jedzenie podawano przez specjalny otwór w drzwiach. Uchylały się tylko wówczas, gdy przychodzono po skazańca. Stawiali twarzą do ściany, z rękoma do tyłu. Komu założono kajdanki, ten wychodził.

Pewnej nocy kajdanki zatrzasnęły się na jego rękach. Szedł na śmierć.

Próbował po latach odtworzyć, co wtedy myślał i czuł. Przechowywał w pamięci tak wiele szczegółów, a tego, co kołatało się w jego głowie, gdy wyszedł z celi śmierci, nie potrafił sobie przypomnieć. Pustka. Widocznie szok był tak potężny, że graniczący z utratą świadomości. Jedno wie: zachowywał się spokojnie, bezgłośnie. Uchłoniął, gdy odczytano, że Rada Najwyższa ZSRR zamieniła mu karę śmierci na 25 lat pozbawienia wolności. Karę odbędzie na terenie Związku Radzieckiego.

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Co kwartał z Legnicy odchodził pociąg na wschód wypełniony więźniami. Zwożono ich ze wszystkich województw. Różne nacje: Niemcy, Estończycy, Łotysze, Ukraińcy, Polacy i Rosjanie, głównie ci, którzy dostali się do niewoli niemieckiej, uważano ich za zdrajców. Akow-

cy i włosowcy — w jednakowej roli wrogów ZSRR.

Na dworzec północny w Legnicy dowożono ich z więzienia tym samym czarnym samochodem z napisem „Chleb”, którym przed prawie rokami Rymsza został przetransportowany z pociągu do aresztu. Wagony stały na bocznicach. Po opuszczeniu auta każono im kłęczać. Do wagonów wpuszczano pojedynczo, lokując po 50 osób w każdym. W rogu znajdowała się rynienka i otwór — ustęp. Od strony buforów były wycięte drzwi, za nimi krata, a za nią wartownik.

Gdy pisał list na płótnie, na kawałku wydartym z własnej koszuli, kilku więźniów go zasłaniało, żeby wartownik siedzący w budce za kratą nie zobaczył.

Do tego, co już powiedział o liście na początku rozmowy, dodaje, że z koszuli sporządził także dwie tasienki, którymi przewiązał płótno z kamykiem czy gruzem — już nie pamięta — w środku. Zawiniątko było gotowe, gdy minęli Warszawę. Była potem jakaś większa stacja, panował tam duży ruch — nie zdecydował się rzucić, bo doszedł do wniosku, że w tym tłoku rzut ujdzie uwadze. Wkrótce pojawiła się następna stacja, już mniejsza. Pociąg akurat zwolnił. Wyrzucił list-kulę przez zakratowane okienko, znajdujące się w górnej części wagonu. Nie widział, czy ktoś podniósł...

Podróż do granicy trwała dwa dni. W Brześciu kazano im wysiąść i poprowadzono do miejscowego więzienia. Maszerowali pod eskortą — strzelili ich uzbrojeni żołnierze z psami. Nie oglądał się, nie rozmawiał — wykrzykiwano pouczenia.

Wszystko jest względne. Po podróży w tłoku, zaduchu, na gołej podłodze, cela wydawała się miejscem całkiem znośnym. Kawa, chleb, a potem leżenie na pryczy. Na dalszą drogę otrzymali prowiant.

Kolejny postój wypadł w Orle. Do więzienia w tej miejscowości odstawiono ich ciężarówkami. Przejeżdżali obok jakiegoś targowiska. „Faszyści, zdrajcy!” — krzyczeli ludzie w ich kierunku, sądząc zapewne, że to sami Niemcy i włosowcy.

W Orle przez trzy dni pozostawiono ich bez jedzenia. Okazało się, że w Brześciu mieli otrzymać prowiant na pięć dni — na podróż i pobyt tutaj. A dostali rację dzienną. Było jednak napisane, że dano im na pięć dni, a co napisane, to święte, nie ma podstaw do żywienia. Ktoś widocznie na poprzednim postoju zwinął prowiant dla siebie, okradając więźniów. Sie dzieli głodni. Dopiero pod ko-

niec pobytu w Orle dano im po czepaku zupy.

Odkąd przekroczyli granicę, podróż odbywała się w zwolnionym tempie. Co rusz ich pociąg stawał na bocznicę, przepuszczano inne, pilniejsze. Na każdym postoju dokładnie obstukiwano ściany wagonów drewnianym młotkiem. Sprawdzano, czy czasem ktoś nie wykroił otworu szykując się do ucieczki. Po ostukaniu od zewnątrz otwierały się drzwi. Liczono, czy kogoś nie brakuje, sprawdzając stan wewnątrz wagonu i porównując z listą wypisaną kreda na zewnątrz.

Przez tydzień trzymano ich w Moskwie, w więzieniu „Krasnaja Presznia”.

W GŁĄB AZJI

Po tym dłuższym postoju przybывая szmat drogi. Następnym „punkt etapowy” wypada bowiem dopiero w Nowosybirsku. To już Azja. Od Uralu dzieli Nowosybirsk dystans półtora tysiąca kilometrów. Tu zostają poddani zabiegom higienicznym. Ubrania wędrują do pralni, a oni do łaźni. Po kąpieli golenie. Usuwaniem zarostu ze wszystkich owłosionych miejsc zajmuje się wytatuowana kobieta. A posługuje się tak tępa brzytwa, że nie tyle goli, ile zeskrobuje.

Dezynsekcja na niewiele się zdała, gdyż zaraz potem trafili do starych drewnianych baraków, pełnych pluskiew i wszy. Tysiące insektów i nie ma na nie innego sposobu, jak przyzwyczaić się. Pluskiew nie warto zabijać. Rozgniecie się jedna, a inne czując zapach krwi dopiero ruszają do ataku. Wszy — powiadają więźniowie — to z kolei największe przyjaciółki, nie opuszczają człowieka nawet w największej biedzie.

Zabolał go żab. Poszedł do pomieszczenia opatrzonego czerwonym krzyżem. Przyjmowała tam felczka, starsza osoba. Wszystkich leczyła jednakowo. Nalewała wody do menzurki, dodawała kilka kropli tranu i kazała wypić. Gdy zjawił się u niej Rymsza, kończyła już przyjmowanie. Wyrzwała, czy nikogo więcej nie ma i zadowolona, że to koniec pracy, potraktowała ostatniego pacjenta staranniej niż wcześniejszych. Dała tabletkę przeciwbólową. Zapytała, skąd jest, jaki ma wyrok, za co. A czy rodzina wie, że tak daleko go wiozą? Powiedział, że nie miał możliwości powiadomienia bliskich, bo pozbawiono go prawa korespondencji. Dała mu kawałek kartki i kazała napisać kilka zdań, podać adres, a ona postara się wysłać. Napisał, podał adres siostry żony, Zofii, która wraz z rodzicami mieszkała nadal na Wileńszczyźnie. Nie wierzył, że felczka wyśle list, stykała się z setkami więźniów, trudno, żeby wszystkim pomagała, a dlaczego miałaby właśnie jego wyróżnić? Po powrocie ze szpitala dowiedział się, że list dotarł do adresatki. Ta powiadomiła jego żonę, listownie. Dlatego wspomina teraz ciepło dobre serce tej felczki.

Dalszą podróż odbywają w

wagonach z przedziałami. Po szesnastu w każdym. Tłok taki, że ostatnich więźniów konwojenci wciskali nogami. Daleki Wschód. Przez Góry Jabłonowe wagony przepychają trzy lokomotywy — dwie ciągną, trzecia pcha. Pociąg okrąża wysuniętą na północ część Chin, następnie kieruje się na południe. Kolejny punkt etapowy to Waino koło Władywostoku.

POD GOŁYM NIEBEM

Szczere pole. Ogromna przestrzeń, na której wygrodzono kwadraty — sto na sto metrów. Każdy okolony pięcioma rzędami drutów kolczastych. Ani baraku, ani wiaty. Otwarty teren. — I tak wpędzą jak bydło. Deszcz pada — masz się czym nakryć, to się nakryj, nie masz, to nie.

W takich warunkach spędzili prawie trzy miesiące. O chłdzie i głodzie. Za miskę służył mu czapka. Jak się wyszmelcowała, to zrobiła się tak szczelna, że ani kropla zupy nie wyciekła. Łyżkę sporządził z kawałka drewna, trąc o kamień wyłoblił niszę.

Pewnego dnia przywieziono beczkę z lekarstwem przeciw szkorbutowi. Nazajutrz cała zona stała w kolejce do latryn, a było ich tylko dwanaście. Kto się załatwił, stawał na końcu kolejki, żeby skorzystać znowu. Niektórzy nie wytrzymywali, biegli pod druty; był zakaz zbliżania się do ogrodzenia, strażnicy egzekwowali go bezwzględnie, kilku więźniów tego dnia zastrzelono.

Kolejka i druty kolczaste — z tym już zawsze potem będzie mu się kojarzyć raj komunistyczny.

Od początku byli przemieszani z kryminalistami — oni, polityczni. W jego zonie znalazł się niejaki Ali, z pochodzenia Irańczyk. Król przestępców. Bali się go współwięźniowie, bali strażnicy. Rymsza wzbudził jego sympatię. Kiedyś w rozmowie z towarzyszami niedoli, cierpiącymi za politykę, wyraził się, że to warunki tworzą przestępcę, dlatego nie należy winić tylko tego, kto nim jest. Posłyszał to Ali i odtąd czuwał nad panem Antonim. Przynosił dodatkowy chleb, kiedyś nawet cukierki. Miał swoje wejścia, znajomości, tajemnice. „Rymsza, ty nie umiesz żyć w Związku Radzieckim” — ubolewał i pomagał dostosować się i przeżyć.

Pod koniec listopada skończyło się koczowanie pod gołym niebem. Załadowano ich na statek. Ponad siedem tysięcy więźniów ułokowano w ładowniach „Aleksandra Newskiego”. Trzy poziome legowiska — nary, beczki po śledziach, służące jako ubikacje. Gdy statek ruszył i zaczęło kotłować, beczki powyrwały się, zawartość rozlała, fala gnoju potoczyła się pod nary. Smród, że nie można wytrzymać. Na dodatek dostał choroby morskiej, inni też...

Płynęli dziesięć dni. Poculi wielką ulgę, gdy znaleźli się na zewnątrz. Wyładowano ich w Magadan. W prostej linii —

ponad dwa tysiące kilometrów na północ od Władywostoku. Był 1 grudnia 1949 roku, gdy tam wyładowali. Temperatura na dworze — minus 40 stopni.

Jakieś 3 kilometry za miastem stały ogromne baraki. Każdy mieścił trzy tysiące więźniów. Nie było pieców, ale taka liczba ludzi potrafi podnieść znacznie temperaturę w pomieszczeniu.

Przebywali tam do maja. Czekało, aż puszczą śniegi i drogi staną się przejezdne. Gdy się ociepliło, powieziono ich samochodami na północny zachód — ponad tysiąc kilometrów od Magadanu. Na Kolymie.

NA KOLYMIE

Dwanaście baraków rozłożyło się na płaskowyżu u stóp wysokich gór. Wokół druty kolczaste — pięć rzędów. W rogach groźne psy, poruszające się na długich łańcuchach. Baraki były zbudowane z grubych bali. W środku piętrowe nary, w oknach kraty.

O Kolymie mówiono, że stamtąd nie ma powrotu. Nawet jeśli więzień odbył wymierzoną mu karę, zostawał, bo nie opłacało się organizować dla tych nielicznych, którzy przeżyli katorgę, transportów powrotnych. Za duży koszt. Poznał tam pułkownika Ziernina, osobistego adiutanta Tuchaczewskiego. Odsiedział 23 lat i pozostał na Kolymie jako wolny, ale ubezwłasnowolniony. Zresztą wkrótce potem zmarł.

— Trzy miesiące ciemno. A latem noce tak jasne, że można by czytać gazety. Taki człowiek zdezorientowany. Dzień czy noc? Ale tam wszystko przypomina. Rano zadzwonił. Wstawaj! Śniadanie: kawałek ryby, pajdka chleba i „czaj” z trawy. Pod konwojem zaprowadzą do pracy, składowych płatkami. Potem praca — 12 godzin w podziemiach kopalni — charakterystyczne Kolymskie pan Antoni, krainę, w której zdarzały się mrozy dochodzące do minus 65 stopni Celsjusza.

Dreźny głód.

— Tak się coś chce. Że aż w głowie się kręci. Zapach chleba poczujesz na kilometr.

Dzienna racja: 600 gramów chleba, 300 gramów zupy. A praca ciężka, katorżnicza.

Najpierw w kopalni rudy cynowej, młotem pneumatycznym o wadze 26 kg wiercił otwory w ziemi. Na powierzchni osiadała gruba warstwa kurzu, pyłu. Ma z tego „zamurowane” płuca. Cierpi na pylicę — chorobę wiertaczy. Później zatrudniono go na powierzchni — w zakładzie przetwórczym. Należało codziennie wrzucić łopatą 60 ton urobku, wywindowanego z dołu, na wibrujące urządzenie w kształcie stołu.

Z przetwórci trafił ponownie do podziemia. Pracował w kopalni złota. Miał tam w ręku 3,5-kilogramową brzoję kruszcu.

— Co z tego, gdy człowiek przymierał głodem — wzdycha po latach.

Cdn.

SKAZANIEC (8)

Edmund Szczesiak

List został znaleziony w 1949 roku na torach koło Mińska Mazowieckiego. Był pisany ołówkiem chemicznym na płótnie. Znalazca bał się wysłać ten gryps pod wskazany adres w Gdańsku. Po 41 latach żona znalazcy zdecydowała się przynieść list do redakcji „Wokandy”. Reportercowi udało się odszukać autora. Okazał się nim Antoni Rymśza, ps. „Maks”, jeden z pierwszych partyzantów na Wileńszczyźnie, dowódca oddziału w V Brygadzie Wileńskiej AK. Skazany przez sąd radziecki w Legnicy na karę śmierci zamienioną na 25 lat łagru został wywieziony na Kołymę.

Trupy układano koło wartowni. W stosy — jak drewno. Leżały tam do lata. Kopano wówczas doły płytkie, bo na więcej nie pozwalala zmarzlina, chowano w nich zwłoki. Pewnego dnia wydało się, że więźniowie zajmujący się wynoszeniem świeżo zmarłych, wycinali z nich wnętrzności i po ugotowaniu w kuchni zjadali. Głód uczy wielu rzeczy — powiada sentencja.

Rymśzę uratowała silna wola. Dzienny przydział chleba dzielił na trzy części i spożywał po kawalku — rano, w obiad i na kolację, gdy większość całą porcję polykała zaraz po otrzymaniu. A potem dożywiali się odnapiami wygrzebanymi ze śmietników i skracali sobie życie.

Gdy został brygadystą, po zakończeniu zmiany pomagał nieraz naczelnicze kopalni w sporządzeniu sprawozdania. Wychodziła pierwsza, a jemu kazała sprzątnąć gazetę przed opuszczeniem kantora. W gazecie był chleb. Wolnemu, który dałby więźnowi chleb, groziło dziesięć lat więzienia.

„DWILŻ

Brygadystą został po śmierci Stalina. Wcześniej objęcie takiej funkcji przez więźnia było niemożliwe. Po odejściu generalissimusa nastąpiło poluzowanie. Zmniejszono rygory. Już się tak nie bano. Zdarzało się, że więzień pozwalał sobie powiedzieć do strażnika: „ty odprysku Berii”! Kiedys podczas oglądania filmu — wyświetlano je raz w miesiącu i traktowały o Leninie: „Lenin w styczniu”, „Lenin w lutym” i tak do końca kalendarza — zgasiło światło i rozległ się głos recytującego wiersz o niewoli sowieckiej, gwałcie i zbrodniach. Nie wykryto kto wyłączył światło, odciał prąd, ani kto recytował. Za Stalina nie uszłoby to płazem. Jeśli nie udało by sprawcy, konsek-

wencje poniósłby kto inny, a raczej — inni, spiskowcy. Terror był ślepy, nie przebierał, winien, nie winien, swój czy obcy. „Bij swój swego, żeby się obcy bał” — mawiano.

Więźniowie szepotali między sobą, że ludzie w ZSRR dzielą się na trzy kategorie: tych co siedzieli, co siedzą i co będą siedzieć. A to obejmuje pełne 100 proc. W obozie przebywało wielu Rosjan. A poza tym istniała międzynarodówka. Wszystkie narodowości kuli ziemskiej. Nie spotkałem tam tylko Murzyna — powiada pan Antoni. Nie wytrzymałby tamtejszych mrozów. Dochodziły do minus 60 stopni. Najważniejsze, żeby chronić głowę, a zwłaszcza nos, bo — jak mawiano — to najbardziej na północ wysunięta część ciała.

Na Kołymie twierdzono również, że sto rubli to nie pieniądź, sto kilometrów nie odległość, 40 stopni nie mróz, a 60 lat to jeszcze nie staruszka.

Po śmierci Stalina przestali nosić numery, które przedtem mieli naszyte na ubiorze, w trzech miejscach: na plecach, kolanach i na czapce. Zaczęto im też płacić za pracę — 48 proc. tego wynagrodzenia, które otrzymywali wolni. Tak naprawdę dostawali grosze, bo potracano im za wyżywienie, zakwaterowanie, ubranie, potracano na utrzymanie służby obozowej, wartowników, konwojujących, nawet za żywienie psów. Za to co zostawało można było kupić trochę cukru, który przywożono zbrylony i zabrudzony, tak że nadawał się do spożycia po rozpuszczeniu w wodzie i przecedzeniu przez gazę.

Za przekroczenie normy dodawano 100 gram chleba, było więc o co się bić. Pan Antoni miał w brygadzie 36 ludzi, a każdy głodny. Zawzięli się i zajęli pierwsze miejsce w wydobyciu złota. Niedługo potem wracają do obozu, a tam wielki plakat, nawołujący, żeby brano przykład z brygady Rymśzy. Nazajutrz wezwał go dyrektor zespołu kopalń i wskazał wielką gwiazdę z drewna, obciągniętą czerwonym materiałem, z żarówkami wewnątrz. Kazał mu ją zabrać, bo to jego. Ma ustawić na hałdzie złotodajnego gruntu, żeby wszyscy wiedzieli, że brygada Rymśzy zajęła pierwsze miejsce. „Mnie wasze pierwszeństwo niepotrzebne — zareagował na obdarzenie tym swoistym pucharem przechodnim. — Komu potrzebne, niech zanieśie”. Naczelnik nakazał zanieść gwiazdę strażnikowi. Później, gdy był sam na sam, spytał Rymśzę, dlaczego tak nie lubi Związ-

ku Radzieckiego? Odparł pytaniem: „A dlaczego wy tak lubicie?” Naczelnik zaczął wyliczać, że Związek Radziecki, dał mu wykształcenie, zapewnił pracę, urlopy, bezpłatną ochronę zdrowia. „Wybacze mi — rzekł Rymśza, który w takich rozmowach starał się zachowywać umiar i takt, a jednocześnie powiedzieć co myśli — ale jesteście skrajnym egoistą, jeśli na waszych oczach ludzie męczą się, umierają i wy tego nie widzicie, tych więźniów, ich nędzy, krwi i łez”. Naczelnik wstał i stwierdził: „Widzę, że nie dojdziemy do wspólnego mianownika”.

— Wierzyli, że to najlepszy ustrój, przynajmniej niektórzy — mówi. Ja gdybym jeszcze raz się urodził, otworzył oczy i zobaczył, że jest gdzieś skrawek



Grupa zesłańców polskich; K.

komunistycznego raju, to bym się cofnął i czekał tak długo, aż zniknie ostatnia pięć.

POWRÓT

W 1956 roku zaczęto zwalniać więźniów z ich obozu. Stawali przed komisją, która zmniejszała wyroki. Na jego teczce znajdował się napis: „apasnyj” — niebezpieczny. Twierdzenie, że nie czuje się winny, dopełniło reszty. Nie obniżono mu kary. Tym niemniej w grudniu 1956 roku zakomunikowano mu, że wyjeżdża.

Wracał tą samą trasą. Samochodem do Magadanu, ale stamtąd już nie statkiem, lecz samolotem — do Chabarowska. Potem pociągiem pospiesznym — jedenaście dni i nocy. Już nie w bydlęcym wagonie, lecz sympialnym. Coś się zmieniło w ciągu tych siedmiu lat. Do-

kała, bo on sam nadal był więźniem. Zmieniał jedynie oboz.

Zawieziono go do łagru pod Moskwą — do Połmy. Liczył, że wkrótce zostanie zwolniony, tymczasem mijaly tygodnie, miesiące. Wyroku mu nie zmniejszono, a tu już zaczął się rok 1959, z końcem marca miała zakończyć się repatriacja.

Podciął sobie żyły, napuścił do kubka i takim „atramentem” napisał do najwyższych władz ZSRR. Nie spodziewał się odzewu. Tymczasem nie trwało długo i otrzymał odpowiedź, że jego podanie przyjęła kancelaria Rady Najwyższej i rozpatrzy.

31 marca, w ostatnim dniu repatriacji, przekroczył granicę w Brześciu. Miał gorączkę, 39 stopni, ale nie przyznał się, bo jak wtedy rozumował, wezmą do szpitala na dzień, a zostanie na zawsze. Jak się ktoś oparzy na mleku, to dmucha na krowę.

Nadal był więźniem, bo nie zmniejszono mu kary, nie ujęto ani roku z tych 25 lat, a jedynie przekazano w ręce polskie.

Zawieziono go do więzienia w Łęczycy. W celi — sienniki.

dzenia. Ten regulamin wbijał no więźniom nieustannie.

NA WOLNOŚCI

Odwlezione go potem samochodem na dworzec w Łęczycy. Samochód odjechał, został sam. Po 10 latach i 11 miesiącach po raz pierwszy bez konwoju.

— Strasznie głupie uczucie. Wszystkiego się człowiek boi. Przechodzień może podejść i uderzyć, kto obroni? Pies się rzuci i kto go odgoni. Zawsze pod opieką, nagle bez, paskudne uczucie — wspomina eks-więzień pierwsze chwile wolności.

Zwracał uwagę wyglądem, Niepewnym zachowaniem. Zainteresowali się nim kolejarze. Gdy dowiedzieli się, że wraca z obozu na wschodzie zaczęli dopytywać się o swoich krewnych, wymieniając różne nazwiska.

— Niestety, nie znalazłem takich więźniów — mówi pan Antoni.

— Byłby to niezwykle przypadek, gdyby pan akurat znał — sugeruje.

— Związek Radziecki to jeden oboz, tyle że podzielony na sekcje. Tak się mówiło na Kolymie.

Kolejarze objaśnili mu jak dojechać do Prochowic. Skąd miał adres? Z Czerwonego Krzyża. Napisał z obozu w Połmie i otrzymał adres żony. W pociągu cały czas myślał, czy jego miejsce jest wolne? Nie miał żadnych wiadomości od kąd go aresztowano. Nie wiedział czy dotarł list-gryps wyrzucony z pociągu przed 10 laty, czy do rodziny żony doszło to, co przekazał felczercie w Nowosybirsku. Czy dotrzymał słowa współwięźni z Kolymy, Bolesław Piecki, któremu napisał podanie o zmniejszenie wyroku i któremu zmieniono karę z 20 lat katorgi na 10? Dał słowo, że odnajdzie jego żonę. Czy odszukał?

W małych Prochowicach bez trudu znalazł właściwą ulicę, ale trochę błądził w poszukiwaniu domu. Minał żłobek, którego numer był zachlapany wapnem po świeżym remoncie. Dalej następowały jednak wyższe liczby. Gdy się cofnął, przed żłobek wyszła grupka osób, kobiet, a jedna z nich podbiegła do niego. „Wróciłeś?” „Wróciłem”. I tyle było słów. Dalsze wyparł płacz. Weszł do żłobka, bo okazało się, że Rymszowa jest tu kierowniczką i mieszka na górze. Czternastoletni syn bał się podejść do odstraszonego wyglądem mężczyzny, który — tłumaczono — jest jego ojcem.

Alte miejsce było wolne.

Gdy już doszedł do siebie, dowiedział się, jak to się stało, że żona osiadła w Prochowicach, tak blisko Legnicy, w której tyle wycierpiał i w której skazano go na tak długą katorgę. Po aresztowaniu męża wszyscy się od niej odsunęli. Bano się nawet odezwać. Nie pracowała, żyła przedtem z pensji męża, wychowywała dziecko, teraz należało się zatrudnić. Bez środków do życia, śledzona przez

UB, traktowana przez otoczenie jak trędowata, zdecydowała się wyjechać. W pobliżu Legnicy mieszkała jej ciocia, która miała gospodarstwo — u niej znalazła schronienie. Potem otrzymała pracę w służbie zdrowia w Legnicy, wreszcie zaoferowano jej żłobek w Prochowicach.

Szukała śladów męża. Pisała gdzie tylko można. Pewnego dnia zjawił się Bolesław Piecki. Początkowo przyjęła go nieufnie. Sądziła, że to jakiś podstęp. Miał jednak zdjęcie z Kolymy, na którym byli obaj z mężem (zrobił je pewien Estończyk, który miał aparat — objaśni pan Antoni). Długo potem opowiadał o współtowarzyszu niedoli, co jakiś czas przezywając zapewnieniem kierowanym do młodego Rymszy: „Wiesiek, tata wróci!”

Po tej wizycie codziennie chodziła z synem na dworzec.

Pewnego dnia zjawiła się inna jeszcze osoba, zatroskana losem Antoniego Rymszy. Nazywała się Janina Wojnicka. Wnučka Aldony Dzierżyńskiej, siostry Feliksa. Wróciła z Kolymy, skazana na katorgę, gdyż w Okręgu Wileńskim AK była łączniczką samego generała „Wilka”. Nie zetknęła się na Kolymie z Rymszą, ale trafili do niej trzej jego koledzy obozowi i prosili o pomoc. Babcia Dzierżyńska napisała do władz radzieckich. To chyba jej zawdzięcza tę odpowiedź, że jego sprawa będzie rozpatrzona, i że potem był pomyślny wynik. werdykt. I pomyśleć — siostrze Feliksa...

Wrócił i już pozostał w Prochowicach. Wystarczy wędrowania.

— Byłem wszędzie i jeszcze trzy kilometry za wszędzie...

Zatrudnił się jako kroiciel. Tylko taka posada była wolna w miejscowych zakładach skórzanych „Renifer”. Ale już w miesiącu poprosił go dyrektor zaoferował stanowisko kierownika działu zbytu. W zaklad dotrwał do emerytury.

PIĘTNO KOLYMY

Obiad jemy w pokoju, ktoś go łwią częścią ściany pokrywają obraz. Przedstawia mężczyznę z długą brodą, jaką miewają prorocy. Ten jest więźniem. Autoportret — sporządzony na podstawie fotografii. Pan Antoni maluje, lubi to zajęcie, a efektu wiszą na ścianach. Przeważają pejzaże. Zima. Krajobrazy zaśnieżone, mroźne. To Kolyma. Kto ją przeżył, już nigdy się od niej nie oderwie. Będzie wracał — myślą, piórem, pędzlem. Jest jak narkotyk, od którego chciałoby się uwolnić, ale silne doznania są nie do zapomnienia.

Patrzmy na autoportret.

— Jego pradziad, powstaniec styczniowy, skuty łańcuchem, z kłódką, został zapędzony na Sybir, cała rodzina zesłana — spłata pojedynczy los w ciąg historii pani Aldona.

Skazaniec, potomek skazańca...

KONIEC



Antoni Rymszy, lipiec 1956 r.

Biblioteka — można pożyczać książki. Zupa — tak dobrej nie jadł od lat. Chleb na tacy, pokrojony. Jeśli mało — zapukać, dolożą. Wtedy powiedział: „Ja tu do końca życia mogę siedzieć, tu jest Ameryka!” Chleb bez normy!

Po dwóch tygodniach stanął przed sądem. Rewizja wyroku, wydanego przez trybunał radziecki w Legnicy zakończyła się uniewinnieniem.

Był wolny. „Jest pan naprawdę wolny” — usłyszał od prokuratora, gdy stanął przed drzwiami i czekał na konwojenta, aby go wyprowadził. Po raz pierwszy od lat ktoś zwrócił się do niego per pan. Gdy szedł ze strażnikiem do celi po rzeczy ciągle wysuwał się naprzód. Obowiązkiem więźnia jest iść przed konwojem. I nie zbacać. Krok w lewo, krok w prawo — konwoj strzela bez uprze-

Wokarna 16 września 1990 r.